

Izabela Szolc

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO

8 CZERWCA

Telefon zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Ale czego można się spodziewać po telefonach?

„Zamknij plastikowy dziób” modliłam się i nic. Dzwonił dalej.

Próbowałam nie słyszeć tego przeraźliwego driiin, które zamieniało się w driiiiiiiiin, a potem w jeszcze coś gorszego. Najwyraźniej Bóg obraził się na mnie. To, że zesłał na mnie wszystkie plagi egipskie z wyjątkiem przydatnej od czasu do czasu głuchoty, dowodziło, iż niebo jest na dobre pogniwane na moją biedną osobę. Jednak za co?

Otarłam łzy, które niagarą rozpaczy staczały się po mojej twarzy. Powiedziałam coś na próbę, aby pozbyć się chrypy i dodać sobie fasonu twarziela. Brzmiało to tak:

— Jasna cholera!

Potem sięgnęłam do potwora pana Bella.

— Halo?

— Co ty jeszcze robisz w domu?

Właśnie?! Zamartwiam się, histeryzuję, pluję sobie w brodę, rozpaczam, wylewam potoki łez, wpadam w dołek, łamię się, uprawiam czarnowidztwo. Chcę umrzeć, chcę się utopić (w tych łzach się utopię, a co!), rozdzieram szaty i posypuję głowę popiołem.

— Ogłuchłaś?!

— Niestety nie...

— Przecież czekam na ciebie!

„Już wiem, że czekasz. Żeby mi urwać głowę”.

— Yyyy... Ewa? A byłyśmy dzisiaj umówione? — Przez

5

mój piłkarski stadion przeleciał jęk kibiców gospodarzy: właśnie strzelono pięknego samobója.

— Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś?

Otóż to. Nawet na przyjaciółkę się nie nadaję. Próbuję nie chlipać w słuchawkę.

— Miałyśmy iść do kina. Czekam pod...

Z mojego gardła wyrywa się ryk godny rannego słonia. Zwierzę uważane poniekąd za symbol szczęścia buczy:

— Ewka, nikt mnie nie kocha!

Dojechałam do kina, starając się ignorować spojrzenia towarzyszy podróży. Jedno współczujące na dziesięć zaciekawionych. Po trzech przystankach zaczęłam się zastanawiać, czy powodem tłumnego zainteresowania są moje piękne oczy:

a) czerwone jak u hodowlanego królika angory, a ja przypominam heroinę kanału Romantica;

b) przesadziłam z czarną kredką, którą chciałam zamaskować wściekły róż i teraz wyglądam jak niewolnica z haremu, a spojrzenia należą do fanów egzotyki.

Szkoda, że nie mogłam wysiąść na pierwszym przystanku.

— Wychodzisz za szejka? — spytała Ewa, nie przerywając nerwowego dreptania.

Uff! Więc jednak nie wyglądam jak fanka Trędowatej.

__ Woody mawiał... — Ewka jako wieczna studentka kultu-

roznawstwa z gwiazdami jest po imieniu — ...że jak się nie zobaczyło początku filmu, w ogóle można go odpuścić.

Pauza.

— Ale ja nigdy nie byłam jego fanką. Pauza.

__ Chodźmy. — Wzięła mnie za łokieć i wepchnęła do środka. — Chociaż... — przystanęła na moment i cmoknęła mnie w oba policzki — ..poradzimy sobie.

Z życiem? Gdyby nie fakt, że obie jesteśmy zdecydowanie heteroseksualne, powinnyśmy zostać małżeństwem. Ale nawet jeśli byłybyśmy skłonne nagiąć nieco swoje seksualne przekona-

6

nia, to i tak nici z tego związku. Primo: po wspólnie spędzonym dzieciństwie byłby on tak kazirodczy, że obrażone niebiosy musiałyby we mnie trafić piorunem. Secundo: Ewka wciąż jest zakochana w swoim chłopaku.

— Puścił mnie kantem. — Rumienię się, lecz nic na to nie poradzę.

— Zostało ci coś po nim?

Stanął mi przed oczami test ciężowy.

— Negatywny — mówię, starając się równocześnie nie wybić zębów na sztucznym marmurze multikina.

Ewce znowu zaczęło się bardzo śpieszyć.

Kiedy zagłębiam się w ciemną salę z dużym światłem w tunelu (ekranem znaczy), zaczynam płacząco wspominać. I żałować, że wyszła mi tylko jedna kreska. Byłaby pamiątka (choć nie do postawienia na półce).

— Dobrze... — Oddycha Ewa, wskazując na monstrualnie wielką butelkę coca-coli. — Wciąż są jeszcze reklamy.

— Nie mamy popcornu — jęczę głośno, gorsząc przy okazji dwa ściśle wypełnione rzędy wokół nas.

Siedzimy.

— Nie chodziło mi o dziecko, stara kretynko! — Brawo. I na który epitet się obrazić? — Czy znów sobie czegoś nie...

Aha. O to jej chodziło.

— Nie — odpowiadam z miną urażonej niewinności, która zawsze uczy się na błędach.

Miałam wtedy osiemnaście lat i byłam bardzo zakochana. Miłość znieczula (i robi inne takie); wiem że znieczula, bo heroicznie kazałam sobie wytatuować na ramieniu imię kochanka i nie uciekłam z wraskiem spod igły. No, może szarpnęłam się raz czy drugi... Literki wyszły trochę krzywo. Krzywizna facetowi nie przeszkadzała, bo zmył się, nim zdołałam ją na tyle wygoić, by móc mu ją pokazać.

Zostałam na lodzie, ale zyskałam legendę — obcych mężczyzn strasznie kręci taka dziara. Nadymam się na imprezach i mówię, że moja ukochana aktorka — Angelina Jolie — też wytatuowała

7

sobie imię kochanka. Tyle, że jej tatuaż wciąż jest aktualny. Ale co w tym dziwnego? Który mężczyzna zostawiłby Angie?

Film się zaczyna.

Tytuł na ekranie informuje: **DZIENNIK BRIDGET JONES.**

Pięknie, Ewka, pięknie...

9 CZERWCA

Budzę się raniutko niczym skowronek (mały, szary ptaszek). Nie wiem co prawda, po cholere wstaję bladym świtem, skoro nie mam nic do roboty. Nie wychodzę do pracy, bo typowej pracy nie posiadam, a żadnej fuchy na razie mi nie zlecono. Głowa boli mnie tylko troszeczkę — żaden to kac po zalaniu robaka dwoma piwami (Ewce śpieszyło się do domu, do narzeczonego). Mojego eks tak obłożyliśmy wiedzłowato-chmielowymi klątwami, że pewnie obudził się dzisiaj z klejnotami dwunastolatka. Jako nieopierzeniec.

Film boski — dowód na to, co w pierwszej, myślącej chwili (miłość od pierwszego wejrzenia, phi!) nie wydaje się oczywiste: że doskonała książka świetnie wykorzysta kino. Ewa przez cały seans kibicowała Bridget, a ja — o zgrozo — Danielowi. Kiedy Hugh Grant wypadł z łódki, poczułam, że jestem równie mokra jak on.

— Hm, Anka... Gdybyś mogła, którego byś wybrała? — Nie mogła sobie darować przyjaciółka.

Jeśli był to test, to ja go nie przeszłam.

— Wiedziałam. — Popatrzyła mi głęboko w oczy, nim w ogóle zdążyłam się odezwać. — Zawsze wybierasz nieodpowiednich facetów.

O mamusiu, ratuj! Czy muszę dodawać, że kochaś Ewy jest prawnikiem? Nomen omen specjalizuje się w sprawach rozwodowych. To znaczy pomaga podzielić się eks-małżonkom książkami, których zawczasu przezornie nie podpisali.

8

— A propos facetów, co ten bileter tak się na ciebie gapi?

— Hę?

Tylko nie to. Chłopak niby to niechący podchodzi, a potem jak nie wrzaśnie:

— Pikachu!!! Hm.

Szczerzę się, jakbym wygrała milion u Urbańskiego, a jednocześnie przybieram kolor purpury jak ktoś, kto przyporządkował Oslo do pytania, co jest stolicą Finlandii.

— W zeszłym tygodniu byłam tu na kreskówce. No, na filmie animowanym...

— Wiem, co to jest kreskówka — mówi cierpko Ewa — ale nie wiem, co to Pikachu.

— Pokemon — wyduszam. — Mały żółty pokemon.

— Moja siostra to ogląda!

— Aha. Właściwie mój ulubiony kieszonkowy potwór to Meowth. Jest zły, ale trzeba dać mu szansę — chaotycznie zmieniam się w Marka Kotańskiego.

— Moja siostra to ogląda.

— No...

— Ale ona ma osiem lat. To o dwadzie...

— Wiem, o ile to więcej.

Wychodzimy z kina i drepczemy do najbliższego pubu.

— Z kim byłaś?!

Oho, kroi się scena zazdrości?

— Z Moniką — wyznaję. Na kłamstwie daleko się nie zajędzie. — To żona mojego eks — (paskudne słowo) — naczelnego.

— A, ta! Przecież ona jest jeszcze starsza od ciebie! — Czyżbym widziała jakiś grymas?

— Wiesz, Ewka, na starość się dziecinnieje.

— Rzeczywiście, moja babka...

U barmana zamawiam największe i najciemniejsze piwo.

— I bez piany!

*

9

Umyłam już zęby. Przeglądam się w lustrze: może taka sautć nie powinnam? Ech, powinnam, w końcu nie brak mi odwagi. Więc... Oto co widzę: nie za wysoka, ale i nie za niska. Blondynka — mężczyźni wolą blondynki. A blondynki wolą barbiturany...

Oczy zielone (trochę to naciągane — niech będzie, że zielone w odpowiednim świetle). Dalej idzie ciało: szyja do noszenia głowy, bynajmniej nie łabędzia. Piersi... Error, nie ma piersi. Nie ma? Muszą być! Muszą?! Dobrze, piersi... są (dwie dziecięce porcje lodów śmietankowych z rodzynką na szczytce każdej). Brzuch raczej płaski, cellulitis (patrz oczy). Pupa — najlepsza część w tej konkretnej osobie. Mała, kształtna i nabita. Za kolejną złośliwość boskiej instancji można uznać to, że nie urodziłam się z nią na twarzy. Ale miałabym rwanie — przynajmniej teoretycznie. Gorzej, że wybranek mógłby mnie nie przedstawić teściom, ale skoro i tak żaden tego nie zrobił, problem jest czysto akademicki.

Kłopot w tym, że ja całe życie chciałam wyglądać tak jak Ewka. Śniada, cycata brunetka. Ma taką figurę, jakby jej rodzice zapatrzili się na jakiś film z Giną Lollobrigida. Ech, życie, jak to mawiali w starych, zbuntowanych czasach. Raz się żyje — nikt nie da mi szansy na powtórne narodziny w ciele seksownej Włoszki. Jeżeli jednak reinkarnacja istnieje, to mam przynajmniej pewność, że odkąd zrezygnowałam z mięsa, nie odrodzę się po śmierci w skórze prosiaka. Najważniejsze to dbać o karmę (przepraszam — dbać o Karmę). Taaa, z okazji śniadania karmię się więc dzisiaj pomidorem. Żadne to co prawda wyrzeczenie: od pomidorów w każdej postaci jestem uzależniona (od tych w Krwawej Mary również). I tylko ta zima... Zima to dla mnie traumatyczne przeżycie — adios pomidory! Adios, adios, adios...

— Ma pani chłopaka?

— Pomidor.

— Ma pani pracę?

10

— Pomidor.

— Jest pani szczęśliwa?

— Pomidor.

— Jak zginęła Indira Gandhi?

— Pomidor?!

Ponieważ z braku kompana można pić do lusterka Krwawą Mary, z podobnych przyczyn mogą też jeść do lusterka kanapkę.

Stawiam wszystko na kuchennym stole i zaczynam śniadanie. Przeżuwam (kurczę, naprawdę mam takie wypchane poliki? Jak chomik!). Wysmarowałam górną wargę masłem. Pac — kawałek pomidora spadł mi na koszulkę. Muszę sobie zakonotować, aby w przyszłości — kiedy znów będę miała chłopaka — nigdy nie jadać z nim śniadań. To znaczy zaproszenia na śniadania będę oczywiście przyjmowała, ale nad ranem, kiedy mój mężczyzna będzie jeszcze spał, ja zniknę cicho i po angielsku, pozostawiając za sobą tylko dyskretny zapach perfum Gabrieli Sabatini. Faceci podobno uwielbiają takie komedie. Tylko co będzie, jak on wprosi się na śniadanie do mnie?

Co zrobić z tak doskonale rozpoczętą bladym świtem sobotą?

Odpowiedź na to pytanie przychodzi mi z łatwością: wrócić do łóżka i ją przespać.

10 CZERWCA

Niedziela. Słowem — Dzień Pański. Dzień, który należałoby święcić, leżąc brzuchem do góry. Dzień teoretycznie miły, lecz w praktyce największy upiór całego tygodnia. Straszący se-rialowymi powtórkami, wśród których prastary „Domek na prerii” traktował zmysły jeszcze najłagodniej. Dzień teleturniejów, których uczestnicy z mocno przesadzonym entuzjazmem reagują na taką wygraną jak plastikowy czajnik elektryczny. W zasadzie określenie „przesadzony entuzjazm” nie oddaje w pełni euforii

11

gospodyń domowych, które prosto z kuchni teleportuje się do studia telewizyjnego. Cieszą się z tego, jakby objawiono im wewnątrz Arki Przymierza.

Analizując dalej cienie słonecznej niedzieli: wyprawa do jedyne go otwartego w pobliżu sklepu po jedną jedyną butelkę wody mineralnej (niezbędnej do ulżenia zeschniętemu, skacowanemu podniebieniu) kończy się stagnacją w niemiłosiernym ogonku do kasy supermarketu. Kolejka zakręca, wiruje i zamienia się w stugębnego potwora. Potwór komentuje, obgaduje, poucza, syczy jak sto tysięcy szerszeni i krzyczy dziecięcym głosem: Ja chcę loda! Jak można się domyślać, lody lądują na rękawie czyjejs ulubionej bluzki. Kasjerka wrzeszczy, że „ono” zjadło produkt przed zapłaceniem, a tak się nie godzi, nawet kiedy ma się sześć lat i sześćioletni apetyt. Obśliniony papier służy za dowód winy, podobnie jak i bluzka...

Kiedy wreszcie udaje ci się uiścić opłatę za łyk krystalicznie czystej wody, czeka cię jeszcze przeprawa z harcerzem, który zawzięcie pakując butelkę do foliowej torby, próbuje zarobić na obóz. Z braku drobnych dajesz mu swojego szczęśliwego grosza, by nie zasłużyć na sprawność skąpca i nie poczuć na sobie surrealistycznego spojrzenia spaniela przebranego w szary mundurek. To jednak i tak nie wszystko: w drodze powrotnej może cię potraćić srebrzysta hulajnoga lub czyjś tatuś, który za dużo wypił do świątecznego obiadu.

Świąteczny obiad! Ha! Właśnie! Niedziela to dzień zbierania błogosławieństw na cały przyszły tydzień. W tym celu można się udać w gości do Pana Boga i odwiedzić Go w kościele. Generalnie jest to jednak pójście na łatwiznę, bo Bóg jest miłością i błogosławi każdemu (no, niestety, prawie każdemu). O ileż bardziej karkołomnym (czytaj: ambitnym) zadaniem jest poprosić o to samo własną matkę.

Mama, mamusia, matula, mameńka. Krępujące samo w sobie jest już to, że cię urodziła. Chcesz czy nie chcesz, oglądałaś wy-ściółkę jej macicy, ona rzygała przez ciebie i sprawiała jej wiele bólu. A przecież te dwie ostatnie rzeczy najczęściej nie mijają

12

wraz z porodem. Szczerość to szczerość, jakkolwiek brzmi. Ona od czasu do czasu sądzi, że albo jesteś podrutkiem, albo musiała cię adoptować. Zapewnia to spokój duszy przynajmniej do następnej niedzieli.

Niedziela, dom rodzinny, świąteczny obiad.

Mama: Kochanie, masz coś na bluzce.

Ty: O?

Mama: Zostanie plama.

Ty (w panice): Niemożliwe! To Morgan (co prawda z wyprzedazy, ale zawsze...).

Mama: Do wyrzucenia. Dobrze, że to tylko zwykła szmatka...

Ty (przypominają ci się wszystkie koszmarnie wyprawy na tekstylne zakupy z matką. Białe bluzki z koronką i spodnie dzwony. Zaraz, zaraz — czy dzwony znowu nie są modne? Są, inaczej nie miałybyś ich dzisiaj na sobie. W większym rozmiarze, rzecz jasna): podajesz z dumą cenę bluzki.

Mama: Ile za to zapłaciłaś?!

Ty: milczenie.

Mama: To plama od czekolady.

Mama: Nie powinnaś tyle tego jeść.

Mama: Tyjesz od tego.

Mama: Robią ci się pryszcze.

Ty: To nie moja czekolada!

Mama: prychnięcie.

Tato (tak, tak — masz jeszcze tatę!): Daj dziecku spokój!

Ty (znowu w głowie): Jak fajnie, że ludzie nie rozmnażają się przez pączkowanie (tu następuje wizja twoich rodziców robiących TO. Cholera, czujesz się jak podglądacz. W dodatku nie wierzysz w to, co widzisz. Chociaż to tylko oczy duszy).

Tato: Sama?

Ty: zastanawiasz się, skąd już wiedzą, że jesteś puszczone kantem, skoro ty się ciągle jeszcze nad tym zastanawiasz.

Tato: Przyszłaś bez Roberta...

13

Uf.

Ty (kłamiąc): Poszedł do swoich rodziców.

Tato: Powinniśmy się w końcu wszyscy spotkać razem.

Mama: My i jego rodzice.

Tato: Postanowilibyście coś...

Ty: Co?!

Mama: Latka lecą... Ja w twoim wieku już ci zmieniałam pieluchy.

Ty: Serio, mam? A ja myślałam, że chodziłaś na wywiadówki.

Tato (dziwnie): Cóż...

Mama: A praca?

Cisza.

Tato: Zrealizuj się wreszcie, dziewczyno.

I jeszcze: Ile ci pożyczyć?

Mama: Łap Roberta, bo w końcu cię zostawi.

W tym momencie plujesz rosołem.

Tato i mama (prawie chórem): Córeczko, stało się coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Ty (ze świadomością, że za łganie z piekła nie wyjdiesz): To ta zupa. Mówiłam, że chcę rosół warzywny. Przecież wiecie, że nie jem mięsa.

Tato: spokojnie się pożywia.

Mama (również uspokojona): A cóż ja tutaj tego mięsa włożyłam. .. To jakby krówka zanurzyła tylko kopytko (zachichotała).

Cholera, kopytko! Tak w ogóle — czy krowy mają kopyta? W każdym razie Poniatowski też zanurzył jedynie oficerek, ale się utopił. Zresztą krowa również nie uszła z życiem.

Kurczę, domowe obiady zawsze psują mi karmę. Jestem współwinna morderstwa!

Tato...

Mama...

Aaaaaa!

Niedziela wieczór: hop do łóżka. Pustego.

14

11 CZERWCA

Niedobrze — to poranne wstawanie wchodzi mi w nawyk. W efekcie zyskuję parę dodatkowych godzin do spędzenia na niczym. Gdybym była w lepszym nastroju (lub wyciągnęła jakieś charytatywne pieniądze od rodziców — ale po co?), może napisałabym jakieś CV albo... Albo podlała paprotkę. Gdybym oczywiście miała jakieś kwiaty... Cholera, nawet pomidory się skończyły. Znowu trzeba będzie iść do sklepu.

Nie, będę głodować i schudnę. Zagłodzę się do figury modelki, a potem zacznę się frustrować, że w moim wieku nawet naj-chudszej nikt by nie wpuścił na żaden wybieg; z wyjątkiem takiego dla psów.

Wzwiązku z tym dzisiaj wchodzi w grę tylko wysiłek duchowy. Będę myśleć o sensie-seksie życia i mantrować. Ommm, ommm, ochchch...

Będę myśleć pozytywnie i wyobrażać sobie różne rzeczy... Wyobrażę sobie osoby, które chciałabym, żeby do mnie zadzwoniły. Robi się to tak: wyobrażasz sobie twarz kogoś takiego, a potem umieszczasz w myślach na jego czole gwiazdkę i nadajesz przez nią nazwisko, albo jeszcze lepiej imię szczęśliwca. Potem bywa, że on do ciebie zadzwoni albo wejdzie na siebie w spożywczym... Mantrowanie imienia jest lepsze od mantrowania nazwiska, bo nazwisko zawsze można przekreślić. Wiem, co mówię, nadawałam kiedyś przez gwiazdkę do jednego faceta, a on ożenił się z inną kobietą. Dopiero przy odczytywaniu przysięgi ślubnej okazało się, że on nazywa się Blusz, a nie Bluszcz, jak nadawałam. Cholerna polszczyzna.

Driiiiiiin.

Dzwoni?! Rozwiedli się? Niemożliwe...

Jasne, cholera, że niemożliwe!

— Halo, Anka?

— A kogo się spodziewałaś o tej porze — mówię do znajomej z dawnej redakcji. Redakcji, która kwartał temu wyciągnęła kopyta, posyłając cały zespół na zieloną trawkę.

15

— Pracujesz? — pyta Magda.

— A skąd ci to przyszło do głowy?

— Jest wcześniej, a ty już na nogach... — Bada sytuację.

— To tylko bezsenność. A ty?

— Właśnie w tej sprawie dzwonię. Jestem teraz w „Trzydziestolatce” i zastanawiałam się, czy nie napisałabyś nam jakiegoś tekstu. Najlepiej coś o kinie...

— Eee... Ty tak z dobrego serca?

— Pomyślałam, że zrozumiesz nasze czytelniczki.

Trochę pośpieszyła się z tymi moimi urodzinami — prezencik na trzydziestkę. Jednak lepszy wróbel w garści niż orzeł na dachu, jak mawia moja matka. A propos, czy mówiąc o wróblu, miała na myśli tatę?

— To co, wchodzisz w to?

— Tak jest! Już się melduję.

— No to tekst na piątek. Pa! — Rzuciła słuchawką.

Tak. Stęskniłam się za płynem na wrzody żołądka prawie tak samo jak za terminami. To podobno syndrom bezrobotnych — najpierw chce ci się robić absolutnie wszystko, a potem długo, długo absolutnie nic. Czytałam o tym chyba w „Forum”. A teraz pani redaktor. „Trzydziestolatka”. OK. OK. OK. Lakierowana okładka, duże litery (żeby do czytania nie trzeba było używać okularów) i markowe stroje w stonowanych kolorach. Jak widać, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje (prawa autorskie również powinny należeć do mojej matki). Ha! A myślałam, że oddelegowano mojego anioła stróża. Jasne, że nie wolno jeszcze popadać w euforię ani przywoływać grymasu świętej Teresy z Avila, ale... Gdyby tak jeszcze małe bzykanko? Koniecznie o smaku bananowych prezerwatyw (traskawkowe ładniej pachną, ale ja mam uczulenie na truskawki). Może jednak znowu zdać się na gwiazdę? W końcu tyle małżeństw się rozwodzi.

„Anno, zejź na ziemię. Z ciebie jest egoistyczna i niewyżyta erotycznie świnia. Pokuta!” — twój anioł stróż.

16

Kupiłam pomidory. Zrobiłam to w godzinach bardzo popołudniowych, kiedy skręty pustych kiszek przypominały już skurcze wczesnoporodowe. To musiaoby być umuzykalnione dziecko (ciekawe po kim), bo z mojego brzucha autentycznie dobiegały urywane dźwięki IX Symfonii. Kłopot w tym, że kiedy usiadłam do tete-a-tete z kanapkami, mój domofon dał głos.

Brzęknął trzy razy i uciszył się. Znałam ten szyfr. Znałam też ten warczący głos:

— Złaź na dół!

Ewa pomachała do mnie z bajeranckiej czerwonej fury swojego pana Porządnego.

— Cześć! — Uśmiechnął się do mnie, kiedy oparłam się o drzwi gestem Julii Roberts z Pretty woman.

— Poprawił ci się nastrój? — zapytała Ewka, pociągając nosem.

Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że rzeczywiście. Tak jakby.

— Choroba dwubiegunowa — burknął facet bardziej do kierownicy niż do nas. I taki był zmartwiony... Oczywiście martwił się o Ewę, a nie o mnie. Hm, czy ta choroba dwubiegunowa jest zaraźliwa? Jeśli tak, to nie ma sprawy. To znaczy jest, ale znaczy to też, że to nie rak, czyli chyba trzeba się cieszyć.

— Mamy coś dla ciebie. — Uśmiechnęła się do swej drugiej połówki o imieniu... Zgadnijcie?

Jakiś Adam? Nie! Wenecjusz! Tak! Ale to nie jej wina. Nie urodził się jeszcze facet idealny.

— Co to jest? — pytam, kiedy przyjaciółka wyciąga coś z koszyka stojącego pomiędzy jej stopami.

— O rany, to żyje! — mówię. — I piszczy.

Ewka wciska mi przez samochodowe okno ciepły i jasny kłębek sierści.

— Nie mogłaś zacząć od paprotki?

— Zapewni ci towj«flg^n>£ędzie cię kochać.

— My też cię кохяты — 8eB|/wa się Wenecjusz. — Ale

sama rozumiesz, że

kochamy bardziej.

17

Dostałam sunie!

Znaczy nie całkiem. Zastanawiałam się nad tym do chwili, gdy mój wzrok spotkał się ze wzrokiem tego czegoś z futra. To nie su-nia, ale musiałam wypalić coś niezłego i najwyraźniej o tym zapomnieć. Cholera, trzymam na rękach ufoludka!

Jakie błękitne oczy!

Piękne!

— W poradnikach piszą — mówi Wenecjusz — że swym mruczeniem koty świetnie wpływają na psychicznie chorych...

Wielkie dzięki. Ale mam koteczkę!

— To zapach jej mamy. — Ewa podaje mi słoiczek ze żwirkiem. — Wsyp do kuwety, to nigdy nie obszcza ci parkietu.

Zapach mamy!

O rany, ale to śmierdzi! Nieważne. Czy ten kot jest krzyżówką pumy z yeti?

— To kotka syjamska — informuje Ewka, podając jeszcze czerwoną kokardę. — Nie pozwoliła zawiązać sobie na szyi. Ma charakterek!

Zupełnie jak paprotka... Kwiat paproci... Strażnik kwiatu paproci...

— To prezent na urodziny. — Ewa kicha po raz pierwszy. Wszystkim coś się śpieszy do tych urodzin, tylko nie mnie. Wenecjusz korzystając z okazji, dziękuje mi za prezent na

jego trzydziestkę — oczywiście poradnik, oczywiście Marsjanie i Wenusjanki w sypialni. Wszystko jest tak oczywiste jak i to, że ten facet zarabia osiemdziesiąt baniek w swojej firmie. Tymczasem Ewa kicha i kicha.

— Jedź! — Trzepie narzeczonego w ramię. — Mam alergię na koty...

Wynika z tego, że zyskałam kota z Syriusza — tej „psiej

gwiazdy" — a straciłam przyjaciółkę.

Kotkę nazwę Luna.

*

18

Mam mniej więcej dwumiesięcznego kota „madę in Taiwan", składanego w Polsce.

Pozbyłam się tylko kokardki, łyknęłam plaster pomidora, by nie umrzeć z głodu, i pobiegłam do jedynej czynnej o tej porze (godzina dwudziesta zero zero) księgarni, to jest paru półek z książkami w

hipermarkecie Tesco. Musiałam się dowiedzieć czegoś o kimś, kogo wpuszczono pod mój dach. Obsługa trochę się krzywiła, że niby ze zwierzętami do Tesco nie wpuszczają. Wtedy im odszczeknęłam, że Luna to nie zwierzę, tylko inna forma życia.

Przystojniak z biura obsługi wpuścił mnie przez służbową bramkę:

— W drodze wyjątku, agentko Scully. Wiem już, jak wygląda podryw na kota.

W dziale „Książki” znalazłam tylko jakiś cholernie drogi album o kotach rasowych (czy broszurki dotyczą tylko dachow-ców?), na który nie było mnie stać, więc ustawiłam się w cieniu gospodarczej kamery i zaczęłam czytać notatkę o syjamach. Na początek mogłam porównać wściekle miauczącą Lunę ze zdjęciem przedstawiającym dorosłego kota jej rasy.

— Popatrz, kochanie, nawet jeśli będziesz grzeczna, to i tak będziesz tak wyglądać, gdy urośniesz. — Od razu zaczęłam popełniać błędy wychowawcze swoich rodziców.

Kot zamilkł.

Z fotografii patrzyło na nas zwierzę arystokratyczne do obrzydliwości. Miało mleczno-kawową sierść z ciemnoczekoladowym pyskiem i spiczastymi uszami. Długie kończyny, bi-czowaty ogon — orientalna piękność. Piękność, która patrzyła w obiektyw kobaltowymi, lekko zezującymi oczami. I nic na tym defekcie nie traciła. Ba! Zyskiwała! Zyskiwała tajemnicę.

Dowiedziałam się, że Luna:

— należy do najstarszej rasy hodowlanej uszlachetnionej przez człowieka... (???)

— jej praprapra(...) babki (nieuszlachetnione?) wegetowały w ogrodach zoologicznych...

19

— Luna będzie miała „ognisty temperament” (w porę zmienić imię na Carmen, Scarlett, Alexis?)...

— Lunę (czy zostanie to imię?) można nauczyć aportować...

— pocieszy mnie w smutku i chorobie (bomba!)...

.. jeśli nie będę na tyle chora lub w podeszłym wieku, że harce syjamki mnie zamęczą.

Kupiłam kolorowe plastikowe miseczki (słyszałam, że aluminium jest szkodliwe, więc odpuściłam sobie wszystkie miski w kolorze srebrzystym — pasowałyby do sierści, ale kto wie, czy to właśnie nie aluminium?). Do zdobytego gdzieś na sali wózka załadowałam też kuwetę, by móc wsypać do niej „zapach mamusi”. Do kompletu dodałam jeszcze potwornie ciężki worek ze żwirkiem, tuzin puszek z karmą, a także mnóstwo pudełek i pudełeczek. Na wieczku każdego z nich gościło małe kocię.

Przy kasie pomógł mi się spakować przystojny fan „Z Archiwum X”.

Kiedy wyjmowałam i oglądałam każdą z zakupionych rzeczy (już w domu, w niemilknącej, drepczącej asyście Luny), znalazłam wypisany na paragonie numer telefonu. Kot wie — może się z nim umówię? Znaczący z owym mężczyzną. Z tego co pamiętam, miał kręcone włosy. Może należy się pomodlić, żeby to nie była trwała?

O północy czułam się zupełnie jak kocia mama!

Luna ślicznie je i pije, i kupkę robi!

Oczywiście od razu wpuściłam ją do łóżka. Swoją drogą myślę, że mężczyźni nie lubią jak dzieci gramolą im się do wyrka. No, chyba że skończyły szesnaście lat i są cudzymi córeczkami... Moje kocie dziecko zostanie w moim łóżku choćby... Choćby?! Choćby?!

„Trwała” nie ma chyba nic przeciwko kotom?

Ja na pewno nie. Luna wtuliła się w moją szyję. Nie chciałam zasypiać, by nie zrobić jej krzywdy i nie zamykać oczu na piękno tego śpiącego obrazka.

20

12 CZERWCA

Obudził się we mnie dziwny instynkt będący połączeniem instynktu macierzyńskiego i instynktu hodowcy; jak się dobrze zastanowić, wychodzi, że to jedno i to samo. Założyłam Lunie granatową (znaczy „rasowo” wyglądającą) obrózkę, która pasuje do koloru jej oczu. Wyszczotkowałam ją czymś, co się nazywa „kocie zgrzebło” i obsypałam ładnie pachnącym (bzem?), suchym kocim szamponem. Prawdę powiedziawszy, sierść Luny jest teraz napuszona i sterczy na wszystkie strony, co bardziej pasuje do persa niż do syjama, ale przecież nie od razu Rzym zbudowano. Na razie idę z kotką do weterynarza. Pełny przegląd!

Oooo! A to kto? Przed lecznicą zatrzymał się czerwony sportowy samochód, z którego wyskoczył istny Adonis. Facet, który wyglądał tak, eee, inaczej niż jakikolwiek dotąd znany mi facet, że w ogóle bardzo trudno byłoby mi go opisać. Użyję tylko jednego złożonego przymiotnika: nieprawdopodobnie seksowny. Mniemam. Zaraz, zaraz, to zwierzę nie. wyciągnęło z gabloty żadnej nieludzkiej istoty. Czyżby... Juuuuhuuuu!!! To weterynarz!

Poprzepuszczałam parę osób, aby w ostatecznym rozdaniu trafić na ten weterynaryjny ideał. Udało się, ale Luna wcale nie była zadowolona z przedłużającej się obecności w tym miejscu. Obce koty nie spuszczały z niej oczu wielkich jak spodki, a przed momentem jakiś wielki pies (dog?) wcisnął łeb do torby, w której ją przyniosłam.

— Co my tutaj mamy? — zapytał weterynarz, kiedy weszłam do gabinetu.

Już chciałam wyrecytować swój życiorys, wymiary i średnią ze studiów oraz to, że nie dotyczy mnie żadne schorzenie genetyczne (może z wyjątkiem babcinego Alzheimera), ale w porę ochłonęłam: chodziło tylko o Lunę.

— Mam kota — mruknęłam i wyjęłam małą z torby. Jakoś dziwnie na mojego kota popatrzył.

— Syjamka.

21

Kiwnęłam głową.

Luna wydawała się taka malutka na wielkim metalowym stole, że wyrwało mi się z ofeliowym przydechem:

— Panie doktorze, ale czy ona jeszcze urośnie? Roześmiał się:

— Oczywiście. Wszystko rośnie.

Czy mówiąc to, miał coś na myśli? Robię się nieprzyzwoita, odkąd romantyczności w moim życiu za grosz.

— Śliczna kotka, cudowny mądry koteczek. Obejrzymy sobie... Jaka zdrowa. Oho, chyba coś się zrobiło z uszami... Ład-niutki pyszczek. I oczy ma takie niebieskie...

Mówił do Luny, a ja rozpływałam się z rozkoszy wcale nie-matczynej.

— Musi pani być z niej bardzo zadowolona?

— O tak. — Roztopiłam się w jego oczach, które wyglądały jak oczy Paula Newmana (tego od filmów i majonezów — na opakowaniach tych ostatnich lepiej widać jego oczy niż na starym wyblakłym fotosie), co powinienam chyba potraktować jako dobry znak.

13 CZERWCA

...ale nie piątek!

W liceum miałam znajomego, no, prawie chłopaka... Tak, chłopaka... Znajomego, który „na wszelki wypadek” nigdy nie przychodził do szkoły trzynastego. W ogóle nie wychodził wówczas z domu, nie gotował, nie myślał nawet o seksie. W sumie emocjonalny popapraniec. Łgał wychowawczyni, że to ja zmuszam go do wagarów, aby tylko nie przyznać się do swojego potwornego zabobonu. Bo teraz, pod koniec XX wieku, to takie passe (jego matka uczyła francuskiego). Tak czy inaczej, niekiedy — z czystego sentymentu — brakuje mi tamtego chłopaka. Ilekroć sobie o tym przypominam, specjalnie przechodzę drogę,

22

którą przebiegł czarny kot, zamiast czekać na odczyniającego pecha łysego w okularach.

Tym razem nie zwracając uwagi na datę, pobiegłam radośnie z kocią do lekarza. Wyniosłam minęłam pielęgniarkę i jak w dym podeszłam do niego — osobistego weterynarza Luny. Po cichu zastanawiałam się, czy gdybym zaczęła miauczeć, też by się mną tak uroczo zaopiekował. W chwilę później wszystko runęło.

Kanaaa!

Dlaczego wcześniej nie dojrzałam obrączki na tym uroczym, męskim palcu?!

O żesz cholera, przecież przysięgałam sobie, że nigdy nie będę zadawać się z mężczyznami, wyjąwszy własnych. Nie będę suką i nie odbiję mężczyzny innej kobiecie! („Naprawdę?” — to głos wewnętrzny). Siostry! My musimy się wzajemnie wspierać! Cholera jasna, a jeśli on założył tę obrączkę, bo za bardzo się do niego przystawiałam? Co za wstyd.

Wychodzimy z gabinetu: Luna z oklapniętymi uszami, ja z oklapniętą duszą.

Postanawiam na dzisiaj:

— nie wychodzić,

— nie gotować,

— nie pisać.

Postanowień seksualnych nie podejmuję.

14 CZERWCA

Święto — co oznacza, że nie mogę iść z Luną do czyszczenia uszu. Z drugiej strony powinnam przełamać swoją egoistyczną postawę w obcowaniu z bliźnimi, nawet jeśli znajdują się oni na innym stopniu drabiny ewolucyjnej, w związku z czym miauczą i chodzą na czterech kudłatych łapach. Nie ma się co oszukiwać, od tego ciągłego gmerania wacikami uszy Luny roz-

23

jechały się na boki i teraz kotka wygląda jak fenek, zwany też pieskiem pustynnym.

Mrucząc, Luna przyszła do mnie do łóżka — poprzytulamy się chwilę.

Święto Bożego Ciała. Jeśli dobrze pamiętam, czternasto- lub trzynastowieczne. W katedrze Canterbury (a może była to bazylika w Cluny?) świętemu Hugonowi (Hubertowi?) podczas mszy zaczęła krzyżeć hostia. Ten fakt rychło postanowiono uczcić i czczony jest do dziś. Tylko co z tego...

Niekiedy dziwi mnie (a nie powinno!), dlaczego nie można dogadać się z rodzicami. O naiwności — przecież gdybym spróbowała porozumieć się z jakimś swoim trzynastowiecznym, na-ćpanym sporyszem (brak nawozów sztucznych) przodkiem, ten spaliłby mnie na stosie za mój makijaż. Ha! Trudno byłoby jednak mówić o zaskoczeniu — kiedy którejś nocy, wracając z imprezy, zaczęłam spojrzeć w lustro, też zaczęłam wrzeszczeć: świecące w ciemności cienie i pomadki Manhattanu to po paru drinkach ryzykowne gadżety.

W sumie lubię ten dzień i poszłabym na spacer — latarnie obwieszane kolorowymi bibułkami, ulice toną w kwiatach. Można się przekonać, dlaczego życie nie jest tańcem po płatkach róż — zbyt łatwo się poślizgnąć.

W kompleksy wpędzają mnie te ośmioletnie dziewczynki: w białych, komunijnych sukienkach wyglądają zupełnie jak ślubne oblubienice. Jasne, że koronkową bezę trzeba by wciskać na mnie siłą, ale do ołtarza jestem skłonna pobiec jak maratończyk. Co to robi z człowieka tradycyjne wychowanie...

— Włóż, kochanie, te skarpetki — cedziła moja matka, machając mi przed nosem dwoma kawałkami dzierganej bawełny.

— Nie!!! — buntowałam się z całą mocą. Nie był to jednak bunt młodzieńczy dla samej zasady zagrania starszym na nosie. Miałam już białe rajstopy.

24

— Będzie ci za zimno! Natychmiast proszę włożyć te skarpety!

W czasach, kiedy ja dreptałam do Pierwszej Komunii Świętej, skarpetki nałożone na rajstopy wyglądały naprawdę okropnie. Nie było jeszcze wtedy słynnego Galliano, który na Fashion TV wytłumaczyłby mi, że jest na odwrót: że to szczyt paryskiego, duchowego szaleństwa. Niedoinformowana więc, zaprotestowałam raz jeszcze. Wcześniej nauczona doświadczeniem nie bawiłam się już w takie niuanse, że „wszystkie dziewczynki będą się ze mnie śmiały”. Nikt nie bierze pod uwagę obserwacji spofecznych kogoś, kto dowolnemu mężczyźnie może przejść pod pachą.

— Anka! — matka desperowała. — Spóźnimy się do kościoła. Milczałam.

— Anula, jak nałożysz skarpetki, to nie zakręcę ci na szczotce loczków.

Hm, ewidentne przekupstwo. Wolę wyglądać jak pudeł czy jak wariatka? Takie pytanie może zaważyć na całym przyszłym życiu (głęboko wierzę, że czułam wtedy tego Galliano przez skórę)!

— Dobra, mamó. Wkładam skarpetki.

Oczywiście wszystkie dziewczynki w kościele nabijały się z mojego ubraniowego ekscesu, a problem noszenia skarpetek na rajstopy na trwale zagościł w katechetycznej świadomości. Wpływał nawet w postaci docinków po wakacjach. Nie ma to jak niewinne istotki! Ja miłosiernie odpuszczam, kiedy one dwadzieścia lat później próbują rozprostować swojego nadpalonego trwałą pudła.

Tamte skarpetki spowodowały dyskusję tak palącą, że wyparły nawet mój wcześniejszy eksces: na komunijnej próbie, odurzona zapachem kwiatów nieelegancko zaczęłam się dusić, a przez to rozpaczliwie szamotać przed samym ołtarzem. Dostałam wtedy ksywkę „Dziewczyna Egzorcysty”.

„Dziewczyna Egzorcysty!” — wy ośmioletnie samotne pudlice!

Idę jednak na spacer. Z kotem!

15 CZERWCA

Ludzie dostają piętnastego wypłatę, a ja — okres. Jak ja tego nienawidzę! To znaczy, żebyśmy się jasno zrozumiały—jeszcze bardziej nienawidziłabym ciąży (przyпускаjąc, że moja ni^hęć do pierwszej fazy macierzyństwa wynika z tego, iż będąc w okresie pokwitania, o jeden raz za dużo obejrzałam Obcego — Ósmego pasażera Nostromo). Czytałam ostatnio, chyba w „ELLE”, że wymyślono już tabletkę antykoncepcyjną dla wyjątkowych, zawodowo zapracowanych kobiet. Takich, co to są prezesami wielkich koncernów albo choćby firm. Menedżerami i maklerami, finansistami — takie babki pracują jak faceci i nie chcą, by co miesiąc im przypomniano, że w rzeczywistości są kobietami w przebraniu („Kobieto, puchu marny”).

Chciałabym taką pigułkę.

Mój żonaty znajomy stwierdził, że taka pigułka byłaby do dupy, bo on naprawdę bardzo się cieszy, kiedy żona melduje mu o kolejnej miesiączce. „Wiesz, Anka, to taki wczesny system ostrzegania” — powiedział. Nie mogłam pojąć, czy ona jest, czy też jej nie ma? W każdym razie u niej jest. Są również odpowiednio wcześnie przygotowane tampony — najmniejszy rozmiar. Najmniejszy i z potrzeby, i ze snobizmu, i dla bezpieczeństwa. Podobno siostra tego znajomego, o którym wspomniałam wcześniej, poszła na basen, zaaplikowawszy sobie największe OB. No i jak to OB zaczęło ssać chlorowaną wilgoć, to dziewczyna mało się nie utopiła. Dno!

Nie wiem, dlaczego właśnie podczas okresu przychodzą mi do głowy takie koszarne tematy. To pewnie hormony... Błkitna woda z reklam robi z nas bezdzietne księżniczki, a my jesteśmy tylko sfrustrowanymi samotnymi samicami. I niektórzy to widzą. A niektóre — te niesfrustrowane — nienawidzą nas za to. Nie tak dawno, kiedy spokojnie wsiadałam do jakiegoś autobusu, wtarabaniła się przede mną młoda matka z dwojgiem dzieci. Jedno, starsze, szło przed nią i robiło przejście. Drugie niosła na rękach. To niesione popatrzyło na mnie oczami ewidentnie jeszcze

26

z tamtej strony. Popatrzyło z obrzydzeniem i zafascynowaniem, jakbym była co najmniej kosmicznym robalem, a potem jakby nigdy nic wsadziło mi palec w oko. I nikt z całego autobusu mnie nie pożałował. Tylko fukali, że od mojego wrzasku również mały Lecterek się rozwrzeszczał. Ciekawe co by było, gdybym to ja zaczęła tak epatować i machać nad głową swoim Marvelonem.

Inna sprawa, że jeżeli dalej nic się nie zmieni w moim życiu osobistym, to z czystym sumieniem będę mogła łykać zamiast pigułki witaminę C

Do diabła, w takich chwilach zawsze mi się przypomina moja pierwsza wizyta u ginekologa. Poszłam do niego właśnie po tabletki, bo wyraźnie miało do czegoś dojść w moim wczesno-licen- alnym związku. Wybrałam doktora Peonię przekonana, że musi być kobietą, bo który normalny mężczyzna pogodzi się z takim nazwiskiem. Oczywiście pomyłka na całej linii.

Peonia okazał się sympatycznym, siwym dziadkiem.

— No co, kwiatuszku? — zapytał, kiedy stałam naprzeciwko purpurowa i przerażona.

Z trudem wydukałam, o co mi chodzi.

Popatrzył raz jeszcze na to moje całe lat piętnaście i pół.

— A kwiatuszek to aby przypadkiem nie jest jeszcze dziewicą?

Głęboka purpura na mojej twarzy przeszła w inny, bliżej nieokreślony kolor.

— Spokojnie, kwiatuszku, to przechodzi — uspokoił mnie dobrodusznie doktor. Zaprosił na fotel.

— Na fotel, kochanie, nie na oparcie! — Teraz ja go wystraszyłam.

Kiedy w końcu schodziłam z tego narzędzia tortur przekonana, że jestem transseksualna, a ta trauma sprawi, że moje dziewictwo utrzyma się znacznie dłużej, niż sądzi doktor (ba! dłużej nawet, niż ja sądziłam), Peonia rzekł:

— Ale ty, kwiatuszku, masz ładne nogi.

W tamtej chwili — przynajmniej mentalnie — po raz pierwszy w życiu poczułam się kobietą.

27

Ale w przyszłości po recepty chodziłam do kogoś innego. Witamina C chyba nie jest na receptę?

16 CZERWCA

Zajęta wczoraj swoją bezpłodną kobiecością (oraz zdołowana równie bezpłodnym wieczorem piątkowym) zapomniałam odnotować postępy w swojej karierze.

Więc (z pełną świadomością zaczynam to zdanie od „więc” — niektórzy mają własną interpunkcję i gramatykę) wysłałam wczoraj Magdzie do redakcji filmową recenzję. Dokładnie rzecz biorąc, wmailowałam ją supernowocześnie, jak nie przymierzając jakaś dziennikarka „New York Observera” czy „Timesa”. Weszłam do kawiarenki internetowej i położyłam dyskietkę na blacie, przed nosem „interaktywnego” barmana:

— Proszę, czy mógłby mi pan to wysłać, bo w Internecie czuję się jak dziecko we mgle.

Spojrzał na mój płaski biust, który najwyraźniej jest zapóź-niony w stosunku do reszty ciała w procesie dojrzewania i mrużąc coś o inteligencji blondynek, wziął dyskietkę. Gdyby nie to, że naprawdę zależało mi, aby ten plik dotarł do Magdy, przedstawiłabym temu męskiemu szowiniście najnowsze, statystyczne badania. Wykazują one jasno, że jedynie 13,3% osób uważa, że blondynki są mniej bystre od brunetek.

36% mężczyzn woli brunetki, a 35,2% — blondynki. O cholera jasna, tracę przewagę!

— Gotowe. — Wrócił barman i oskubał mnie z dziesięciu złotych. Gentleman pieprzony!

Ledwie zdążyłam doczłapać się do domu, a tu dzwoni Magda.

— Słuchaj, nie przypominam sobie, byśmy się umawiały na tekst o Bridget Jones! — naskoczyła, psując wizję mnie jako re-cenzentki filmowej. A już widziałam siebie, jak siedzę na seansie

28

i bazgrzę coś w notesie takim specjalnym recenzenckim długopisem. Z żaróweczką na końcu.

— My zapowiadamy filmy, a nie recenzujemy!

Może powinnam wystać jej „Calms”? Strasznie się ta nasza Magda zestresowała w tej nowej pracy.

— A tak w ogóle, Anka, próbowałaś czytać to głośno?! Nie?! To ja ci przeczytam!

Oj!

Oj!

Magda zadzwoniła raz jeszcze, w południe. Była wyraźnie przygnębiona.

— Cześć, Aniu.

Moja urażona godność wzięła mnie na zakładnika i nie pozwoliła się odezwać.

— Widzisz, Anka... Szefostwu itwój tekst się jednak spodobał... No i tego, masz zielone światło... U nas.

— Dziękuję — powiedziałam, bo wiedziałam, ile musiało ją to kosztować.

Tak szybko się rozłączyła, że zapomniałam zapytać, gdzie kupuje się te recenzenckie długopisy. Hej, a może mi coś takiego przyśle z redakcji?!

Recenzja Dziennika Bridget Jones (fragment)

Autor: Ja

„Eeee... Czyja to Bridget Jones?! Czy to pytanie do wszystkich kinomanek czy do wszystkich kobiet? Nie wiem.

I tak, ciekawostka: Bridget — tę ikonę pop kultury — gra Angielka urodzona w Teksasie, która uczyła się mówić, jedząc amerykańską kukurydzę i słuchając przemówień Elżbiety, to jest Elżbiety II (znanej: a) jako profil na banknocie, b) jako zła teściowa Diany Spencer, c) jako królowa Anglii). Renee Zellweger (ta z Teksasu) musiała zjeść wyjątkowo dużo tych kolb kukurydzy, żeby przytyć do swojej roli. W ogólnym rozrachunku chyba przesadziła — moi znajomi uznali, że jej łóżkowa scena (after-

29

łózkowa) z Hugh Grantem wypadła niewiarygodnie. To znaczy, że nie znaczy to, iż niewiarygodnie. Bridget była dla filmowego Daniela za gruba! Możliwe, że gdyby była grabą Afroangielką z Teksasu, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, a tak nie. W sumie śmiałam się w kinie z zupełnie innych rzeczy niż pozostali widzowie. Konia z rzędem, kto to zrozumie.

A wracając do tego tycia, to »Harper's Bazaar«, ze względu na zbyt ambitną liczbę zbędnych kilogramów odmówiło Renee/ Bridget prawa do zaistnienia na okładce i to było świństwooooo-oooooooo!!!

Ale odgryzła się, a właściwie nie gryzła już tej kukurydzy; schudła i sfotografował ją »Vogue« (zamieszczając na okładce!), a to tytuł bardziej liczący się w świecie. Brawo Zellweger! Car-rey zaś to dupek z maskowatą twarzą (facet, który rzucił aktorkę, kiedy ta stała się Bridget. Taka karma).

Z filmowych mężczyzn bardziej podobał mi się Daniel, co skłoniło moją przyjaciółkę do wypowiedzenia ważkich słów, że zawsze wybieram niewłaściwych mężczyzn. A co ja poradzę, że Hugh Grant, który rozkosznie przeklinając, wypada z łódki, wygląda lepiej niż Colin Firth (obaj w mokrej koszuli — patrz BBC: »Duma i uprzedzenie«).

Dobra. Oddaję głos do studia".

17 CZERWCA

Uwaga:

Kanał!

Ponieważ jest niedziela, a ja nadal nie mam faceta, u którego mogłabym ją spędzać, pojechałam do rodziców. Na chwilę, bo skoro mam kota, to muszę być odpowiedzialna i nie mogę malutkiej pozostawiać zbyt długo samej. W dodatku osamotniona Luna ma tendencję do głośnego miauczenia, które w końcu sprowadzi na moją głowę działaczy Stowarzyszenia na Rzecz Opieki

30

nad Zwierzętami. Gdybym ja zaczęła pisać z takim natężeniem, jedyne co by mnie czekało, to muskularni pielęgniarze z Tworek. Oto przykład wyższości kotki nad kobietą.

Pojechałam do rodziców i już kiedy wysiadałam z windy, miałam to niepokojące wrażenie, że pomyliłam piętra. Spod drzwi rodzicielskiego domu najwyraźniej w świecie dobiegało szczekanie psa. I to psa nie byle jakiego, jak mogłam się przekonać naocznie, kiedy ojciec w końcu usłyszał dzwonek i mnie wpuścił.

— Wiesz, Aniu, mama kupiła sobie szczeniaczka! Pitbulla!

Szczeniaczka? To przecież rasa, która już w psiej piaskownicy jest w stanie przegryźć ci gardło (nawiasem mówiąc, pies wyglądał całkiem sympatycznie, jeśli w ogóle jest to dobry przymiotnik w odniesieniu do psa). Byłam skłonna przypuszczać, że mama kupiła tó' zwierzę, aby w awaryjnej sytuacji (mojej, jakby jeszcze ktoś nie wiedział) mogła wykręcić się od opieki nad Luną. I to ma być babcia!

— Mama kupiła tego pieska, bo nie możemy doczekać się od ciebie wnuka. — Spojrzała na mnie trochę złośliwie, ale trochę z pretensją. — A ten psiak to ma i metrykę, i rodowód.

Czyżby mój własny ojciec insynuował coś a propos mojego prowadzenia się?

— Mama wie, że unikam psów — burknęłam urażona. Chodziłam kiedyś z pewnym facetem, który patologicznie bał

się tych stworzeń, więc kiedy spotykaliśmy jakiegoś na ulicy, chował się za moimi plecami — oto przyczyna moich psich lęków. Nawiasem mówiąc, jego rodzice od zawsze hodowali jamniki i syn im wyszedł też jakiś taki... jamnikowaty. Został aktorem i się rozpił, kiedy w jakiejś popularnej sztuce co wieczór kazali mu grać z psem. Pies był szkolony i nawet w zawodach policyjnych zdobył medal za największą „ciężość”. Biedny Mariusz!

— A tak w ogóle, to gdzie ona jest?

Tato wzruszył ramionami i powrócił do robienia zupy z papierka. Zaraz jednak dodał:

— Wyszła robić karierę.

31

— W niedzielę?! — Podskoczyłam, choć przecież wiedziałam, że mama miewa skłonność do przesady, cyklofreniczka jedna...

— Poszła na spotkanie konsultantek Avonu czy jakoś tak. Pięknie, pięknie. Jak nic będę teraz zmuszana do używania

cud-fluidu.

— W ogóle chciałbym iść za chwilę do Tadka... Są ważne zawody na Eurosporcie, a u nas znów wywalilo kablówkę.

„Oj, tato...”

— Zostałabyś może u nas i popilnowała psa? — poprosił. — Żona Tadka kupiła sobie persa — dodał jakby na usprawiedliwienie.

„Tato, ja mam syjamkę” — chciałam warknąć, ale w porę przypomniałam sobie, że jest niedziela i nie powinnam wprowadzać złej atmosfery.

Koniec końców wróciłam do domu, nie zobaczywszy mamy. Ojciec wziął Lorda (tak się wabi) do Tadeków. Lepiej niech od małego przyzwyczaja potwora do kotów...

18 CZERWCA

Poszłam do apteki.

- Poproszę coś odczulającego.
- Sierść, pyłki...?
- A ma pani magister coś na mężczyzn? Kobieta popatrzyła na mnie dłuższą chwilę:
- Na pewno miała pani na myśli odczulenie?
- Miałam na myśli futro kota.
- Zyrtec. Małe opakowanie?
- Na ile to wystarczy?
- Duże jest na receptę.
- No to ja poproszę trzy, te małe oczywiście.

*

32

Ewka powitała mnie potężnym kichnięciem.

- Ja wiem, Ewa, ja wiem. — Podałam jej opakowania lekarstwa. — Łykaj to, nie mogę przez jakąś alergię stracić przyjaciółki!
- Też cię lubię. — Kichnięcie. — A od tego się nie tyje? Cholera jasna, nie pomyślałam, nie zapytałam!
- Nie mam pojęcia. — Wlepiam w nią wzrok jak spaniel.
- Nieważne. Co?
- Czym ja sobie na ciebie zasłużyłam — znowu się rozklejam.
- Uspokój się, to ja miałam fatalną karmę. Cisza.
- Hej, żartowałam!

Ciężka atmosfera jednak narosła. Przeze mnie.

- Ewa, dlaczego Robert mnie zostawił?
- Nie mam bladego pojęcia.

Nie wiem dlaczego, ale odpowiedź bardzo mnie rozśmieszyła. Nas obie. Tarzamy się po Ewkowej kanapie jak pijane norki. Tarzanie przerywa telefon.

- Tak? — Ewa podnosi słuchawkę. — Nie przeszkadzaj nam teraz!

O, nakrzyczała, nie zważając na słuchawkowe manitou.

Znowu dzwoni, nie odbieramy. Włącza się automatyczna sekretarka: „Tu Wenecjusz. Ewa, powiedz Ance (cześć, Anka!), że głowa do góry. Że odpowiedź znajdzie w Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus Johna Graya. Cholera, wydawało mi się, że ona już to czytała... Widać niedokładnie... Taaa. A teraz mówię wprost do Anki: niech pamięta! »Mężczyźni są jak fale, kobiety jak sprężynki«”.

— Na odwrót! — krzyczę, mimo że Wenecjusz mnie nie słyszy.

— Na odwrót — Ewka litościwie odbiera, ale przełącza na podsłuch.

— Coooo, mężczyźni są jak sprężynki?! — grzmi z głośnika.

33

— Jestem falą! Jestem falą! — Przetaczam się jak pijana norka, która zapatrzyła się na morze. Wstrętnie jest nie mieć faceta. Jak strasznie by było, gdyby zabrakło przyjaciółki? Nawet nie chcę o tym myśleć.

19 CZERWCA

— Agent Mulder? — zapytałam bardzo seksownym głosem. Tak, tak. Wczoraj zadzwoniłam w końcu do tego przystojniaka z supermarketu.

— Jak twoja kocica, agentko Scully?

Umówiłam się na randkę. Dzisiaj wieczór. Najwyższa pora, ostatni dzwonek.

Znowu musiałam iść z Luną do czyszczenia uszu, a że nie chciało mi się już później przebierać i od początku malować, wpa-rowałam do kliniki weterynaryjnej zrobiona na bóstwo. Pielęgniarka prychnęła pod nosem, a jakiś psiak się rozszczękał. Jako kobieta pewna swojej atrakcyjności zaczęłam intensywnie flirtować z właścicielem głośnego psa. Po paru minutach, w czasie których zdążyły mnie już rozboleć nogi wciąż zakładane jedna na drugą, byłam niemal pewna, że tak oto spotkałam w swoim życiu drugiego homoseksualistę. Na pewno — mam czuja do ludzi, choć poprzednik mojego poczekalnianego sąsiada po prostu się ujawnił, rycząc na jakiejś imprezie, że kocha inaczej.

A właśnie, gdzie ty się teraz podziewasz, Filipie?

Nasza ławka poderwała się jednocześnie, kiedy w otwartych drzwiach gabinetu stanął Bardzo Żonaty Weterynarz.

— Panią poproszę — powiedział, wskazując na Lunę, która perwersyjnie chowała się w moim imponującym dekolcie. — A pan — dodał miękko — niech jeszcze pożegna się z pieskiem. Nie ma co się śpieszyć.

34

Tamten pociągnął nosem. Poczułam, że się czerwienię pod jego spojrzeniem. — Biedna Diana. Rak, nie do zoperowania — rzucił jakby od niechcienia, ale cierpiął.

Zachwiałam się na obcasach.

— Sam jestem wrogienwflsypiania zwierząt — mówił do mnie po chwili weterynarz.

— Zawsze, to znaczy do jakiegoś jedenastego roku życia myślałam, że raka dostają tylko ludzie, którzy połknęli go w jakiejś wakacyjnej kąpieli. Ale, na Boga, nie psy.

— Psy też mają swoje niebo.

Żalobnie kryłam pod papierowym ręcznikiem swoje nogi wyłazące całkiem bezwstydnie spod minisukienki. Weterynarz czyścił uszy kotki.

— Myślę, że ją zaszczepimy przeciwko świerzbowi, wtedy nie będzie pani musiała codziennie przychodzić.

I nadstaw teraz Anka drugi policzek... Ręcznik zsunął mi się z drżących kolan.

— Bardzo ładne uszy — powiedział weterynarz znad głowy syjamki.

Kiedy wychodząc, mijałam pana z Dianą, całkiem odeszła mi ochota na seks. Zatrzymałam się, by maksymalnie obciągnąć spódniczkę.

— Panie Andrzeju, zdecyduję się jednak na chemioterapię — usłyszałam zza drzwi gabinetu.

Więc jeszcze jest nadzieja!

Nasypałam Lunie do miski tyle kocich chrupek, żeby na pewno starczyło jej do rana i poszłam na randkę. Przez chwilę żalowałam, że nie wymyślono baby-sitter dla kotów, ale potem uświadomiłam sobie, że nie zostawiłbym syjamki z jakąś małolatą przechodzącą burzę hormonów. Ogląda się te filmy...

Ze Sławkiem siedzieliśmy w jakimś, hm, futbolowym pubie. Nie chcąc, by gość źle o mnie pomyślał, przesiadzałam te cholerne parę godzin przy jednym małym piwie, w dodatku zaprawionym sokiem. Blee. Zawieszony nad barem telewizor buczał

35

tak głośno, że w ogóle nie słyszałam, co Mulder mówi. Ciekawe, ile straciłam? Żeby nie stracić więcej, nachylałam się ku niemu, patrzyłam w oczy, a raz nawet potarliśmy się nosami. W sumie ze Sławka straszny szczawik. Już miał mnie pocałować, kiedy rozległ się wielki ryk:

— GOOOOOOOOOOOL!

Obróciłam się od gorących, spragnionych ust i mrużąc krótkowzroczne oczy (kontakty trzeba wyjąć po paru godzinach, a okularów się wstydzę — w końcu to proteza), popatrzyłam uważnie na ekran. No jasne, cały pub oglądał z kasety Piłkarskie Mistrzostwa Świata 1974.

— Wychodzimy — pociągnęłam Muldera za rękę. — Mam ochotę na coś świeższego.

Bez kompleksów zaprowadził mnie do swojego mieszkania.

— Ciii — upomniał mnie, kiedy w tej fazie randkowania udawałam bardzo pijaną. — Dziadek jest głuchy jak pień, ale babcia mogłaby coś usłyszeć.

Proszę, proszę, już mnie zaczął przedstawiać swojej rodzinie.

— I co wtedy? — zapytałam rezolutnie.

— Jak to co? — zdumiał się. — Ślub!

Przez parę kolejnych minut uporczywie milczałam i myślałam (nie wszystko naraz, w końcu jestem blondynką). Próbowałam znaleźć się w sytuacji. Ja żoną Muldera? Podobno w przyszłych scenariuszach „Z Archiwum X” Scully ma mieć dziecko ze swoim partnerem, ale nadal o ślubie nie ma tam żadnej mowy! Zresztą ja nie jestem Scully, tylko Ania. On nie Mulder, tylko Sławek. I te jego włosy... Trwała? Tupecik? Peruka? Wszczep?

— Na jaką masz ochotę? — Z miną akwizytora rozsypał przede mną ze sto (sic!) opakowań prezerwatyw. Nieźle się zaopatrzył, pracując w Tesco.

— A czy mogłabym najpierw zobaczyć? Oj!

Połowę nocy otwierałam gumki, oglądałam je, a on sprawdzał ich szczelność, robiąc z nich kolorowe, a nawet kolczatko-

36

watę balonM. Kiedy się obudziłam (w takim samym stanie jak położyłam się spać), noc bladła, a wokół mnie podskakiwały przy każdym poruszeniu dziesiątki balonów. Zupełnie jak nad głową panny młodej w smętnej remizie.

20 CZERWCA

Jestem niepokieszona — staram się zapomnieć o całym tym, no, incydencie.

Jestem niepokieszona po raz wtóry — zaszczepiono kotkę. Teraz ja i świerzb nie mamy żadnych szans. Pojutrze ostatnie wejrzenie w uszy i serce.

Lunie rozbito jakąś ampułkę centralnie pomiędzy łopatkami (a przynajmniej tak to wyglądało). Kotka próbowała wysuszyć sobie grzbiet, ale oczywiście nie sięgała do szczepionki językiem. W końcu odrobina lekarstwa spłynęła po futerku i Luna siorbnęła je językiem. Brrr, ale musiało być gorzkie. Teraz i kociak, i ja mamy nosy spuszczone na kwintę.

Chyba pobawię się z nią nową myszką. Po wyjściu od weterynarza kupiłam jej takie małe futrzane coś. Mysz „zbyrczy”. Oprócz tego, że hałasuje, kiedy sieją potrafi, jest jeszcze jaskrawo zielona i ma różowe

uszy. Aaa, uszy. Lunie się to podoba — a to najważniejsze. Zresztą mnie kocia zabawka podoba się jeszcze bardziej. W sumie cały ten gadżet wziął się ze wspomnatozy — kiedy mnie szczepiono, zawsze domagałam się od matki jakiegoś prezentu na otarcie łez. W drodze z poradni dla dzieci zdrowych mijałyśmy tylko jeden osiedlowy supersam; no i nie należy zapominać, że były to inne czasy. W sumie mogłam wybierać pomiędzy modelem rosyjskiego czołgu a pokrewną raketnicą, tyle że kierowcy raketnicy dysponowali barwnymi, rumianymi niby-twarzami. Kiedy miałam już obie zabawki, przyszła pora na wodne naklejki z kwiatami, tzw. kalkomanie, którymi

37

wówczas upiornie zdobiono kafelki — częściej plastikowe niż porcelanowe. A kiedyś to nawet dostałam prawdziwe nalepki z Sindbadem Żeglarzem.

Wstanę, przywiążę do starej listewki długą gumkę, a do gumki — za ogon — myszkę. Rozruszam siebie i kota.

Ja biegam, a Luna goni uciekającą mysz. Wszystko sobie zaplanowałam.

O rany, ale się zmęczyłam. Kot też leży na boku i ciężko dyszy. Humory mamy dużo lepsze.

21 CZERWCA

Pierwszy dzień lata i pierwszy dzień w Alcatraz. Kiedy wychodziłam rano do sklepu, ujrzałam, jak dwóch smętnych panów demontuje drewniane drzwi naszej klatki schodowej. W pierwszej chwili wzruszyłam ramionami — pomimo zainstalowanych domofonów i tak ciągle były otwarte, bo ludziom (właścicielom dzieci i psów) nie chciało się wciąż biegać do słuchawki, by otwierać ruchliwym pociechom, nie mówiąc już o warowaniu przy oknie w oczekiwaniu na puszczonego bezpieśko czworonoga. Potem jednak zobaczyłam oparte o mur stalowe potwory, które miały zastąpić przasną pocziwinę. Zaczęłam się nawet zastanawiać, jak lokatorzy poradzą sobie z tym „problemem” — zapałka w zamek? Cegła, aby się nie zatrzasnęły? Rozkręcenie wysięgnika, który sprawiał, że zamykały się same?

— Porządne — stwierdził sąsiad, który z ciekawości wyszedł przed blok.

— Rzeczywiście.

— Bardzo porządne — otaksował. — Ale złodziej dałby radę. Ja też — dodał z dumą. Oprócz niewyczerpanych pokładów wścibstwa miał też najwięcej dzieciaków i kundli spośród naszych lokatorów.

38

— O, nie wątpię — powiedziałam z przekąsem. Wieczorem okazało się, że wszyscy jesteśmy w „więzieniu”.

Wywrotowe działania pana (prawdopodobnie) Józka sprawiły, że zamek szlag trafił i drzwi zacięły się na dobre.

— Trzeba stolarza — burknął.

— < A są na gwarancji? — Na klatce zrobił się zjazd jeszcze dwóch sąsiadek, których psy nerwowo przestępowały z łapy na łapę.

— No nie wiem.

— To dzwoń sobie pan sam... Klara! Dlaczego siusiasz na klatkę! Wie pani, to nigdy nie była czysta suka. I z pyska jej śmierdzi...

Chrząknęłam głośno. Moja kotka nie potrzebowała wieczornych spacerów^ ale ja i owszem, lubiłam się przespacerować. Pójść do Ewki, która mieszka dwa bloki dalej.

— To jak będziemy wychodzić?

— Panienska to taka naiwna. Na razie strychem, ma połączenie z drugą klatką.

— A niech ją szlag!...

Zniecierpliwionej suce zebrało się na coś grubszego.

— Przynajmniej nie będzie akwizytorów. — Zacisnęłam palce na nosie.

— A cóż pani od nich chce? Jak głupie to pracują. Panie Boże, proszę, niech Twoje Oko Opatrzności spojrz

na mnie. Nie proszę o dużo: tylko o faceta, o więcej zleceń i o mieszkanie w lepszej dzielnicy... I żeby ten pies nie miał rozwolnienia. Z góry dziękuję, jak mawiała Bridget.

22 CZERWCA

Hura szczepionka się nie przyjęła (przepraszam Luna!), więc z kotką wciąż trzeba chodzić na czyszczenie uszu. Zdecydowanie trzeba z nią iść na ponowne szczepienia, a potem, żeby spraw-

39

dzić, czy tym razem jest już dobrze... Czy można kogoś „nadmiernie” zaszczepić? Tak, że mógłby się pochorować? Do sprawdzenia w Encyklopedii blondynki.

Urauraura! Jest piątkowy wieczór, a ja znowu siedzę w domu. Chyba skończę to skrobanie i wciągnę drinka, na dobry początek weekendu.

Prosit!

v Na pohybel wszystkim!

Na zdrówko, Luna.

Dlaczego w moim domu nie mam łazienki. Napaskudzę na dywan chyba...

Trzwieźwieje?

Nieee.

23 CZERWCA

„Wilią św. Jana niewiasty ognie paliły, śpiewały, diabłu cześć i modła czyniąc; tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki, palą ognie, krzesząc je deskami" — koniec XVI wieku, Marcin z Urzędowa.

Najważniejsza w celebracji nocy świętojańskiej jest paprotka, dlatego gdy tylko wstałam, udałam się do kwaciarni po paprotkę. Inni celebrujący też musieli na to wpaść, bo w kwaciarni zo-

40

stał jeno jakiś smętny drapak, którego z paprocią łączyły może geny, ale nic poza tym; a skoro gen trudno zaobserwować gołym okiem, to i paprotkowatość drapaka nie rzucała się w oczy. Żal mi się go zrobiło (moja uroda i inteligencja też nie rzucają się w oczy i co?), bo pomyślałam sobie o jego małym, sfrustrowanym manitou. Zresztą i tak nie miałam wyjścia, skoro chciałam poświętować. „Kto kupuje ostatki, ten jest śliczny i gładki". Kupiłam drapaka.

Świętuję sama, bo w ostatniej chwili wystawiła mnie Ewka i śmignęła gdzieś z Wenecjuszem. A taki odjazdowy sabat miałyśmy zrobić — czary, tajemnice i napoje wysokowe. Ale przynajmniej wiedźma Ewa ma szansę na orgię, czego nie można powiedzieć o mnie...

Kiedy się ściemniło, puściłam Marlin Mansona, bo mój głos zawodzi niezależnie od wykonania: czy mam śpiewać w kościelnym chórze, czy wykrzykiwać sprośności diabłu — znikąd pomocy. Tak w ogóle, aby nie schrzanić, próbowałam wspierać sobótkowy rytuał fragmentami kroniki Marcina z Urzędowa. Problem w tym, że nie wiem, co to jest „bylica" ani „czynienie sobótki". Co do krzesania ognia, to musiało go zastąpić zapalenie antynikotynowej świecy. Po dwóch piwach mogłam już pląsać wokół paproci i zasypywać świecznik ziołami prowansalskimi.

— O sobótkuję, sobótkuję, sobótkuję! — wyłam od czasu do czasu.

— Moim życzeniem jest — szepnęłam, wpatrując się w po-glutowaną z przyprawami świecę — miłość.
/

Cholera jasna, ognik zadrgał w gwałtownym^przeciągu i zgasł! Aaaa, a jak coś poplątałam i wywołałam ducha?!

Duchu, duchu, czy jesteś tu? Jeśli tak, stuknij\az, jeśli nie — dwa.

N.

Zabrzmiały dwa stuknięcia. Znaczy był to przeciąganie siła

nadprzyrodzona; a ja już liczyłam na towarzystwo — jeski nie

Casanovy to choćby Skłodowskiej-Curie.

*

41

O, pierwsza w nocy, a tu telefon. Co mogło się stać? Coś złego? O nie, przecież życzyłam sobie vdużo dobrego.

— Cześć — ćwierknęła w ogóle niezaspana Ewa. Znowu robili „to” z Wenecjuszem. Albo, boja wiem, puszczali wianki na wodzie? — No i jak, siostró wiedźmo?

— „Dalej, dalej siostry wiedźmy, czarodziejski krąg zawieźmy” — przypomniało mi się.

— Właśnie o to chodzi. Bo widzisz, Anka, kiedy, eee, przyjechaliliśmy na miejsce, okazało się, że rezerwację mamy dopiero na jutro. To znaczy dostaliśmy pokój, wiesz, niewiele osób jeszcze wyjeżdża. To dopiero początek urlopów...

— Tak? — mam głos Królowej Śniegu.

— No bo wyszło na to, że noc świętojańska jest dwudziestego czwartego czerwca — odpowiada jednym tchem Ewa. — Przepraszam cię, ale pomyliłam...

— W porządku — mamrocę, patrząc smętnie na wciąż roz-kiwaną paprotkę, na palące się świece i wdycham zapach parszywych ziółek.

OK, nie będę się denerwować. Idę spać, a jutro nie mam zamiaru powtarzać tego całego cyrku. Niech się dzieje, co chce! Niech sobie szukają tego jednorazowego kwiatu paproci — ja się przierzucam na feng-shui. Ono przynajmniej ma dłuższy „termin spożycia”.

Oooo, kwiatek!

Nie, to tylko ćma, która przysiadła na paprotce.

A jednak...

Jest tu...

Jakiś...

Kwiatek.

42

Dziś...

To...

Się...

Chyba...

Nie...

Liczy.

O jasny gwint!

Co, znowu ćma?!

Więc ciągle mamy szansę, Luna!

Fe, Luna, skrzydło ci się przykleiło do wąsów. Brrr. Czy z kota można zrobić wegetarianina?

24 CZERWCA

Czuję się jak Kasandra — przynajmniej jeśli chodzi o moją matkę i Avon. Ledwie co skończyłam malowanie ust jakąś ule-pą w kolorze ogrodowych róż (jeśli wierzyć mojej rodzicielce), a już mama zaczęła gorąco gestykulować i pokrzykiwać, jak to mi w niej do twarzy. Cholera, zastanawiam się, czy ona tak się angażuje, bo naprawdę chce własnej córce tę pomadkę zhandlo-wać, zamiast, boja wiem... Podarować! Skoro dała mi życie, to jedna szminka nie zrobi jej różnicy?

— Tatuśku, zobacz, jak naszej małej do twarzy w tym kolorze! — wydarła się na ojca przez całą długość korytarza i Bóg

43

wie jeszcze jakie wynikające z Einsteinowskiej teorii względności czasowo-przestrzenne zawirowania. Ojciec oglądał Cyfrę Sport, co naprawdę umieszczało go w innym i bardzo obcym wymiarze.

— Aha! — odkrzyknął.

Cyfra Sport to dla mojego tatuśka (i jej „tatuśka”, jak się okazuje!) forma bakszyszu w zamian za to, że zgodził się tolerować Lorda.

— Widzisz, podoba mu się!

— Mamo, ojciec nawet na mnie nie spojrzał, chyba że posiada umiejętność bilokacji.

— Czego?

— Nieważne. — Bezskutecznie próbowałam wyjąć psi łeb spod swojej spódnicy. — Nie mogłaś kupić suki?

— Kochanie, to byłoby jeszcze gorzej, prawda? — Zaśmiała się. — Lord, chodź do pani!

Komuś się tu dowcip wyostrzył, chyba od długotrwałych spacerów z psem. Pies — to znaczy tlen — dobrze wpływa na szare komórki: dotleniają się.

— Mała — ktoś tu próbuje zgrywać się na nastolatkę — naprawdę super ci w tej pomadce!

Jezu, jakbym podsłuchiwała widownię Czesława Niemena. A poza tym ja naprawdę wyglądałam w tym paskudnie. Wiem, że przeważającej części blondynek jest w różowym do twarzy. Na mnie róż wyglądał ohydnie. Od zawsze, począwszy od śpioszek. Ba! Nawet wcześniej — od szpitalnych opasek z opisem: „Maria (mama), ...Anna (ja), ...urodzona: (tu data), godz. 17.15" (to też ja, a nie Teleexpress, choć przyszłam na świat w ich tempie. Czy choćby za to mama nie powinna mnie polubić?).

— Wiesz, kiedy o siebie zadbasz, to całkiem ładna z ciebie dziewczyna. Choć byłoby lepiej, żebyś aż tak nie wdała się w ojca. — Czułam, że matka dopiero szykuje się do rozstrzygającego szturmu, który rozniesie w pył moje wątłe siły.

Kasandra od siedmiu boleści!

— Aha, widziałam tego twojego Roberta...

44

Serce ścisnęło mi się z żalu.

— Szedł z jakąś dziewczyną. Wydawał się nią bardzo zainteresowany, chociaż ona była taka niepozorna...

Skurczyło się do rozmiarów małego nasionka.

— Powiedziałaś nam kiedyś, że nigdy cię nie zdradzi, że to taki uczciwy chłopiec. Więc co zrobiłaś, że cię rzucił?

Mam zawał.

A tak w ogóle pytam znowu: Dlaczego nie możemy rozmnażać się przez pączkowanie? Bo seks jest przyjemny? Ha, kto mi przypomni, co to seks, pytam?! Pytam też, czemu wysnuto tu wniosek, że to mężczyzna mnie zostawił? Czy kobieta — znaczy ja — nie może nikogo puścić w trąbę?

— Zastanawialiśmy się z ojcem, dlaczego nic nam nie powiedziałaś?

Właśnie dlatego!

— To ja zostawiłam Roberta — głos mi nawet nie zadrzał.

— Nie kłam, Aniu, bo kurzy ci się z nosa.

— Ha! — pisnęłam. — Nie powiedziałam, ale ty też nie powiedziałaś mi o psie.

— Pies to nie to samo. — Przygarnęła Lorda obronnym gestem, jakbym chciała go zaszlachtować z samej zemsty.

— Owszem, to samo.

— Nie.

— To samo! — wrzasnęłam. — Ty wzięłaś psa, bo byłaś samotna. I ja też tak bardzo pragnęłam czyjejs obecności, że uwiązałam do siebie Roberta na łańcuchu. I wiesz, co zrobił facet? Przegryzł łańcuch i uciekł!

— Nie musisz podnosić głosu...

— Naprawdę ładnie jej w tej pomadce!!! — ryknął ojciec z drugiego pokoju.

— Widzisz, mnie z ojcem jakoś wciąż dobrze się układa. Potarłam usta wierzchem dłoni.

— Nie ścieraj makijażu, tylko rozmażesz. — Ostatnie słowo zabrzmiało jak „mackijage”. — Aha, nie zgadniesz, kto dzisiaj przyjdzie na obiad!

45

Mama stwierdziła, że powinnam wziąć tę szminkę, bo właśnie jest promocja, a Ogrodowe Róże kosztują tylko 19,90.

— Na pewno sobie kogoś znajdziesz — dodała, kiedy beznadziejnie wzburzona wygrzebywałam monety z portmonetki.

Chwilę później zadzwonił dzwonek. Na obiad przyszła nowa przyjaciółka mamy (poznana na kosmetycznym sabacie) z synem „na wydaniu”.

— To jest Piotr — usłyszałam. — Jesteście prawie rówieśnikami.

Jeżeli przez chwilę liczyłam, że będzie wyglądał jak filmowy Mark Darcy, to potwornie się rozczarowałam. Kanął.

25 CZERWCA

Luna i Lord bardzo zaprzyjaźnieni. Więcej — Luna najwyraźniej zaczyna naśladować psa. Próbowałam się uspokajać, że to jej wystawianie języka i intensywne drapanie po uszach to tylko przedrzeźnianie. Ale nie — nie przedrzeźnia się swojego ukochanego, bo miłość jest ślepa, a przez to mało spostrzegawcza.

Tak w ogóle nie doszłoby do tej Lunowej psomanii, gdyby Avon nie produkował „smacznych” kosmetyków w fikuśnych opakowaniach. Lord poczęstował się pędzelkiem do cieni. Mama twierdziła co prawda, że był to pędzelek do rózu, ale mój weterynarz powiedział, że nie — bo nie wyszedłby on drogą, którą wyszedł. W związku z powyższym mam dwa wnioski:

1. Moją matką może się zainteresować Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.
2. Weterynarz musiał mieć sporo do czynienia ze swą żoną (studencka miłość?), skoro potrafi rozróżnić pędzelek do cieni od pędzelka do rózu. Facetom mniej oswojonym su-

46

kienka potrafi się pomylić ze spódnicą (o spodniach nie wspomnę).

To było tak. Matka zadzwoniła do mnie rano i w panice zaczęła jęczeć, że Lord umiera, a tatuś ją zabije.

Nie chciałam, żeby tato wylądował w więzieniu. Z jej opowieści wywnioskowałam, że pitbull wyjadł mamie cały kuferek konsultantki. Dla ratowania szczęścia rodziny, honoru domu, własnego zdrowia psychicznego i innych pierdoł zabrałam ją i jego (tj. mamę i psa) do lecznicy dla zwierząt. Przepadło — przy okazji wzięłam i Lunę, a dwa młode zwierzaki pokochały się od pierwszego wejrzenia. Czy są jakieś Walentynki dla zwierząt, na przykład w urodziny św. Franciszka?

Luna dostała szczepionkę bis, a psu zrobiono USG. Tym razem Lorda spotkał fart. Orzeciono, że psa nie trzeba „otwierać”, wystarczy go naszpikować środkiem przeczyszczającym, a pędzelek wyskoczy niczym ifryt z wulkanu. I wyskoczył u stóp moich, mamy i weterynarza. Pochyliliśmy się wszyscy nad wiadomym i zaczęła się iście kosmetyczna dyskusja. Lord zbyt szybko się nie przejął.

Odniosłam wrażenie, że mama była skłonna już zaraz połknąć całą zawartość swojej kosmetyczki, byle doktor się nią zajął. Pragnienie to wydało mi się bardzo swojskie.

Jakbym słuchała własnych myśli. A później było jeszcze:

— Oczywiście, panie doktorze.

— Tak, panie doktorze.

— Pan doktor ma takie sprawne ręce.

— Ma pan takie dobre podejście do piesków.

— Ma pan takie dobre podejście do kotów.

— Chciałabym bardziej zadbać o Lorda... Powinien chyba częściej odwiedzać lekarza, prawda? Prewencyjnie...

— Ach.

— Och!

Doktor poślizgnął się na psiej kupie i wysyczał (bardzo seksownie!) tylko jedno słowo:

47

— Merde!

I spojrzął nam obu w oczy, nie robiąc zeza.

Tymczasem Luna nauczyła się aportować szczoteczkę do cieni. Błeee...

Zabronię jej spotykać się z psem, nawet takim o lordowskich manierach.

26 CZERWCA

Kolejny dzień upływa pod znakiem mojej matki. Tak — matki! Ha! Matki. Matki wyrodnej!

Jak ona mogła dać mój numer telefonu temu przekłętemu „Markowi Darcemu”?! W dodatku „Darcy” zadzwonił. Jak śmiał?! Całe moje ciało począwszy od cebulek włosów, a skończywszy na małym palcu lewej stopy, wrzeszczało: „Nie dla psa kiełbasa!”.

I to właśnie dzisiaj, kiedy zamierzałam poczytać jakieś poważne książki (zbiory esejów albo dzienniki).

— Halo?

— Cześć, Aniu. Dostałem twój telefon od twojej mamy. Witaj, rycerzu w srebrzystej zbroi. Czekałam na ciebie całe

życie. Twój namiętny głos jest jak tchnienie wiosny w mych pszenicznych włosach. Ach, ach moje serce drży niczym wyrwijający się na wolność z drapieżnych dłoni gołąbek...

— Aha — burczę do słuchawki.

— Oszukałaś mnie troszeczkę, ha, ha. Powiedziałaś, że nie dasz mi numeru telefonu, bo go nie masz. — To był słodki głos pastora napominającego niegrzeczne dzieciętki.

Powiedziałam ci, niedzielny fiutku, że mam przerwana linię.

— Ale ci nie uwierzyłem, bo musisz wiedzieć, że nie żyjemy w dziewiętnastym wieku, a ja z niejednego pieca chleb jadłem, więc by się mnie pozbyć powiedziałaś...

Że mam uszkodzenie na linii.

48

— Ze masz uszkodzenie na linii. Postanowiłem pomóc, a że mój znajomy pracuje jako informatyk w telekomunikacji, wystarczyło jedno kliknięcie w klawiaturę komputera, by wyszło na jaw...

Tak, wiem „Darcy”.

— Że żadnego uszkodzenia nie było. Jezuuuuu!

— I co na to powiesz?

— Słuchaj...

— Zastanawiam się, czy w ogóle przyjąć te przeprosiny... O ja cię kręcę! Z kim chciała mnie umówić moja matka?

— Twoja mama stwierdziła, że za bardzo nie masz wyjścia.

— Słucham? — Chyba się przesłyszałam przez te trzaski na linii.

— ...że się starzejesz i nie układa ci się z facetami. A tu tik-tak...

Nooooo, mamuśka... Jak mi to, kurna, wytłumaczysz?! Czy rzeczywiście byłam taką złą córką? Nienawidzisz mnie? A ja ciebie... Ha, zgadnij!

— Z reguły, no wiesz, nie podejmuję się przypadków beznadziejnych, ale twoja mama była taka sympatyczna.

— Nie chce mi się z tobą gadać.

— Słucham, Aniu? — pastor Knox wrócił.

— Mówię: spadaj! Trzaski na linii.

Głos z innego miejsca i przestrzeni:

— To znaczy, że się nie chcesz spotkać? Ja przecież żar-towa...

— Znikaj, padalcu! Oj!

— Tak naprawdę, to... To... Ta twoja pomadka była wstrętna! — jęknął „Mark Darcy”.

Odłożyłam słuchawkę.

Tak, wiem. I wszystkie moje orgazmy były udawane.

Do kompletu brakuje mi tylko biura matrymonialnego. To

49

niesprawiedliwe, że nie mam atrakcyjnego kuzyna w sam raz do podrywania na niedzielnych obiadkach, weselach i stypach.

Zrezygnowałam z ambitnych lektur i biłam się z myślami. Nic przyjemnego.

27 CZERWCA

A więc żegnaj, mój miły! Szczepionka przyjęła się definitywnie.

Oho, a co ty tu jeszcze, Luna, dostałaś? Kalendarzyk szczepień? Książeczkę szczepień? Popatrz, ile w niej jeszcze wolnego miejsca... O tak, zamierzam dbać o swojego kota.

Zaraz, zaraz. W tej książeczce coś się wypełnia samemu. Hm: RYSOPIS. Gdzie ja mam coś do pisania...

No to bach:

RYSOPIS

Rodzaj: Człowiek

Imię: Anna

Data urodzenia: pewne rzeczy lepiej przemilczeć

Płeć: Kobieta

Rasa: Biała

Kolor: ? (kolor czego? Zaraz, Luna! Chodź no tutaj... Cholera!)

Znaki szczególne: Nieprzeciętna głupota!

Luna, kochanie. Tak mi przykro, że zapapałam ci książeczkę.

Czy to znaczy...?!

Luna: Miauuuuuu!

50

28 CZERWCA

A wszystko przez to, że zwyczajnie byłam głodna!

Zajrzałam do lodówki, gdzie napotkałam polarne pustki, przeciągi i kawałek zwiędniętego selera, z którego kiedyś miałam zrobić sałatkę. W szafkach zostały tylko mrówki faraonki pożywające się na tak stęchłych herbatnikach, że trzeba być owadem, aby je przegryźć. Zresztą, co im będę zabierać — przecież to moje zwierzęta hodowlane. A o zwierzęta trzeba dbać. Luna podejrzanie spojrzała na mnie, kiedy oglądałam jej kocie chrupki. Wydobywanie spośród kwadratowej jagnięciny i kulistej króli-czyny trójkącików, które miały być suszoną marchewką, wydawało mi się zbyt skomplikowane. Robota dla współczesnego Kopciuszka. W piekarniku też nic się nie uchowało. I absolutnie nie była to sytuacja przypadkowa. Unikam kupowania jedzenia „na zapas” — to część mojej niekończącej się terapii odchudzającej. „Nie masz, nie jesz!” — lepsze hasło od „Masz, nie jedz”. Koniec z podgryzaniem przy filmach, czytaniu, czy po prostu z nudów. Koniec z bulimiczką! Z dwojga złego wolę już anoreksję (cholera, znowu jestem głodna!) — o wiele trudniej skościotru-pieć niż przytyć. Tyje się od samego patrzenia na chipsy. Swoją drogą moje wrodzone lenistwo jest najlepszą gwarancją tej diety. Rzadko kiedy mam ochotę na wędrówki po zaopatrzenie. Ale kiedy już pójdę, zachowuję się jak głodny włóczykij.

Był dość późny wieczór (około godziny 23), więc poszłam do Tesco.

Na wszelki wypadek wzięłam mały koszyk: zbyt wiele się do niego nie zmieści. Tylko chleb, koniecznie ciemny, i może butelka wody mineralnej (powinnam kupić filtr, bo zbankrutuję na zwykłej H2O). Promocja na biszkopeciki? Na jajach, znaczy tuczące... Ale ja tak lubię biszkopeciki. A więc biszkopeciki. Pędem minęłam półki z cukierkami i lodówki z barwnymi tekturkami lodowych tortów. Uff, i oto bezpieczny dział: zdrowa żywność. Do koszyka trafia paprykarz sojowy i sojowe flaczki (Moja Mona Liza na

ścianie też jest tylko reprodukcją, ale daje mi jakąś konsumpcyjną radość). Kupiłam jeszcze dwa pomidory, kabaczka... Koszyk mi się zapełnił, ale mną targata już tylko jedna ochota: na konserwowego ogórka. Godnie udałam się do działu marynat.

Stały tam (mnóstwo!) ogórki marynowane na ostro z czereśniowymi papryczkami oraz „po prostu” ogórki. Nieco dalej znalazłam ze zgrozą prawdziwe ogórkowe niemowlęta. Smakowite. Dreptałam wzdłuż tych półek i nie mogłam się nadziwić, że może istnieć tyle marynowanych wariacji. Stoiki stały niczym na warcie, w szpalerach. Szpalery wartowników niknęły w cieniu żelastwa, z którego zbudowano stojaki. Stojaki, oprócz rodzin marynat wytrzymałyby siedzenie na nich, skakanie po nich, bieganie — wszystko! O rany, takie półki powinnam mieć w domu! Na książki. Szerokie...

Zobaczyliśmy się równocześnie: ja i Mulder. Próbowałam obrócić się na pięcie i zniknąć w innej części marketu (przy kosmetykach?), ale on już mnie dopadł.

— Czemu wtedy uciekałaś, Aniu? — zapytał. A tak pięknie mogło być...

— Wiesz, Sławek, to była głupia sytuacja — powiedziałam do Muldera. — I wybacz, ale już muszę iść.

— Te baloniki, co? — Roześmiał się, seksownym gestem odgarniając loczek z czoła. — Trzeba być bardziej zdecydowanym.

— Tak — potwierdziłam, myśląc o ogórkach. Gdybym złapała pierwszy lepszy stoik, to już dawno by mnie tu nie było.

— Jestem taki podniecony. — Chuchnął mi w ucho.

— Przepraszam? — Na wszelki wypadek oparłam się pośladkami o kawałek pustej półki.

— Tak bardzo cię pragnę... Usiadłam.

— Nie wiesz, co to za rozczarowanie obudzić się, kiedy cię nie ma przy mnie.

Oj, chyba odkryłam, po co kobietom spódniczki.

— Jesteś taka niesamowita. Po co czekać, chodź... Cholera, czy ja czekałam?

— Hej! Ktoś tu przyjdzie...

Zamknął mi usta pocałunkiem. Potem wyciągnął z kieszeni „balonik”. Szybko i sprawnie.

O rany!

Nim się zorientowałam, gryzłam go w ucho. Pół leżąc, pół siedząc, opasywałam Muldera swoimi nogami. Ale jaja! Kochałam się z Mulderem w dziale marynat.

Nasze ruchy wprawiły półki w mocne wibracje. Uderzające o siebie stoiki zaczęły grać staccato, co w tamtej chwili podziało na mnie jak afrodyzjak.

— Och! Muuuuuulder! —jęknęłam, a potem rozbił się pierwszy stół.

Za nim poszły następne.

Pamiętacie „makową scenę” w Magnacie? Ja pamiętam.

— Cali będziemy w ogórkach — jęczałam zachwycona tą perwersją. Stoiki spadały, ocet spływał po stalowych półkach. Mulder gniótł obcasami ogórkowe niemowlęta.

Co za przygoda! Co za sensacja!

— Gol! — wrzasnął poniekąd słusznie Sławek. „Chryste! Co będzie, jak ktoś zaraz przybiegnie zbadać ten hałas?” Chwilę później zorientowałam się, że ktoś na mnie patrzy przekrwionym okiem.

Był to mały obiektyw przemysłowej kamery.

29 CZERWCA

Dzień upłynął pod znakiem dzwonów, dzwoneczków i dzwoneczków. Na przykład takich dzwoneczków ostrzegawczych, rozlegających się w środku mojej głowy. Co ja zrobiłam! Przeze mnie Mulder straci pracę i będzie musiał zapłacić za marynaty. I za swoje służbowe ubranie (wyjąwszy spodnie), które ocet spożywczy całkowicie zniszczył.

Och! Jestem femmefatale! Jestem kobietą, której się nie moż-

53

na oprzeć! Mój seksapil nakłania mężczyzn do zbrodni, eee, niech będzie, że do wybuchów gwałtownej namiętności. Jestem zepsuta, jestem dzikim zwierzęciem. Zachowuję się jak prawdziwa Ewa w raju... Nikt mi się nie oprze: Salome, Kate Moss i Teresa Orlovsky w jednym?! O jasna cholera! A jak taśma z tej kamery pójdzie w obieg? Moim elektronicznym ciałem będą kupczyć handlarze porno na Stadionie Dziesięciolecia. Moje tekturowe wizerunki zagoszczą w sex-shopach. Będę łatwa do ściągnięcia w Internecie. A jak tatuś mnie zobaczy?

Nie, tatuś mnie nie zobaczy.

Muszę się poddać operacji plastycznej! Zmniejszę nos, powiększę usta, trochę się podciągnę. Hm, to będzie całkiem, całkiem... Nie! Nie stać mnie na operację. W dodatku boję się znieczulenia, a na widok igły zemdleję. Mogłaby mnie przekonać tylko promocja, w której do zrobienia twarzy dorzucają silikonowy biust. Inaczej — moja granica wstydu jest dość wysoka. Wiem, pójdę po taśmę jak dama. Powiem:

— Proszą mi ją dać — zdecydowanie i wyniośle. Powiem, że to rozkaz. Postraszę ich policją. Padnę na kolana

i będę błagać kierownika zmiany, ochroniarzy i kogo tam jeszcze trzeba.

Nigdzie nie pójde, oni wszyscy już mnie na pewno widzieli w tej kompromitującej sytuacji!

A niech to szlag: jak można myśleć, kiedy ktoś tak gwałtownie dobija się do domofonu? Obyczajówka?

— Dzień dobry. Zbieramy datki na Matkę Teresę z Kalkuty. Milczę.

— Zbieramy...

— Słyszałam — burczę, już, już prawie wciskam przycisk otwierający drzwi (myślę: kupię sobie odpust od rozwiąłości, zostaną misjonarką itp.), kiedy coś mi się przypomina.

— ...Matka Teresa jest świętą osobą...

Zdaje się, że Jolanta Kwaśniewska była na jej pogrzebie. A to oznacza...

Krzyczę do domofonu:

54

— Naciągacze! Matka Teresa nie żyje!

Coś mi się przypomina. Nabieram głęboko powietrza w płuca:

— I księżna Diana Spencer też umarła.

Ludzie tak długo o tym mówili. Ludzie mówili... Mówią, będą mówić...

Jak ja mam wydobyć to nagranie? Jak?! O mamusiu... Dzwonek do drzwi.

— Przyjdźcie po Sądzie Ostatecznym — gwałtownie otwieram.

Za drzwiami stoi jakiś picuś-glancuś i zaczyna mi wtykać w ręce czajnik elektryczny i toster, i komplet noży, i pluszową papugę...

— Wygrała pani. Gratuluję! To wszystko należy do pani, za darmo. Co za oszałamiające szczęście. Musi pani tylko zapłacić podatek. I drobna suma dla kuriera...

Miotanie przedmiotami w durnego akwizytora uspokaja, ale nie na tyle, aby tę metodę stosować w przyszłości. W ogóle to właśnie te stresy sprawiają, że staję się taka niesympatyczna. Chyba się przejdę, popatrzę sobie na trawę, drzewa...

Przechodzę się.

Dotarłam pod supermarket. Instynktowny przymus zawsze prowadzi przestępcę do miejsca zbrodni.
„Kaseta, kasetka, kasetka” — tłoczy się w mojej głowie. A jeśli już ją przekopowali?

Ktoś klepie mnie po ramieniu. Podskakuję jak oparzona.

— Cześć, Scully! Jak tam ściganie marynowanych form życia?

— To ty? — piszczę. Smętnie kiwa głową.

— Tego odcinka „Z Archiwum X” nie będzie — patrzy na mnie. — Kamera wysiadła.

Boże drogi, a jednak szczęście gości na tym świecie.

— Zwolnili cię? — Chcę być miła, więc pytam, bo może on też miał fart?

55

Mulder kręci głową.

— To świetnie — szczebioczę.

— Świetnie jak świetnie. — Ponurak. — Co ja się chłopakom naopowiadałem! A oni nie chcą uwierzyć, ale jakby co, to proszą o powtórkę.

Świnie!

Przerzucam się na małe sklepy.

30 CZERWCA

Co mnie znowu podkusiło do złego! Żeby do złego, ale znacznie gorzej — podkusiło mnie do głupoty. Bo czy jest coś gorszego niż pójście na zjazd szkolny w wieku dwudziestu ośmiu lat? Jasne, że takie imprezki są organizowane dla zramolałych pięć-dziesięcioparolatków, którym skleroza łaskawie wymazała z pamięci wspomnienia szkolnych upiórów. W spokoju ducha mogą się śmiać ze swoich łysin, chwalić brzuchem i wnuczętami czy w wypadku kobiet wyrzucać z siebie na wyścigi nazwy specyfików łagodzących menopauzę. W wieku dwudziestu ośmiu lat na school-balu można tylko się dowiedzieć, że znienawidzona koleżanka na zjazd nie przyjechała, bo:

— Wiecie, została aktorką i kreci film. W Wenecji, no z tym kontrowersyjnym reżyserem, no jak mu tam...

Twój eks-chłopak, którego wciąż wspominasz każdego pierwszego września, przywiózł narzeczoną. Dwudziestoletnią, szcza-powatą laskę o twarzy Winony Ryder ze sztucznym afró (a mówił ci, jak kocha twoje jasne(!), proste(!) włosy. Tak przekonywał, że spotykając się z nim, przestałaś sypiać w wałkach, przez co grzywka wciąż zakrywała ci oczy. Niiieeeeeeeee). I pobierają się w sierpniu.

Klasowego kaszalota nie ma, bo klasowym kaszalotem byłaś

ty — choć im trudno uwierzyć w to, że wystarczy dziesięć lat, by z kaszalactwa wyrosnąć niczym z nocnych zmasów.

— Cześć, Anka! Nie myślałam, że przy twojej pracy stać cię na operacje plastyczne! Ha, ha! Świetnie wyglądasz. Podobno pracujesz w jakimś sklepie?

— Jej chłopak... — Wypuszczam taką sójkę w bok Ewy, że ta traci oddech i nie kończy.

— To nie jest mój chłopak, nie był i nigdy nie będzie!

— Sama? — Znowu ten głos. — Nie przejmuj się, Aniu! Zawsze byłaś otwarta na nowe znajomości. Taka zbuntowana.

Nigdy nie wybaczą ci najładniejszych nóg na studniówce.

Ewka wciąż spogląda na mnie obrażona. Kiedy ja robiłam maturę, ona kociła w pierwszej klasie.

„A mnie wydawaliście się tacy sympatyczni”.

Tak, tak, to właśnie school-bal.

Zaraz, kogoś tu brakuje. Gdzie przewodnicząca maturalnej klasy? Aha, jest!

— Milena! — woła do zezującej blondynki Ewa.

— Jedno oko na Maroko — burczę i zastanawiam się, kiedy Ewka zdołała się z nią skumplować.

— Hej, tylko cię troszkę drażnię — szepcze Ewa, widząc moją minę.

Milena bryluje tak, by nikt nie przeoczył osiłka, który jej towarzyszy.

— Co to za Franki-Frankenstein? Złodziej samochodów?

— Och nie — prycha Ewa złośliwie. — To by się kłóciło z jego zręcznością. Ochroniarz. A jak chodzi o „inne” sprawy, to szkoda, że nie wzięła ze sobą prześcieradła...

Ewka wie więcej, niż się przyznaje.

— Głupio mieć na imię Milena (Ukochana), a nikogo nie

mieć, co?

— Też nikogo nie mam — smętnie mamrocę i już zazdroszczę Ewce Wenecjusza.

— Ale ty masz inaczej na imię. To już wina chrzestnych.

- Milena chciała telefon twojego faceta i jakoś się ze mną próbowała spiknąć...

— Ja nie mam faceta!

— Roberta. Widziała was w pubie, a później nas obie...

DZIWKA! DZIWKA! DZIWKA! DZIWKA!

— Dziwka.

Kiedy Milena przechodzi koło nas, manifestacyjnie się odwracam.

— Poznaliście Kubę? — pyta.

— Ja zamiast prześcieradła musiałabym nieść zbutwiałe deski...

Ewka patrzy na mnie z przerażeniem.

— Dlaczego ty tak mnie nie lubisz? — oburza się Milena.

— To mnie zamknij i wyrzuć klucz. — Odwracam się. — I gratuluję przebudzenia Śpiącej Królowy — rzucam na od-chodne.

Ewka znajduje mnie, kiedy w tempie kosmicznym opróżniam butelkę wina.

— Daj no, egoistko, spróbować. Ten Kuba — zaczyna snuć jak bajkę — miał ładną dziewczynę, ale ona nie chciała już dłużej być z ochroniarzem. Smutne. Ochroniarz na złość tamtej zaczął się umawiać z Mileną. Milena ma dwadzieścia dziewięć lat, bo przez ten rok była opóźniona w obowiązkach szkolnym w związku z operacją zeza. Ma dwadzieścia dziewięć lat i jeszcze nigdy... No wiesz...

— Nie, nie wiem.

— Maroko i Zgierz.

— Aha.

Pokładamy się ze śmiechu.

— Chodźmy do mnie — mówię. — Wypijemy w lepszym towarzystwie.

Wypytyśśmy. 58

1 LIPCA

Wynurzam się ze snu w rzeczywistość niczym nurek, któremu nie dane było skorzystać z kabiny dekompresyjnej. Rany, ale mam trampka! Obok mnie pochrapuje Ewka. Obślinione, za-puchnięte, potargane i śmierdzące przetrawionym winem wyglądamy jak siostry bliźniaczki.

Pić!

Nie mogę chodzić!

Pełzną więc do lodówki.

Chyba zapomniałam kupić mineralną...

Jaki dziś dzień?

Niedziela.

Nie, do sklepu nie pójde.

Umrę.

— Umieram! — ryczy Ewa z sypialni. — Jak można mieć takiego kaca?!

Za chwilę obie składamy panieńskie śluby, że nigdy już nie wypijemy grama alkoholu.

Ewka poszła do ubikacji rozmawiać z tygrysem.

Ja się kładę.

Dzwoni telefon.

Odbiera go moja siła woli:

— Słucham.

— Ania? Obudziłam cię? — pyta z ostrożną nadzieją Magda. A mnie ta dziewczyna wydawała się taka sympatyczna.

— Która godzina? — pytam inteligentnie.

— Samo południe. Dopiero?

— No to mnie obudziłaś.

— Dzwonię, żeby zapytać...

— Magda, czy dzisiaj nie jest przypadkiem niedziela? Mam nadzieję, że odpowie mi, iż w istocie prowadzimy poniedziałkową rozmowę przed samym lunchem.

— Niby jest.

W tym czasie krasnoludki otworzyły kopalnię nefrytu w mojej głowie. Mówcie o mnie Śnieżka. Nie, mówcie Sierotka Marysia.

— Może nie powinnam dzwonić...

Taktownie milczę, a ta cholerna Ewka zaczyna smażyć jajecznicę. Niedobrze mi.

— Chcę jutro złożyć materiały i zastanawiałam się, czy nie mogłabyś w drodze wyjątku oddać mi tekst dzień wcześniej.

Aaaa, jaki tekst?

(Ale przecież jest niedziela!)

— Dzień Pański należy święcić. — Coraz mocniej trzymam się słuchawki.

— Proszę, zależy mi.

— Kawiarenka internetowa będzie zamknięta — próbuję jeszcze, ale to beznadziejne.

— Nie! W jakim świecie ty żyjesz...

— Dobra, spróbuję — mój głos wewnętrzny wrzeszczy, że jestem nie tylko alkoholiczką, ale i pracoholiczką. — Ale niczego nie obiecuję...

Jajecznica wystygła.

Bardzo dobrze, i tak nie przełknęłabym ani kęsa. Dziwnie nie mam ochoty na jedzenie... ..ani na pisanie.

Ewa wychodzi. Dziwi mnie, że jest już do tego zdolna.

— Jestem spóźniona... — No tak, biegnie do Wenecjusza. Miłość jest lekarstwem nawet na kaca.

— Ewka, nie będzie zaskoczony, jak przyjdiesz na randkę w takim stanie?

Zatrzymuje się na chwilę w drzwiach:

— No coś ty, przecież wie, że wczoraj byłem z tobą. Najwyraźniej mój alkoholizm staje się sekretem poliszynela.

Włączyłam komputer.

Piję kranówkę — nawet jak się nałykam ameb, to i tak bardziej nie będzie mnie już mdliło.

60

Ooo, Ewka wróciła.

Deja vu: Ewka podaje mi jakiegoś kota. Podobny...

— Luna usnęła w mojej torbie — mówi.

Odkryłam drugie oblicze niedzieli. Okazuje się, że w niedzielę można pracować i nie pojechać do rodziców. Kawiarenki internetowe są czynne. Jedna grupa niedzielnych internautów (chciałabym

sklasyfikować ją jako tę poniżej wieku dojrzewania, ale nie mogę) gra w takie kolorowe, migoczące na monitorach obrazki. Druga (wymykająca się generalnej klasyfikacji „po”) przegląda strony internetowe, na których przewija się słowo „sex” — w przeważającej większości pozbawione jakiegokolwiek cudzysłowu.

Internetowy barman wyraźnie ucieszył się na mój widok:

— Cześć, blondynka!

Później wysłał to, co miał mi wysłać. Zrobił to za dychę. Czy jestem zdziwiona?

Kolejny niedzielny telefon Magdy przyjąłem już z większym zrozumieniem. Ba, nawet optymistycznie, biorąc pod uwagę, że zbliżała się siedemnasta, a kaczor prawie odszedł z mojej sadzawki.

— Co znowu?

— (chrząknięcie) Czy na przyszłość mogłabyś być w swoich tekstach bardziej (chrząknięcie) naturalna?... Wiesz, nie szukamy ideału.

Oj, Magda, Magda.

A potem zaczęła mi znowu cytować głośno to, co wypłó-dziłam.

Pigmaliogalatea Autor: Ja

„Jestem młoda, ładna i mądra — przefaksowałam zaprzyjaźnionemu naczelnemu, nie zdając sobie sprawy, jaką burzę

61

wywoła wydrukowanie tego zdania. Ostatecznie odnosi się ono do jakiejś astronomicznej ilości kobiet na całym świecie. »Je-stem młoda, ładna i mądra — poinformowała mnie przyjaciółka. — Dlatego nie dostałam tej pracy! Będę rozpraszać klientów...« Ostatnim kontrkandydatem, który ją pokonał, był dwudziestoparoletni czaruś z IQ predysponującym go do klubu MENSA. Zawiść najwyraźniej nie jest więc cechą męską, bo w komisji kwalifikacyjnej byli sami faceci...

Kobiecej samoświadomości współcześni Pigmaliioni mówią »nie«, bo gdyby powiedzieli »tak«, to na co byliby potrzebni?! Wciąż w dobrym tonie należy udawanie skromności i robienie swojego. Podnoszenie przyłbicy stanowi dla kobiety czyn karygodny, to przywilej męskich rycerzy. Można się pogodzić z istnieniem bandy hipokrytek, ale taka Joanna d'Arc skończyła na stosie za otwartą przyłbicę właśnie. Za to, że potrafiła głośno krzyknąć o swojej prawdziwej naturze. Jest niezaprzeczalnym faktem, iż wymaga to siły, ale kobiety są silne.

»To była rozmowa kwalifikacyjna! Wymóg wieku był już w ogłoszeniu! Na dodatek miałam się paskudnie krzywić i nie puszczać pary z ust?!«

»Czekaj, aż cię zapytają« — powiedziałyby moja babka. To, że pytać mogą tylko mężczyźni, było wtedy oczywiste i nie stało w sprzeczności z ich wszechwiedzą.

»Jesteś młoda, ładna i mądra?« — pokpiwali koledzy. «Udowodnij mi, że jest inaczej» — odpowiadałam. Nikomu się nie udało, bo nikt nie próbował. To przecież tych samych facetów złościło wcześniej, że robię karierę za szybko jak na swój wiek; adorowali mój kształtny tyłek niczym ministrant Najświętszy Sakrament i przychodzili z nabrzmiałym problemem natury już intelektualnej.

Problem z tym, że w pierwszej chwili chciałam to wszystko odszczekać. Przeszępując z nogi na nogę, uśmiechnąć się milutko i szepnąć, że tylko żartowałam... Wyrwało mi się... Krótko mówiąc, zaprzeczyć faktom, ku radości męskiego ogółu, z którego (jak dotychczas) startowały co minutę jakiś początkujący Pig-

62

malion, by nauczyć sierotkę mądrze mówić i ładnie wyglądać. Sam spijałby towarzyską śmietankę (»Skąd ją wzięłeś? Niesamowita^), a potem bardzo możliwe, że zacząłby grozić: »Wszystkiego cię nauczyłem«, »Beze mnie będziesz nikim!«, »Jesteś moim dziełem!«. I uzależniał, uzależniał, uzależniał...

Nie czekam na prawdziwego Pigmaliona — to strata czasu. Jego oryginał można spotkać równie rzadko jak i tego Rycerza w Srebrnej Zbroi. Ich wciskające się kopie są bardziej niż trefne. Do stworzenia dzieła sztuki z samej siebie wystarczy mi duże lustro i »chęć szczerą«.

Mantruję codziennie do swojego odbicia: »Jestem młoda, jestem ładna, jestem mądra«. Taka szczerść na początku tylko wydaje się trudna — to co brałam za rumieniec zażenowania, przy bliższym" poznaniu okazywało się rumieńcem podniecenia. Miła przygoda we własnych czterech ścianach — nauczyć się siebie oglądać i siebie słuchać.

Myślenie życzeniowe? Właśnie opuszczam ICH krainę, krainę kompleksów. Jestem młoda, jestem ładna, jestem mądra.

Pamiętam tylko, żeby nigdy nie pomylić tego z »lustreczko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie«. To zupełnie inna bajka. Dla niektórych kiepsko się kończy...

Odlóżcie teraz magazyn i biegiem do lustra.

Jestem młoda...

(wdech — wydech)

.. .jestem ładna...

(wdech — wydech)

...jestem mądra!

Widzicie? To szczerą prawdą!"

— Czy mogę liczyć w przyszłości na niesilikonową Anię? — zapytała Magda.

Tak, możesz na mnie liczyć. Nie będę już tak cudownie pewna siebie jak nowojorska prawniczka. Cudownie rozsądna jak wiktoriańska panna. Porzucę zen i zdejmę koszulkę z Wisznu. Nie będę

63

wyciągać wniosków i rozwiązywać zagadek wymagających logicznego myślenia. Porzucę uśmiech Mony Lizy i tolerancję oraz miłosierdzie Matki Teresy. Nie będę Królową Ludzkich Serc. Nie zrobię sobie peelingu. Będę się wściekać i przeklinać. Wystarczy?

— Naprawdę napisałaś tak w swoim CV?

— A oczywiście.

— I dostałaś tę pracę?

— A oczywiście, że nie.

2 LIPCA

Wzięłam sobie do serca radę Magdy. Obudziłam się rano i od razu postanowiłam spuścić z tonu, dać na luz, być mniej poważna itp. W tym celu włączyłam telewizor i przełączyłam na Cartoon Network, ale tam zamiast spodziewanego Królika Bugsa, Toma, Jerrego i innych animków szumiało tylko na szaro. Spróbowałam na nowo zaprogramować telewizor, ale wciąż znajdowałam w miejscu mojego ukochanego kanału ten sam posępny widok. Zniesmaczona zadzwoniłam do biura obsługi klienta kablówki.

— Zmieniamy program na atrakcyjniejszy — powiedziała nie wiadomo czemu urażona paniusia.

— Ale Cartoon był atrakcyjny — ośmieliłam się wypowiedzieć swoje zdanie.

— Proszę pani, dzwonili rodzice, a i same dzieci! Wszyscy prosili o zmianę Cartoona. Według większości siał on przemoc i demoralizację.

O rany. Poczułam się, jakby otaczała mnie banda małych stalinowskich pionierów, którzy kablują na swoich niepoważnych starych, że słuchają Wolnej Europy...

Z nudów włączyłam kanał informacyjny, a tam strzelanina

64

i eksplozje, wojny i zamachy, burze i ścierające się fronty atmosferyczne. I bądź tu człowieku mądry.

3 LIPCA

Zrzucone kilogramy: 0, spożyte jednostki alkoholu: 0, wypalone papierosy: 0, satysfakcjonujące, sami wiecie co: 0, niesatysfakcjonujące: 0, chwile pełne radości życia: 0, odebrane telefony 1 (ale średnią poprawia jego wyjątkowa dziwaczność).

W słuchawce usłyszałam rzężenia i trzaski, jakby ktoś próbował dodzwonić się do mnie z innej planety — i to nie sąsiedniej, ale takiej zagubionej gdzieś w odległej galaktyce. Chciałam przerwać połączenie, kiedy przedarł się w końcu do mojego usznego ślimaka i kowadełka głos Augusta.

— Czołem, Anka!

— Miałeś być w Szwecji, a nie w Swierdłowsku! — odwrzasnęłam.

— Nigdy nie zgadniesz, gdzie jestem!

Co za męska, szowinistyczna pewność siebie!

— I nigdy nie zgadniesz, co teraz robię!

— Dzwonisz, August!!!

— Ale tylko jedną ręką! — Prawie mnie zgorszył.

— A co z drugą?

— Doję... Trrrr, piiii, trrrr.

— Powtórz! — Od tej rozmowy zaczęła mnie boleć nie tylko głowa, ale i gardło.

— Doję reniferzycę, no wiesz, klępę, panią Reniferową.

— Jak, do cholery, znalazłeś się na Alasce?! Tam potrzeba wizy. — Szczerze się zdumiałam.

— Wizy-sryzy. Prrrr, malutka... — Tak się woła na renifera? — Jestem w Laponii. Może zostaną nawet Świętym Miko-

65

łajem. Jak będziesz grzeczna, to przyślę ci serek z reniferowego mleka.

— Auguście, miałeś być w Szwecji. Na jagodach! — Słyszeli mnie chyba sąsiedzi.

— Stara, w tym roku na jagody nie ma urodzaju. W Szwecji obrodziło tylko w bezrobotnych Polaków. Jedną jagódkę dzieli się na cztery części...

Przynajmniej z populacją reniferów wszystko jest w porządku. Jak ten August potrafi mnie uspokoić.

— Słuchaj, będę kończył, bo dzwonię z komórki, chciałem ci tylko powiedzieć...

— August... — przerwałam mu. — Kiedy wracasz?

— I właśnie o to chodzi! — odwrzasnął mi. — Ja nie wracam! Ja wybrałem kontakt z naturą! Porzuć tę obrzydliwą cywilizację i przyjeżdżaj! Tu nie ma McDonald'sów, ale i staropanieństwa! Anka, tylko ty, ja i renifery...

Żżżżżżżżżż.

Przerwało połączenie.

O Augusta się nie bałam — może egzystencjalny wydaje mu się brak hamburgerów, ale wróci, kiedy posmakuje lapońskiej zimy. Przyjedzie na reniferze, z odmrożoną el dupą.

Będę czekać.

4 LIPCA

Dzień Niepodległości w Stanach Zjednoczonych. Czy coś to oznacza dla mnie?

Nie pracuję w ambasadzie amerykańskiej, ani nie znam nikogo stamtąd, więc chyba nic.

Jestem... Jestem bardzo niepodległa!

Muszę to uczcić — choć jest środek tygodnia, a wszyscy pracują — jakby to wcale nie było święto Wielkiego Brata. Ja jako wegetarianka nie mogę skubnąć kawałka indyka, ale tak mocno

66

wierzę w stosunki zagraniczne, że wystarczy mi listek sałaty. Listek sałaty, piwo i oczywiście fajerwerki — może zostały jakieś z Nowego Roku?

Czy oni nie mieli wtedy jakiejś konstytucji? Powinnam lepiej słuchać nauczycielki na lekcjach historii, ale wtedy przedmiot ten tak okropnie mnie nudził. Inaczej kiedy i ja stałam się historyczna. Zadzwoń do Ewki, może i ona będzie miała ochotę na świątecznego drynia?

5 LIPCA

Otwieram oko: o rany, ale jasno. Nie tylko jestem samotna, ale w dodatku zostałam chyba alkoholiczką ale czy ja już tego kiedyś nie mówiłam? I sufit taki biały; na moim — podczas jakiejś awantury z Robertem — rozbił się stoik z musztardą. Machnęłam nim, by wyładować złość.

Ooo, ktoś ukradł mi żyrandol. Ściany, ściany. Gdzie jest moja tapeta? Mama, tato, Ewa? Chyba otworzę drugie oko.

Nie mogę go otworzyć. Nie mam oka?! Coś na nim siedzi. Pomocaj my... Opatrunek?

— Gdzie ja jestem?! — wrzasnęłam i próbowałam wstać, ale wtedy natychmiast ktoś do mnie podbiegł i ułożył mnie z powrotem.

— Co z Luną? — pisałam.

- Jest z nią Wenecjusz — odparła miękko Ewa. Moje palce powędrowały z powrotem do twarzy:
 - Czy ja jestem ślepa? Nie mam oka? Okaleczona?
 - Nie. Tylko trochę osmalona — odpowiedział obcy głos. Siłą spróbowałam szerzej rozewrzeć ślepie: aha, piguła. Nie,
- po dłuższym skupieniu piguła okazała się lekarką. Nie nosiła czepka.
- To ja wychodzę. — Zaświeciłam przed nimi swoim gołym tyłkiem.

67

- Jutro. Musimy ci zrobić jeszcze parę badań.
- Córeczko...
- Wychodzą dzisiaj. Wracam do kota. — Łypnęłam groźnie swoim jednym przekrwionym okiem. Czy czarne pirackie opaski są seksowne? Starzy gwiazdorzy podobali mi się w nich.
- Naszą gwiazdę ta pani — lekarka wskazała na Ewkę — przywiozła totalnie zalaną.
- Wcelowałaś sobie fajerwerkiem prawie w środek oka.
- Prawie — powtórzyła doktor za Ewą.
- Czy ty sobie coś chciałaś zrobić, dziecko? — zapytał tato. Matka pociągnęła nosem.

Cisza.

- Nie — odpowiedziałam po dłuższym zastanowieniu. — Nic nie chciałam. Wszystko w porządku. Nie będzie więcej żadnych badań. — Odwróciłam twarz w stronę lekarki, która przesunęła się poza mój kąt wzroku. — Właśnie się wypisuję. Czy Luna...
- Przestraszyła się, ale nie tak bardzo. To ciekawski kot — odpowiedziała Ewa.

Znowu ta cisza.

- Co możemy dla ciebie zrobić? — Skarceni Bóg wie czym rodzice stali w kącie. Ojciec dreptał w miejscu.
- Lord czeka na tatę w samochodzie? Chrząknięcie.
- OK — burknęłam. W końcu miałam kaca.
- Wyślę cię na wakacje. — Ojciec cmoknął mnie w oba policzki i wypadł z sali.
- Czemu jestem w jedyńce? Cisza.

Matka usiadła przy moim łóżku.

- Już nigdy mnie nie swataj — poprosiłam.
- Dobrze — chlipnęła.
- Ona jest zmęczona, a skoro chce dzisiaj wyjść... Dzięki ci, Biała Damo.
- Już, już. Tylko coś jej pokażę. — Wyciągnęła z torby

68

„Halło”. Mignęła mi jakaś znana, przystojna twarz. — To twój kuzyn. Nie wiem, czemu w ogóle o tym zapomniałam. Ale to zdjęcie... Jego na pewno wciąż bolą nerki tak samo jak ciebie. Niedorozwój kłębuszków... Przystojny, co? Szkoda, że nikt nie wybiera się na tamten świat, bo... Zmieszana zamilkła.

- Obiecałaś mnie nie swatać, żywą czy martwą.
- Chodźmy po jej ubranie. — Ewka pociągnęła mamę za łokieć.

Lekarka wciąż tkwiła pod oknem.

- Czy fajerwerkiem można się zastrzelić?
- Nie — odparła.
- Tak właśnie mi się wydawało.
- Masz fart, dziewczyno. — Nie była dużo starsza ode mnie. Jej komórka zadzwoniła.

Nie podsłuchiwałam tej rozmowy.

- Mąż?
- Pacjent. Nie mam męża.
- I wystarczy?
- Chcesz, żebym odpowiedziała: „musi” czy „to też miłość”.
- To drugie.

Poruszała się cicho jak cień.

- Czytała pani doktor Dziennik Bridget Jones? — krzyknęłam, kiedy była już w drzwiach.
- Nie.
- To proszę przeczytać.

Po jakimś czasie zajrzała do mnie prawdziwa pielęgniarka. Oczy miała szeroko otwarte ze zdumienia, kiedy sobie mnie dobrze obejrzała.

— Aż takiej szopki narobiłam?

— Myślałyśmy na oddziale, że to już święta.

Ewka powiedziała mi, że bredziłam (bardzo głośno) o podpisaniu Indyjskiej Konstytucji przez Dziadka Mroza. Nie wszystkim to się spodobało.

69

Mama uparła się, że odprowadzi nas do domu. Kupiła też stos czasopism (na razie mam sprawne jedno oko, ale jak tam z jedną półkulą mózgu?) i chrupki. Chrupki nazywają się Smily's i są w kształcie uśmiechniętych buziek.

Chrupnęłam:

— Całkiem dobre.

— O twoim ulubionym smaku. — Albo mi się wydawało, albo matka puściła do mnie oko. — Bananowym.

I co to ma znaczyć?

6 LIPCA

Czułam się jak zombie, więc wzięłam się za sprzątanie. Szu-ruburu, szuruburu — nawet nie szło mi najgorzej. Od czasu do czasu sprzątanie bywa wysoce odprężające, a co ważniejsze nie uzależnia.

Potem przyszła Ewa i cały czas się do mnie głupkowato uśmiechała.

— Ludzie tracą swoich ukochanych. Cierpią, ale to nie znaczy, że od razu muszą zachowywać się jak Werter.

— A kto to taki? — burknęłam znad mopa.

— Taki niepoukładany facet.

— Znam, ale słabo pamiętam...

— Już nie żyje. Zresztą to bohater książki.

— Ha! — odpowiedziałam.

— Ty oczywiście jesteś rzeczywista.

— Doprawdy? — wyrwało mi się.

— Życie ma swoje prawa.

Już milczałam. Ewa sięgnęła po swoją torbę i podała mi pakunek w różowym papierze.

— Ewa! To jest wibrator!!!

— Właśnie. — Pokiwała głową jak piesek. — Zabawka, z głową na drucie, trzymana w samochodzie.

70

— Dziękuję ci w kontekście „praw życia”. — Rąbnęłam całe to sprzątanie. Poszłam robić kawę.

— Nie podoba ci się? — Podreptała za mną do kuchni.

— On? Ależ naprawdę mi się podoba. Jest czarny, a do tego ta złota główka... Uroczy.

— Ten wydał mi się taki elegancki... Zresztą myślę, że w zabawkach nie chodzi o naturalność.

Pomyślałam o lalce Barbie. Usiadłyśmy przy filiżankach.

— Mam coś jeszcze.

— Baterie?

— Nie. No widzisz, zapomniałam!

— W porządku, dzisiaj się jakoś powstrzymam.

— Mam to. — Tym razem wyjęła z torebki czekoladowe serduszko w złotym papierze.

Przełamałyśmy je na pół i zjadłyśmy, a potem analizowałyśmy różnice pomiędzy jednym a drugim narzędziem, chichocząc jak nastolatki.

7 LIPCA

Ewka założyła jednoosobowy Komitet Walizkowy — z pozoru demokratyczny, w rzeczywistości absolutnie autokratyczny. Komitet przejrzał moją załadowaną już torbę urlopową, rozpakowując ją przy tym całkowicie (nawiasem mówiąc, ekspres nie chciał się w niej zamknąć). Wszystko, co ja uważałam za cenne bądź ważne, Komitet odrzucił w kącie. Cała masa rzeczy, na które ja nie raczyłam spojrzeć, została spakowana. Normalka! Widać pisane mi było jechać na obóz przetrwania, morski survival. Ewka wyjęła mój ukochany, wielgachny kostium kąpielowy i „pożyczyła” mi sznurowane czarne bikini. Cholera, czy ona jest szczęściarą, nie wiedzącą co to cellulitis? Ja włożę to bikini, ale dla spokoju własnego ducha (inne mam w nosie, przynajmniej na

71

razie), będę musiała wyjąć z oczu szkła kontaktowe. Co z oczu, to z serca. A i tak będę pokonywała plażę rakiem, chowając rozległy tyłek.

Ewka spakowała mi też parę niesamowicie seksownych koronkowych stringów, co w kontekście fraszki Sztaudyngera: „Myjcie się dziewczyny, bo nie znacie dnia ani godziny”, oznacza dla mnie ciągłe pranie.

— I jeszcze jedno, Anka. Możesz zdjąć już ten opatrunek.

A oko nie oprze mi się o policzek, trzymając się tylko na nerwie wzrokowym?

Ściągnęłam bandaż. Co za ulga: tylko brew mam trochę osmaloną. Świat widziany w nowej perspektywie, „dwuocznej”, nabiera wymiarów (a przede wszystkim odległości). Nie jestem taka brzydka, właściwie to... całkiem ładna. Jak się dobrze wpatrzeć.

8 LIPCA

Chciałam, żeby tylko Ewa odprowadziła mnie na pociąg. Jechałam do Kołobrzegu.

— Zobaczysz, te parę dni minie jak z bicza strzelił — powiedziała, widząc moją minę.

— Więc jadę tam tylko po to, by się rozpakować i spakować.

— Och, wiesz, co miałam na myśli. Musisz odpocząć.

O cholera, grupka dzieci żegnających się z rodzicami dała mi wiele do myślenia — pociąg kolonijny? Tak, ale skoro turnusy są trzytygodniowe, to...? TO!

— Wciąż odpoczywam.

— Jesteś sfrustrowana. No i w końcu się opalisz. — Obejrzała mnie krytycznie.

— Mam uczulenie na słońce.

— Popatrzysz na morze, uspokoi cię to i będziesz „zen”. Rozglądałam się z coraz większym niepokojem. Przybywa

ludzi i tobołków.

72

— Nie ma tam żadnego festiwalu?

O — Już nie, i żadnych żołnierzy. Zresztą i tak byś się nie nauczyła śpiewać. No, chyba żebyś była na muszce. — Perliście się roześmiała. — Aha, prezent od Wenecjusza. Obejrzałam.

— Clarissa Pinkola Estes Biegnąca z wilkami. Będę wyć. — Zbierało mi się na płacz.

— Też będziemy tęsknić. Pociąg wjeżdżał na peron.

— Pora się pchać.

— Nigdzie nie chcę jechać bez Luny. — Już wiedziałam, czemu nigdy w życiu nie dałam się wkręcić w jakiegokolwiek kolonie. Koszmar.

— Daj Kotu odpocząć od siebie. Zresztą Wenecjusz będzie codziennie pokazywał jej twoje zdjęcie.

Jedyne moje zdjęcie, które miała Ewa, zostało zrobione na jakiejś uczniowskiej prywatce. Było wielce nieciekawe — jednak tym razem nie zaniepokoiło mnie to, że Luna będzie miała mnie za ekstrabrydulę, co raczej za degenerata (obrzucamy się na zdjęciu tortem, a bita śmietana maskuje doskonale pryszcze. No proszę — można ten sposób opatentować). Dedukowałam, że skoro Ewa bierze Lunę na czas mojego wyjazdu do siebie do domu, to musiała na te parę dni wziąć Wenecjusza. On i mój kot jako papużki nierozłączki? Nie. Ale on i Ewa. Zaraz!

— Wprowadził się do ciebie! — ryknęłam, kiedy torbą wpychała mnie go przepelnionego wagonu. — Czemu mi nie powiedziałaś?!

— Nie chciałam ci robić przykrości.

— Wszyscy źle interpretujecie! — wrzasnęłam.

— Co?! — zapytała Ewa z peronu, kiedy pociąg ruszał. Wrzasnęłam drugi raz.

— Tak! — odkrzyknęła rażno. — Pójdę do ciebie i podleję kwiatki.

— Ja nie mam kwiatków!

— Co?!

73

— Nie mam kwiatków!!!

— To ci kupię!

— Nie chcę jechać!!!

— Mówiłam już, że ci kupię!

— Obiecanki cacanki — stwierdził autorytatywnie jakiś ryży gnojek, którego na siłę wciśnięto do grapy kolonijnej.

Postanowiłam wracać, kiedy tylko to stalowe pudło się zatrzyma. W moim postanowieniu utwierdził mnie smród z WC (obok którego nieszczęśliwie stanęłam) i dziecięce wrzaski. Jacyś faceci i konduktorzy co i rusz zaczepiali samotną kobietę, czyli mnie. Powinno mnie to podnieść na duchu, ale jeszcze bardziej zdołowało.

Dotarłam do Kołobrzegu wieczorem, w dodatku bardzo zmęczona. Postanowiłam wrócić do stolicy, jak odrobinę odpoczną. Mam kwaterę pośrodku ogromnego blokowiska, z którego nie tylko nie widać, ale i nie słycać morza. Prześlpię się tylko troszeczkę i wracam. Dobranoc, Luna.

O Luno, tak ładnie świecisz za oknem.

Nie mogę spać. Policzę owcę:

— Owca.

9 LIPCA

Po prostu morze.

10 LIPCA

Morze, morzy mnie sen i marzę. Plaża. Gdzieś zgubiłam uczulenie na słońce.

Znalazło się! Ale pomarzyć wolno.

74

11 LIPCA

Dzień Wysyłania Pocztówek — w zasadzie tylko dwóch. Dla rodziców wybrałam standardowy widoczek z morzem i jakimiś łódkami. Na kartce dla Ewy co prawda też jest i Łódź, i Bałtyk, ale jest też grupka umięśnionych, cyncatych (skąpe kostiumy) blondynek śmiejących się od ucha do ucha. Ewa oficjalnie przeklnie mnie za tę kartkę, ale w głębi duszy ją to rozbawi. I schowa ją — na mur beton — przed Wenecjuszem (uwaga: jest samicą!). Znowu wyjdę u pana mecenasa na analfabetkę.

Kochani rodzice!

Morze ciepłe. W ogóle bardzo ładnie. Opaliłam sobie plecy.

Pieniądze fu idą jak woda. Odpoczywam. Całuję — Wasza
czekoladka.

Ewka!

Serca w górę! Pięknie tu i marzy mi się romantyczne ba-
ra-bara. Tak spaliłam plecy, że śpię na brzuchu. Czemu cię tu
nie ma? Czemu nie ma tu Luny (dbasz o mojego kota, co?)?
Czemu nie może być ciągle tak fajnie? Pozdrawiam Ciebie
i Wenecjusza (masz mu powiedzieć o kartce!), Anka.

PS

Przypomniałam sobie, że w domu jednak mam paproć.

12 LIPCA

Zapraǳnęłam dotknąć „tajemnicy”, bo większej części swojego ciała i tak nie mogę dotykać — poszłam więc do wróżki.

Opuściłam ją bardzo zniesmaczona: tej „wiedźmy” nie należałoby spalić na stosie, ale uciąć jej szponiastą rękę (tipsy) za złodziejstwo.

Zastanawiające, ale mój humor coraz lepszy.

75

13 LIPCA

Spotkałam Ręce Które Leczą. Chłopak poderwał mnie na plaży — opalony, ostrzyżony. Ładny i trochę za młody, ale w końcu nie wiem, kiedy będę mogła pozwolić sobie na następne wakacje. Nie poszliśmy ani do niego, ani do mnie. Zostaliśmy nad morzem. Chciałam z Rękami Które Leczą (dotykał mnie, a tu zamiast bólu same przyjemności) kochać się na piasku. To takie romantyczne, no i widziałam na kasowym filmie.

— Ech, turystko. A wiesz co to jest piasek? — zapytał mnie tubylec.

Zmaterializował nie wiadomo skąd cienki śpiwór. Kiedy plaża opustoszała, rozłożył go tak, byśmy nie tracili z oczu morza.

— Otrzep stopy. A potem...

Chyba robię się perwersyjna.

Obudziłam się rano. Sama. Wcale mi to nie przeszkadzało (serio!), porzuciłam śpiwór (w duchu wierząc, że Ręce Które Leczą go znajdzie) i poszłam się wykąpać. Zaspokojone ciało wygląda o świcie całkiem, całkiem... Pierwsi plażowi joggin-gowcy wpadli na taplającą się golaskę o rozmarzonej jeszcze twarzy (o ile oczywiście patrzyli na twarz).

A niech mnie!

Z tego wszystkiego zapomniałam, że dziś trzynastego i piątek — ale wszystko zrobiliśmy chyba dobrze.

14 LIPCA

Kurczę! Dopiero co przyjechałam, a już muszę się pakować!

76

15 LIPCA

Uff, wróciłam. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Home, sweet home. Dżungla znaczy (miejska — niemiejska): Ewka najwyraźniej się przejęła, bo całe mieszkanie zastałam w kwiatkach. A raczej w

roślinach doniczkowych. Takich jeszcze ładnych, zielonych — nie zeschniętych ani gnijących. Moja „sobótkowa” paprotka też jakby odżyła. Miło tu będzie, jak sobie uświadomię, że dużo zieleni nie oznacza od razu pory deszczowej.

Brakuje tylko mojej małej pumy.

Biała puma biegła do mnie tak szybko, że tylne łapy ślizgały jej się po parkiecie i wyprzedzały przednie. Przynajmniej tak to wyglądało w Ewkowym korytarzu. Kot obwąchał mnie i kichnął.

Ewka nie kichnęła tylko powiedziała:

— Opaliłaś się. A Wenecjusz:

— Ładnie wyglądasz. — Zamiast zwykłego zagadkowego „do twarzy ci z tym”. — Dzięki za kartkę.

Człowiek wyjeżdża na tydzień, a tu fruuu — życie go omija.

— Byłam u wróżki — pochwaliłam się.

■— I co? — spytał Wenecjusz, robiąc mi herbatę.

— Wywróżyła mi bruneta a la Deląg.

— Lubisz?... — To Ewka.

— Wolę Żebrowskiego. Jej zresztą też to powiedziałam.

— I co? — To Wenecjusz.

— Powiedziała, że być może wygląda jak Żebrowski. Że mogła w pierwszej chwili się pomylić, bo tak to polskich filmów ni£ ogląda. Chyba, że seriale. Jak „Czułości i kłamstwa”.

— Naprawdę wolałabyś to zrobić z Żebrowskim niż z De-łagiem? — dopytywała się Ewa.

Cholera, nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. — Jak Boga kocham, nie wiem. Ale gdybym naprawdę mogła wybrać, to...

— O rany! — wybuchnął Wenecjusz. Ewa uniosła brew i zmieniła temat:

77

— Też byłam kiedyś u wróżki.

— I co? Lubaszenko?

— Powiedziała, że widzi dziecko, ale nie widzi ślubu. W tej chwili ręce Ewy i Wenecjusza spotkały się.

— I miała rację.

— Słucham? — Nie uwierzyłam.

Tak, tak, mówiły ich miny. Miau — powiedział kot.

— Chcemy się pobrać we wrześnie. W pierwszą sobotę, pierwszego.

— Już pierwszego? — W pierwszej chwili kojarzyło mi się to... z obowiązkowością. — Nie za bardzo wam się śpieszy?

— Anka, to jemu się śpieszy. — Ewa połaskotała swój pępek. O rany, o rany, o rany! Moja najlepsza przyjaciółka jest w ciąży. A mnie nie było raptem parę dni!

16 LIPCA

Niektóre dni są jak sen. Na przykład ten wczorajszy. Cholera, nie potrafiłam się powstrzymać, by nie zadzwonić do nich raz jeszcze.

— Słucham? — Jest dobrze, odebrała Ewa.

— To ja. — Głos drżał mi ze zdenerwowania, udawałam sama przed sobą, że koncentruję się na drapaniu kociego ucha. Luna, rozumiejąc moją sytuację, nie oponowała przeciwko tym dotkliwym pieścizotom.

— No?

— To niezręczne pytanie...

— Tak, jestem pewna, że to ciąża.

— Może ci się opóźnia?

— Nie.

— Może to grypa?

— Nie.

— Jakiś cholerny wirus?

78

— Nie, Aniu, to ciąża.

— Niestrawność, ciąża urojona? Jamniki to mają. Przechodziłaś świnkę, może to zadawniona choroba wieku dziecięcego?

Wenecjusz wyrwał jej słuchawkę:

— To nie świnka tylko dziecko, Anka. Jakoś musisz się z tym pogodzić. — I odłożył słuchawkę.

Pogodzić się, ha! A on to niby jak to zrobić? Nie dziecko, rzecz jasna, bo to wiem i to od dawna. Wiem też, jak tego nie zrobić, o czym tamtych dwoje najwyraźniej zapomniało.

A teraz — odpowiedzialni rodzice?

A co będzie ze mną?

17 LIPCA

Coś, kurna, nieprawdopodobnego...

Przez pół godziny oglądałam swoje sutki i próbowałam zbadać, czy ściemniały chociaż o ton, choć w każdej chwili tej kontemplacji spodziewałam się mleka tryskającego z moich piersi. Cięża Ewy wpędza mnie w ciężą urojoną, bo skoro jej się mogła przytrafić, to czemu nie mnie? Rozsądnym argumentem przeciwko byłby brak współżycia, ale nie o rozsądek tu chodzi, co raczej o pech, a ten jest zupełnie nieuporządkowany. Po drugie — jak zaświadczą najwyższe autorytety — co najmniej jedno niepokalane poczęcie już się odbyło... Żeby nie było wielkiego skandalu i niepotrzebnej cenzury: nie roszczę sobie prawa do zostania matką Boga. Nie roszczę sobie prawa do zostania matką w ogóle, a nawet staram się tego unikać, ale wszelkie nieszczęścia chodzą po ludziach, a z moich pleców to już zrobiły sobie autostradę. Bo i przypadek pierwszy: mając wielkość łuskanej fasolki i wciąż jeszcze siedząc w łonie matki, mogłam spotkać jeszcze mniejszego braciszka, którego (jakie to krępujące...) połknęłam, a teraz on próbuje wydostać się na zewnątrz, po dwudziestu dziewięciu latach, transformując się z mojego brata w syna. Albo...

79

Podobno białe niedźwiedzice są zapładniane przez swoich partnerów polarną jesienią i przez całą polarną zimę przechowują w swoich brzuchach małe embriony; wzrost małych misiów uaktywnia się dopiero na wiosnę.

Co różni niedźwiedzicę od kobiety?

A jeśli zaszłam z Robertem, on zdążył mnie już rzucić, a teraz dziecko mi się uaktywni, to co ja zrobię?! Zwykła cięża urojona też może zaszkodzić, a jak mi się to mleko pojawi w towarzystwie albo brzuch urośnie i dostanę rozstępów, albo ciągle będę biegać do klopa? Żeby się chociaż od tego włosy poprawiały i schodziły pryszczki, ale podobno jest zupełnie odwrotnie... Jak ja to przeżyję? Jak Ewka to przeżyje? A taki poród to jest jak pójście na wojnę. I niech mi tylko Ewka nie mówi, że rodzi bez znieczulenia. Wdech, wydech i zen w momencie, kiedy... Nie, nie będę o tym myśleć!

◆

Jesteśmy zakładniczkami swoich hormonów! Do diaska! Sama Murphy Brown zarzekła się, że nigdy nie zajdzie w ciężę, bo lubi spoglądać na swoje buty, aby w kolejnym odcinku potupać świńskim truchtem do kliniki sztucznych zapłodnień (co prawda incognito — szczęściem dla obojga rodziców).

Obiecałam, że pojedę do domu rodziców Ewki — Ewka siedzi tam teraz i uczy się od matki jak donosić i urodzić dziecko. Dodatkowym utrudnieniem jest to, że ma nie przytyć, a przynajmniej nie przytyć

trzydzieści kilo — stanowi to większy wyczyn niż samo „wysmarkanie ziemniaka”, jako że przyszła babcia próbuje w Ewkowym piecyku tak utuczyć swe przyszłe wnuczę jak, nie przymierzając, wiedźma Jasia i Małgosię...

O rany, a jak będą bliźnięta?!

Jechałam do niej takim dziwnym autobusem, w którym byli prawie sami faceci. Kiedy więc na kolejnym przystanku pojazd otworzył swe wierzeje, by wpuścić do środka drobną matkę z wielkim wózkiem, myślałam, że któryś z panów pomoże jej

80

choćby w odruchu solidarności z ojcem. Dzwonek-pośpieszacz przy drzwiach pobrzękuje, ale nikt się nie kwapił do jakiegokolwiek ruchu i wtedy ta dziewczyna kiwnęła na mnie.

Co się namęczyłyśmy, żeby ten wózek wciągnąć do środka...

Ta część podróży godna była zapamiętania: mężczyźni milczą, ja milczę, a matka śpiewa dziecku kołysankę i to jakąś dziwnie skuteczną, bo sama przy niej przysypia. Potem dziecko w ryk, a kobieta pochyła się konspiracyjnie do mnie i mówi z najwyraźniej masochistyczną satysfakcją, że ono może tak całe noce. Pomyślałam sobie wtedy: Ewka, kiedy ty się wyśpisz?

W progu wita mnie siostra Ewy, Alicja. Alicja z Krainy Czarów. Dziwne dziecko: ogląda Pokemony albo zaplata sobie dredy. Dzieclco bez wieku (przynajmniej dla mnie) i nie do zrozumienia (to już chyba dla wszystkich).

— Oj — mówię, widząc pobłyskujący w jej nozdrzach kolczyk.

— Aj — potwierdza. — Musiałam obkładać lodem.

— Rozumiem. — Też musiałam lodami obkładać gardło, kiedy barbarzyńcy profilaktyki wycieli mi zdrowe migdałki. — Był dym?

— Trochę się ojciec czepiał. Matka mówi, że taka dziura to dla krowy, ale ja ich czkam! — zauważyła wyniośle.

Korciło mnie, żeby zapytać: razem czy osobno, ale nie po to pali się z wodzem fajkę pokoju, by za chwilę krzyżeć, że bizony śmierdzą równie mocno co stopy wspomnianego wodza.

Przypomniała mi się przeczytana ostatnio książka hinduskiego autora, w której główna bohaterka wraz z całą rodziną paradowała równie pięknie przyozdobiona, więc palnęłam:

— Czy to ma coś wspólnego z indyjską filozofią? Alicja pokręciła głową z niesmakiem (oj, potrafi to zrobić):

— Moja siostra jest w ciąży, ale tobie co się stało?! Na odsiecz przyszła mi Ewa.

— I co na to wszystko matka? — spytałam.

— Mówi, że mam po niej szerokie biodra, więc wszystko bę-

81

dzie OK. A ojciec nalega, że jak będzie syn, to mam go po dziadku nazwać Włodzimierz. Ale ja chcę, żeby to był Kuba.

— Kuba? — powtórzyłam tępo. — A jak będzie dziewczynka?

— No coś ty, Anka, teraz się sami chłopcy rodzą, bo podobno będzie wojna.

Pochichotałyśmy chwilkę.

— Głupi przesąd — stwierdziłam. — A gdzie ten plakat z Mickem Jaggerem?

— Mama zdjęła, bo bała się, »żę się jeszcze zapatrzę i Kuba przyjdzie na świat z takimi paskudnymi ustami, no wiesz. — Wykręciła się wstrętnie.

— Jagger ma córkę topmodelkę — napomknęłam.

— A oglądałaś ostatnio TV Fashion? Znowu chichot.

— Poprosiliśmy tego gościa od USG, żeby nie mówił nam, jakiej płci będzie dziecko. Taka niespodzianka przy urodzeniu. — Wyszczrzyła zęby.

— No! A jak się Kuba zdziwi! I co, zapisujesz się do tej szkoły rodzenia, skoro masz szerokie biodra? — spytałam kąśliwie.

— Ech, gdyby ktoś to dziecko mógł urodzić za mnie. — Klapnęła na kanapę i popatrzyła na mnie z nadzieją.

— Chyba dostanę ciąży urojonej — pożałowałam się. — Widziałaś Dziecko Rosemary!

Spojrzała na mnie dziwnie.

— Nie... Za to widziałam Pierwszy krzyk... O szlag by to trafił! Ale ze mnie idiotka.

— Co cię podkusiło? — Usiadłam obok niej i przytuliłam. Ewka szlochała.

— Ja, ja... — trzęsła jej się broda — brałam wtedy pigułkę i ciąża wydawała mi się równie realna co kolonizacja Marsa.

— Czerwona Planeta kusi — powiedziałam autorytatywnie, jako że zostałam wychowana na kinie sf.

— Skąd wiesz? — Dostała oczy jak spodki.

82

Wzruszyłam ramionami: — Nie wiem. Ale to, kurna, niemożliwe.

— Myślisz, że ja się z tym nie oswajałam? — Nadąsała się.

— Ale tobie walą hormony, a ja żyję z tym na sucho — od-szczeknęłam.

Potem przyszła mama Ewy z na wpół surową wątróbką na talerzu i Ewa tę wątróbkę na moich oczach pochłonęła. W tempie kosmicznym...

18 LIPCA

Miałam straszny sen. Obudziłam się roztrzęsiona i mokra od potu, z mentalnym zawałem. Przyłożyłam głowę do poduszki, żeby nabrać sił i uspokoić skołatane nerwy, a tu masz! Cholera, że też pod powiekami może się czaić takie badziewie. Powinnam zadzwonić do Ewki. Jednak nie... Teraz albo wisi nad toaletą, albo nakłada pantofle na opuchnięte stopy rozmiar 40. Inna sprawa, że ciekawi mnie, jaki rozmiar stanika nosi obecnie? Wielkie balony to jedyny plus ciąży i tycia; ja jednak nie jestem skłonna aż do takich poświęceń żeby tylko „złapać oddech”.

No tak, a ja wciąż dyszę z przerażenia.

Śnił mi się kosmos: wielki! Gwiazdy i te rzeczy... Z reguły takie sny od początku mi się nie podobają — widok wszechświata w dosłowny sposób ukazuje mi moją marność. Dlatego też — przynajmniej wieczorami — postępuję wbrew rozsądnej radzie: „Nie patrz w dół”.

Z drugiej strony sen miał drobny aspekt pozytywny — spełniało się w nim moje dziecięce marzenie: byłam astronautką jak taka ładniejsza Tiereszkowa albo brzydsza Łajka... Od czasu do czasu spoglądałam w okno kokpitu, za którym widziałam kicające pomiędzy gwiazdami króliki... Ciekawe, po czym śnią się takie rzeczy?

Ewka też była na pokładzie — obżerała się chlebem z cebulą

83

i oliwkami. O ile jednak pierwszy kanapkowy składnik mógł pasować do radzieckiej astronautki, o tyle ten drugi w ogóle nie pasował do Ewy. Ewa nie cierpiała oliwek, zwłaszcza czarnych! Ponad wszystko! I wtedy zrozumiałam, że to nie Ewa tylko Obcy. Natychmiast wychyliłam się za burtę i muśnięta przez królicze skoki przeczytałam, że nasz statek kosmiczny nazywa się „Nostromo”.

Ewa jadła i jadła i już myślałam, że rychło jakiś potwór rozerwie ją i pacnie krwawym ryjem obok talerza. Tymczasem ona — wreszcie najedzona — głośno beknęła.

— Wiem, zdarza mi się ostatnio. To ta upiorna nadkwa-sota... — Rozpięta kombinezon i pokazała mi brzuch ze sterczącym filuternie pępkiem-supelkiem.

— O rany! Jak możesz z tym żyć? — wymknęło mi się ze względu na mój jak najbardziej wklęsły pępek.

— Sama nie wiem... — Królik wzruszył ramionami. Brzuch Ewy-królicy zrobił się przezroczysty niczym w jakimś

opowiadaniu Gretkowskiej. Wewnątrz, jak w kapsule, siedział mały i nagi dzieciak z tak zielonymi oczami, że aż fosforyzowały niczym wskazówki budzika. Pociągał raz po raz (dzieciak, nie budzik) za palec swojej gołej stopy (miał dwie — normalnie). Pomyślałam wtedy, że koniecznie muszę wydziergać na drutach różowe buciki, aby dziecko Ewki nie było bosą dziewczynką. I obudziłam się z wrzaskiem, kiedy uświadomiłam sobie drastyczną prawdę: jestem beznadziejna w robótkach ręcznych. Z takiej niezdary jak ja ma być matka chrzestna?

Mimowolnie zostaję chyba gwiazdą dziennikarstwa, bo co innego miałyby oznaczać ta rozmowa z Magdą? Swoją drogą muszę zacząć wychodzić i rozmawiać z ludźmi pysk w pysk, bo niedługo w miejscu dłoni wyrośnie mi słuchawka...

— Nie miałybyś ochoty na etat? — zaświergotała Magda.

— A co, firma chce mnie kontrolować?! — ryknęłam i wybuchnęłam śmiechem, ale na przedłużającą się ciszę po drugiej stronie równie gwałtownie przestałam rzeć.

84

— Magda?...

— Wydawało mi się, że to dobra propozycja — mruknęła. — Wiesz, służbowy lunch, ubezpieczenie, komórka, karty kredytowe...

— VISA?

— Myślę, że przy tym, co płaci magazyn, mogłabyś wystąpić o VISE do banku.

„VISA VISA, a co z WOLNOŚCIĄ?” — zajęczało coś we mnie. Żadnego przedłużającego się leżakowania, picia od rana, telenowel, symbiozy z Luną... Prawie jak w szkole.

— A pół etatu? — napomknęłam.

— Phi! — parsknęła. — Najwyżej VISA Electron.

— Hm — chrząknęłam. Luna ocierała mi się o kolana. — Muszę się zastanowić — stwierdziłam godnie.

— Gdybyś wzięła pełny etat, to mogłabyś dostać kredyt na mieszkanie — rozsądnie zauważyła Magda, kiedy ja myślałam i głaskałam kota.

— Ale ja mam mieszkanie.

— Nie wynajmujesz?

— No wynajmuję, ale opłacam za pieniądze z mieszkania, które wypuszczam komuś innemu. Mam je po babci (tak jak i skłonności do Alzheimera — dodałam w myślach), ale że mieszkanie znajduje się w

odległości wzrokowej od okien moich rodziców (dla niegdysiejszego bezpieczeństwa pożarowego), stwierdziłam, iż pomieszkamie tam sobie daruję.

— Rozumiem — przytaknęła Magda. — Aha, nie pochwaliłam ci się jeszcze. Kupiłam M-3. Na kredyt, ale w starej kamienicy.

— I jak?

— Bardzo ładne. Częściowo już spłaciłam.

— Spadek? — Poczułam gwałtowny przyływ intuicji.

— Tak jakby — zgodziła się. — W mieszkaniu umarła jakaś staruszka...

Oho...

— No i?

— Nie znaleźli jej od razu...

85

Przez kulturę nie spytałam, czy miała owczarka alzackiego.

— Deski na podłodze — te pod ciałem — zdążyły się trochę wypaczyć...

— To okropne!

— I tak kładę parkiet. Zresztą cały „spadek” to w istocie ta zepsuta podłoga. Kolega mojego męża, taki alternatywny artysta, wziął od nas te deski. Oprawił w ramy i nazwał Osamotnienie. Poszły od ręki na aukcji w Japonii. I to za jaką sumę! A że to równy gość, więc podzielił się zyskiem. Nieźle, co?

Zatkało mnie, więc postanowiłam powrócić do przerwane go tematu:

— No! A tak wracając do twojej propozycji, to dlaczego ja? — Musiałam o to zapytać dla świętego spokoju. Nie lubię niejasnych sytuacji.

— Wiesz, Anka... — odparła ze skupieniem w głosie — będę szczerą. Mnie też to zastanawia.

Ha... Kupię sobie owczarka alzackiego.

19 LIPCA

Dzwonię do Ewki i dzwonię, a tam ciągle zajęte. Czuję się parszywie po naszej ostatniej rozmowie. To, że jej nie rozumiem, nie znaczy... Cholera wie, co nie znaczy! Jest po prostu ofiarą bliskich spotkań trzeciego stopnia z bocianem, a ja jestem wściekle zazdrosna. Sama zresztą nie wiem dokładnie o co — czy czuję się jak skrzywdzona starsza siostra, która pewnego dnia wraca ze szkoły i natrafia na wrzeszczący tobołek, nad którym się wszyscy pochylają i cmokają radośnie? A może zazdrosna o ciężę pozostaje moja

gadzia część mózgu — sterowana macierzyńskim zegarem rychło wybuchnie ze strachu, że moje jajniki zamieniają się w wysuszone ziarnka fasoli (gdzie to było?).

Może jednak należałoby znaleźć lepiej płatną pracę? Nie żeby kupować kosmetyki, ale mieć kasę na zamrożenie sobie ja-

86

jeczka? Nie, to nie wypali: „czynsz” za takie przechowywanie jajka w banku płodności jest pewnie ogromnie drogi. Będę płacić i płacić, i płacić, a kiedy w końcu dzieciak się urodzi, będzie się wstydził, że ma za matkę Babę Jagę, która z oczywistych przyczyn nie miała pieniędzy na krem przeciwzmarszczkowy... Oj, już mnie boli twarz.

Ewka wciąż nie odpowiada, więc chyba się w końcu do niej przejdę.

Spotkałyśmy się! Telefon był ciągle zajęty, bo ona dzwoniła do mnie, a ja do niej. Uściskałyśmy się jak szalone.

— Słuchaj, Anka! Miałam sen.

— O przezroczyście brzuchu i króliczkach?!

— Nie. — Popatrzyła na mnie dziwnie i bardzo podejrzliwie. — A przynajmniej nic takiego nie pamiętam.

— No to o czym? — zaciekałam się. Może sama rozpocznę karierę wróżki „od snów” albo zrobię dragi fakultet i zostanę freu-dystą? W pełni uzasadnione będzie wówczas wypytywanie znajomych o ich życie seksualne czy zawieszenie nad łóżkiem reprodukcji obrazu Łempickiej (ulubiona malarka Madonny!) o tytule Marchewki: wszystkie „warzywa” wyglądają tam, jakby dostały erekcji — rząd penisów, grapa penisoidalna, martwa natura...

— Słuchasz mnie? — Ewka szturchnęła mnie pod żebro.

— Tak. Znaczący zamyśliłam się. Ale słucham... Udała, że nic się nie stało:

— Pachniało jak w kuchni, tylko że to nie była kuchnia, lecz góra. Właściwie górką, łysa, a ty, nie wiedzieć czemu, spałaś na jej szczycie. To znaczy ja też tam byłam, przez chwilę (zabawne), ale zrobiło mi się zimno i powiedziałam ci, że woda w domu mi wykipi. A potem mój duch unosił się nad tą górką i patrzył na ciebie. Ty spałaś, aż nie weszła ci do śpiwora Skłodowska-Curie, tylko że ona była w tym śnie facetem, no i sama wiesz. Przystojny była, a i sławny, to baby leciały. Kiedy ten Skłodowski się zmył, nawet jeszcze nie świtało, ty zaczęłaś świecić jak jakaś miotła z Czarnobyła. Świeciłaś i świeciłaś, mocniej chyba od

87

śłońca, które w końcu wzeszło. I na to całe świecenie przyszły chłopcy z cepami i powiedziały, że „wiedźmie dychać nie dozwolą”. Zbudowali taki wysoki stos: dla ciebie. I podpalili go. Wcale ci się nie

podobało... Chciałam zgasić ogień przegotowaną wodą, bo od surowej można dostać ameby i wtedy zorientowałam się, że w kwestii wody skłamałam i nie mam ani kropelki. Więc później już nie miałam przyjaciółki...

I ten sen uświadomił mi, że tobie nie mogę kłamać.

— Nie jesteś w ciąży! — zagęgałam radośnie, ale zaraz palnęłam się w czoło, bo takie łągarstwo było jednak nierealne.

— Istotnie jestem — napuszyła się. — Cała rzecz w tym, że ja ją sprowokowałam.

Nie bardzo rozumiałam, ale słuchałam z zapartym tchem.

— W aptece można dostać takie małe testy ciążowe...

— Duże ułatwienie — wyrwało mi się mentorsko. — Nasze matki sikały do słoików. Potem wymyślili jakiś test, do którego była potrzebna króliczka. Wiesz, na jedną kobietę jeden zwierzątko. Po wszystkim otwierało się króliczkę i sprawdzało, czy pod wpływem kobiety ma zmiany — niby ciąży urojonej. Jeśli tak, zostawiałaś mamuszkę. Przynajmniej tak to zapamiętałam...

— Otwierało się króliczkę — powtórzyła ze zgrozą ta, która mój wegetarianizm uważała za fanaberię.

— No wiesz, takie cesarskie cięcie...

Zbladła i nawet jakby trochę osunęła się na chodnik. Ludzie zaczęli się na nas gapić, więc czym prędzej zaprowadziłam ją do swojego mieszkania.

— Żartowałaś? — spytała, kiedy już doszła do siebie.

— Troszeczkę, doktorku.

— Mdli mnie — jęknęła. — Zupełnie jak na kacu... Aha, więc oprócz tych testów ciążowych są jeszcze owulacyjne. Sprawdzasz, czy twoje jajeczko się grzeje.

— Sikasz?

— Nie, ślinisz... I ja śliniłam te paski z premedytacją, żeby wiedzieć, kiedy mogę zajść w ciążę, a potem udawałam, że to tak

88

przypadkowo wyszło, bo bałam się, że moje jajniki wyglądają już jak zdechłe rodzyunki, a nie jakieś winogrona...

— Jak ziarenka suchej fasoli...

— I nigdy nie zostanę matką.

— No ale już jest wszystko w porządku. — Przytuliłam ją.

— A potem liznęłam w noc świętojańską i wiedziałam, że to musi być to. Po prostu gol!

— Eee, w noc świętojańską? — Popatrzyłam na jej brzuch i całkiem poważnie zaczęłam się zastanawiać, co więdźmy robiły podczas tych sabatów i na ile to (ona czy on?) będzie podobne do Wenecjusza. — Powiedziałaś mu o tym?

— Ależ, Aniu, mężczyźni nie muszą o wszystkim wiedzieć.

Zastanawiam się, czy odpowiedź dotyczyła lizania czy na przykład znajomości filmu Omen.

20 LIPCA

D-Day czy, jak kto woli, Dzień Operacji Jerzyk!

Udałam się na wyprawę po puszkę dla kota do osiedlowego sklepu, który nazywa się „Oaza” i rzeczywiście jest oazą dla okolicznych żulików.

— Kopsniesz, panna, monetę?

Kopsnęłam dwa złote — chyba za tę „pannę”. W drodze powrotnej zaś znalazłam ptaszka: bezbronne pisklę, które bez zastanowienia wzięłam do domu. Wzięłam i natychmiast schowałam w jakimś pudełku przed kotką, która była bardzo głodna. Dla bezpieczeństwa od razu nakarmiłam Lunę whiskasem. Zostawiłam ją nad miską, żeby się nie zorientowała, że znów wychodzę i zostawiam ją samą (cholera, jednak zachowuję się jak toksyczna matka). Zadzwońiłam po taksówkę i odwiozłam ptaszka do zoo...

Pisklę wyglądało na pustułkę. To oczywiście także wspomina-

89

toza — kiedy byłam dzieckiem, rzeczywiście znalazłyśmy z mamą potwornie zarobaczone i zabiedzone pisklę tego gatunku w studni jakiegoś podwórka (zusowski budynek obok był wysokim biurowcem, gdzie pustułki ostentacyjnie zakładały gniazda, wspomagając swoją obecnością egzotykę okolicy). Czym prędzej zawiozłyśmy je do miejskiego ogrodu zoologicznego, wiedząc, że jeśli tego nie zrobimy, ptasior skończy w pysku jakiegoś kota (wiedzisz, Luna, jaką macie opinię?). Musiałyśmy wtedy niesamowicie wyglądać — dwie niewiasty przejęte swą misją samarytanek. Mama trzymała pisklę w prawej ręce, lewą kontrolowała mnie. Ja trzymałam się mamy ręką prawą, a w swej lewicy trzymałam zabawkę: rudego liska zrobionego z prawdziwej skóry uprzednio ukatrupionego królika. Okropne!

Później były przyjemniejsze aspekty całego zdarzenia. Mogłam zatrzymywać się przy klatce z pustułkami i zgadywać, która z nich jest moja. Konfabulując, pokazywałam mojego ptaka swojej klasie (wszystko działo się jeszcze w podstawówce), z którą bywałam w zoo na obowiązkowych wycieczkach poznawczo-przyrodniczych.

A teraz byłam tu znowu, aby oddać w bezpieczne ręce drugą swoją pustułkę! Rozpierała mnie duma.

W budynku gospodarczo-hodowlanym (do którego wysłał mnie skacowany pracownik zamiatający alejkę) nie było nikogo z wyjątkiem głodnego kota, który beczelnie zwieszając się z dachu klatki dla małych bocianiątek, najwyraźniej czekał na jedzenie...

Postanowiłam poszukać jakiegoś opiekuna na własną rękę. Po kilkunastu minutach coraz bardziej chaotycznej bieganiny nikogo nie znalazłam.

Aż nagle wpadłam pod rower dosiadany przez potężną walki-rię. Walkiria okazała się szefem pielęgniarzy zwierząt, czyli tym, kogo szukałam. Niestety, nie była osobą sympatyczną.

— Jak pani chodzi?! Boczne ścieżki nie są dla zwiedzających, nie widzi pani tabliczek?!

90

Wymruczałam jakieś przeprosiny i powiedziałam, co mnie tu sprowadza.

— Proszę pokazać ptaka! — rozkazała.

— A jak wyleci? — pisnęłam.

— To po kłopocie!

Miałam nadzieję, że tylko żartowała na swój mało finezyjny sposób.

— To nie pustułka — zachnęła się — tylko jerzyk.

— Tak? — Przetknęłam ślinę identycznie jak na lekcjach biologii.

— Chodźmy do wiwarium. Proszę za mną.

Do wiwarium? Może i byłam niedouczone, ale wiwarium jakoś kojarzy mi się z wężami.

— Piotrek, zajmij się tym! — Przekazała mnie jakiemuś szczawikowi. — To jerzyk.

Ów Piotr złapał za moje pudło — chciał je chyba włożyć pod pachę, ale ja wciąż ścisnęłam kurczowo drugi koniec i nie puściłam. Uśmiechnął się lekko złośliwie i wzruszył ramionami, ale mojego ptaka puścił. Zrobiło mi się trochę głupio.

— Czy ty... — nie wiedziałam, jak zapytać — opiekujesz się ptakami?

— Nie, wężami.

Wężami, Anka! Węże to nie jerzyki!

— Najbardziej lubię pytony.

— Czy takie pytony...

— O tak, pytony bardzo lubią małe ptaki — odwierknął wesoło, nie spuszczając ze mnie swoich pytonowatych oczu.

„Nie dam się zahipnotyzować! — wrzasnęło coś we mnie. — Zdrada! Nie po to oderwałam jerzyka-pustułkę kotom od pysków, by teraz pożarły ją węże!”

Stałam niezdecydowanie, a nawet jakbym zaczęła się lekko wycofywać. Miłośnik węży znowu spojrzął jakoś dziwnie, a ja nagle poczułam, że opieram się plecami o walkirię...

— Nie! — ryknęłam. — Nie dam ptaszka! Ja rozumiem kryzys ekonomiczny... — Otoczona, starałam się znaleźć roz-

91

sądne kontrargumenty dla „pożarcia”. — Ale wszystko ma swoje granice.

Nie byłam przekonująca. Byłam przerażona! Trafiłam na zakamulowanych w zdrowym społeczeństwie psychopatów. Bestie!

— Hej, niech pani się uspokoi!

— Niezamierzamnie dammojegoptaaaaka.

— Żartowaaałem! Cisza.

— Co miałby dorosły pyton z takich paru piór? Wiem, to było pytanie retoryczne. Nie jestem głupia...

Piotr, który posiadał tytuł „pomocnik pielęgniarza zwierząt”, zabrał mnie do swojej kanciapy za „wypełzem” (no bo przecież nie wybiegiem?) dla pytonów. Stało tam duże akwarium, w którym aż kotłowało się od piskląt — istne jerzykowe przedszkole.

— Trzymamy je tutaj, bo tu jest najcieplej. Węże lubią — przerwa — ciepło.

— A potem? — Na przerwę dyplomatycznie nie zwróciłam większej uwagi.

— Po odchowaniu wypuszczamy je na wolność. Nie możemy trzymać wszystkich.

— Zadbaj pan o mojego jerzyka? — zagruchałam.

— Tyle ich tutaj — odgruchał. — Ale zrobię, co mogę. Znowu zaczynałam się czuć jak heroina romansu. Cholera, to

chyba jakaś choroba?! Chociaż, czemu nie...

„Bo nie — stwierdził kategorycznie mój głos wewnętrzny. — Nie będziesz flirtować z facetem, który jest opiekunem węży!”

„Ale i jerzyków”.

„Opiekunem jerzyków, ale i węży" — głos uznał dyskusję za zakończoną.

— Tak karmimy maluchy. — Piotr wepchał pisklakowi do gardła wijącą się dżdżownicę. Fuj! — Trzeba przez chwilę przytrzymać dziób, żeby jerzyk na pewno połknął. Potem masujemy lekko podgardle.

92

Kiedy wychodziłam z wiwarium, akurat podjechała walkiria, machając dużym tekturowym pudłem:

— Wiozę jeszcze dwa! Pytony czy jerzyki?

Specyficzne dni tak łatwo się jednak nie kończą. Kiedy dreptałam w kierunku wyjścia, oto moim oczom ukazał się weterynarz Luny. W dodatku nie sam, ale — jak się domyślałam — z żoną. Nadchodzili powoli sąsiednią alejką.

— Nie dosyć ma zwierząt u siebie? — mruknęłam zaskoczona. A ponieważ wciąż wstyd mi było za robienie maślanych oczu do żonatego mężczyzny, postanowiłam się nie ujawniać. Prawie mi się to udało.

Szczupakiem rzuciłam się za drewniany, swojsko wyglądający domek. Zanim zorientowałam się, co narobiłam, śmiertelnie przerażona rodzina lam z tupotem zaczęła miotać się po wybiegu.

— Lamy? — Małżeństwo wyrosło przede mną jak spod ziemi.

Bez odwrotu. - Pustułki — odpowiedziałam. Co mi tam...

21 LIPCA

Próbowałam jeszcze pospać, ale ostatnio nie ma na to szans. Odkąd bezrobocie skoczyło do piętnastu procent, wszyscy budzą się jeszcze wcześniej niż wtedy, gdy wstawali, idąc do swoich fabryk czy innych zakładów. Chyba po to, aby pozostawić sobie wspomnienie „normalności". Taka przynajmniej jest moja teoria. Jednakże dzisiaj — jeśli dobrze kojarzę — jest sobota, a soboty chyba zawsze były wolne? Jasna cholera, w tej kakofonii dźwięków dobiegających z korytarza brakuje tylko stada pawianów. Czyżbym przeoczyła jakąś masową ucieczkę z zoo?

93

Pójdę to sprawdzić. Łup!

— O żesz ty!...

Potknęłam się o kota i jak długa grzmotnęłam o podłogę. Kotka spojrzała z zaciekawieniem, co robię na jej wysokości...

Meble nauczyłam się już omijać z zamkniętymi oczami, ale Luna jest mniej stabilna.

Dzwonek!

Dobrze, otwieram. Mam na sobie piżamę w pajacyki, ale trudno...

— Nadal jesteś sama, jak widzę. — Mama błyskawicznie obrzuciła wzrokiem bazyliuszka mój „singlowy” strój nocny.

— Mamo, co ty tu robisz o tej porze? I Lord... — Pies zamiast obwąchać mnie, bierze się za obwąchiwanie kotki. Luna — o zgrozo! — wygląda na szczęśliwą.

Rozglądam się po klatce schodowej: tak myślałam. Nie ma sąsiadów ani żadnego stada pawianów. Pusto, nie licząc walizki. Walizki?!

Matka wnosi ją do mojego mieszkania.

— Mamo?...

— Trzeba tu zrobić jakiś remont.

— Mama wie, która jest godzina?

Walizka ląduje na środku mojego pokoju (mam dwa — „gabinet” i „sypialnię”).

— Wprowadzam się do ciebie. Na jakiś czas. — Aha, więc mam już tylko sypialnię... — Nasz tatusiek puścił się z jakąś Pudlicą!

To właśnie nazywam ciekawym początkiem dnia.

22 LIPCA

Nie do pomyślenia — niedzielny obiad z moją matką w moim własnym domu! I to jaki obiad! Matka wsuwa chińską zupę trzy-

94

minutówkę i nie kaprysi. Cud! Nie to, żeby moją rodzicielkę opuściła zła energia — odkąd się tylko obudziła, jest wyraźnie przygaszona. Nic w tym jednak dziwnego: Co ja bym zrobiła, gdyby mój mąż — z którym jestem od trzydziestu pięciu lat — poszedł do innej? Najprawdopodobniej wykastrowałabym go, zyskując krótkotrwałą sławę na pierwszych stronach dzienników, a nie pociągałabym nosem nad Yum-Yumką.

— Mamo, twierdziłaś, że jeśli tatuś wykręci ci jakiś numer, to puścisz go w skarpetkach, a jak na razie to ty zostałeś zjedną zmianą bielizny — napomknęłam.

Ojej! Po co napomknęłam?!

Łyżka zatrzymała się w pół drogi pomiędzy talerzem a ustami.

— Wiesz, Aniu, dorosły człowiek więcej rozumie.

— Jasne, a ty rozumiesz? — Muszę brnąć. — Zresztą myślałam, że na starość się dziecinnieje, a niekoniecznie przepoczwarza w słowiańskiego Buddę.

- Aniu!
- Rozumiesz?! — Aż brzęknęłam talerzem.
- Tak.
- Oooo?
- Ale to co innego.

Zalałam wodą dwie Opychy, drugie danie.

- Czytałam książkę...
- Przeminięło z wiatrem — zaburczałam.
- Marsjanie i Wenusjanki w sypialni. Boziu!
- Twierdzą, że dla kobiety największa przyjemność jest po. O rany! Przecież rozmawiam ze swoją matką!
- Po? — Sprzątnęłam talerze. — Kiedy możesz wreszcie zapalić papierosa? — Aż mnie ścisnęło w dołku na samo wspomnienie: palaczem i alkoholikiem zostaje się już na całe życie. Takie piętno.
- Chodziło mi o przytulanie. — Zarumieniła się. — A mężczyźni najlepiej jest w trakcie.
- Interesujące... — No proszę! Wcześniej mama nie pró-

95

bowwała mi tego tłumaczyć nawet na przykładzie pszczołek, tylko poszła na łatwiznę i napuściła na mnie szkolną pielęgniarkę. Pielęgniarka próbowała mi wmówić, że najlepszym przyjacielem dziewczyny jest irygator. Zupełnie jak w Świecie według Garpa...

- Podobno bywa jednak, że kiedy kobieta przestaje kochać mężczyznę, to też jest jej lepiej w trakcie niż po.
- Nie wierzę — wyrwało mi się.
- Mówię ci, dziecko, że to bardzo mądra książka. Bestseller. — Skubnęła guzik bluzki. — A mnie ostatnio z tatusiem to już bawiło tylko w trakcie.
- To przykre.
- Już go nie kocham. Nasze oczy spotkały się.
- To przykre...
- No wiesz, Aniu, „just sex”.

— I know.

— You know? To dlaczego boli mnie to, że zostawił mnie dla tej pudlej zdziry?! — Rąbnęła moim ukochanym kubkiem z kaczuśką o podłogę.

Siła wyższa — nie stłukł się. Szybko go podniosłam, bo mama najwyraźniej zamierzała poprawić butem. Na razie jednak rozplakała się.

— Nikt mnie nie kocha! O la la!

Kiedy zadzwonił telefon, matka poruszyła się nerwowo i stwierdziła, żebym nie odbierała, bo to na pewno on.

— Mamo — powiedziałam głosem bardzo cierpliwego rodzica. — To może być też ktoś do mnie. Pamiętaj, że to moje mieszkanie?

Wyduła wargi, a la obrażona Brigitte Bardot i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Tak? — Podniosłam słuchawkę.

— Ona jest u ciebie?

— Tak, jest.

96

Matka zamachała gwałtownie rękami.

— I nie chce z tobą rozmawiać.

— Spodziewam się.

— Tato, w co wy się bawicie? Oburzenie B.B. sięgnęło zenitu.

— Powiedz, żeby oddała mi psa — stwierdził ojciec. — Lord zostaje ze mną! — Trzasnął słuchawką.

Przekazałam.

— Co to, to nie — napuszyła się. — Psie dziecko jest moje. Dobrze, że przynajmniej o mnie nie muszą się kłócić.

23 LIPCA

Dzień jak co dzień. Wczoraj w ogóle nie położyłam się spać (nie próbowałam takich praktyk od czasu studiów!), więc kiedy matka jeszcze pochrapywała w najlepsze, wyszłam na poranny spacer z Lordem. A kto czał się w krzakach przed moją klatką? Wymięty tato.

— Cześć — wybąkał. — Przyszedłem zobaczyć, co słyhać.

— O piątej trzydzieści rano? — Popatrzyłam smętnie na zegarek.

— Właściwie to o szóstej. — Złamał mamie serce, ale sam też wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

— Masz. — Podałam mu smycz. — Idź, ale masz wrócić. Rzeczywiście, był za pół godziny. Szczęśliwy Lord lizał go

po ręce. Ojciec kucnął obok i cmoknął go w roześmiany pysk.

— Jak ci się teraz mieszka?

— Z mamą? Kiwnął głową.

Jak mieszkało mi się z mamą? Strasznie. Przywiozła ze sobą stertę psich misek i drobiazgów gospodarstwa domowego. Zanim nakarmiła psa lub kotkę, oglądała puszkę dziesięć razy z każdej

97

strony. Ciągle pichciła jakieś niesłychanie skomplikowane potrawy (co niekoniecznie szło w parze z ich smakiem) i wyrzucała mnie sprzed telewizora, aby oglądać „Planetę”. A minęły dopiero dwa dni! Wczoraj znalazła pustą folię po zabawce Whiskasa (nie wyrzuciłam jej, bo strasznie podobał mi się zreprodukowany tam kot), a równocześnie zabrała Lunie jej ulubioną rybkę we-lonkę na wędce i z tym wszystkim przyszła do mnie.

— Pozwalasz kotce bawić się samej ze sobą, a spójrz, tu napisali, że jest to zabawka interaktywna. Ty też powinnaś w tym uczestniczyć!

— Mamo... — Spojrzałam na nią jak na raroga.

Ale ona już demonstrowała, na czym polega to współuczestnictwo i obie z Luną szalały po całym mieszkaniu, dopóki nie straciły tchu.

— Więc jak? — ojciec ponowił pytanie.

— Dobrze. — Podniosłam głowę i zabrałam mu smycz. — Dlaczego jakaś Pudlica?! — Nie wytrzymałam.

— A czemu twoja matka w ogóle nie ma do mnie zaufania?! — zadudnił. — I to miał być związek?!

Jestem bardzo ciekawa, co tatko ostatnio porabiał, oprócz... Oprócz tamtego...

— Poproś ją, żeby jednak oddała mi Lorda. Pies bardzo tęskni.

Wszyscy tęsknimy.

W domu czekała na mnie mama z owsianką.

24 LIPCA

Cholera! Muszę wstawać w środku nocy, jeśli nie chcę, by moja matka budziła mnie dyskretnym stukaniem we framugę, połączonym z nieznoszącym sprzeciwu rykiem:

98

— Mleczna zupa!

Kiedy rozczochrana wchodzę w piżamie do kuchni, ona już tam siedzi umalowana i ubrana. Na dodatek w butach na obcasie — moja matka nie zna gorszej hańby niż chodzenie po domu w rozdeptanych kapciach.

— Chyba powinnam zrobić sobie lifting — mruczy, a ja pochylam się jeszcze niżej nad mlecznym świństwem, które wmu-szam w siebie jedynie dla zachowania dobrych stosunków. — Ty też powinnaś o siebie zadbać.

— Mamo, mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat. — Czy naprawdę przez moje usta przeszło to „dopiero”?

— No właśnie. Nie jesteś już nastolatką, której wszystkie ekscesy uchodzą bezkarnie. W tym wieku życie odciska swoje piętno...

Phi! Jakie ekscesy? Marzenie...

— Nie możesz ciągle siedzieć w domu. To cię niszczy. Napisz jakieś CV, poszukaj czegoś. Może dobry byłby Avon. — Przygląda mi się bacznie.

— Jako krem?

— Jako praca.

— Mamo, ja pracuję.

— Dłubiesz coś tam i nic z tego nie wyciągasz. Gdybym ja miała twoje lata...

No tak, przy okazji zupy połknęłam też żabę.

— Wiesz — matka ciągnie swój monolog, podkarmiając pod stołem psa szynką. — Jeśli nie możesz się sama zebrać, napiszę ci to CV. Potem napiszę powieść. Już dawno chciałam... — rozmarzyła się.

— Dobrze, mamo — mruczę.

— Dobrze co? — Patrzy zdziwiona.

— No, z tą powieścią. CV nie jest mi potrzebne.

— Kochanie — nachyliła się do mnie — mam prośbę. Mogłabyś pójść na przeszpiegi i obejrzeć tę, no — prostuje się jak wielka cesarzowa Wszechrosji, Katarzyna — tę Pudlicę.

Nawet Luna otworzyła pyszczek ze zdumienia.

99

— Aniu, zawsze ci powtarzałam: zamknij buzię, bo pszczołka tam wleci. Pamiętasz?

25 LIPCA

Nie spodziewałam się, że życie z moją matką, pozornie nieza-interesowaną ojcem (akcja „Pudlica” czeka, aż padnie mój hart ducha i zgodzę się na tę szopkę) może być jednym wielkim przeglądem scenek rodzajowych. Tak przy okazji: Ja chcę odzyskać swoje życie! Mam dość owsianki, harców psa z kotem i... ukochanej matki na ringu mojego mieszkania liczącego 36 metrów!

„Przed zen góry były górami, a drzewa drzewami.

W czasie zen góry były tronami duchów, a drzewa głosami mądrości.

Po zen góry były górami, a drzewa drzewami” — deklamuje mama, wymachując Biegnącą z wilkami pani Estes.

— Bardzo ładne — wzdycham.

— A pójdziesz do Pudlicy?

Dlaczego? No dlaczego rodzice muszą być tak strasznie dziecinni?!

— Nie.

— „Dziesięć zasad rządzących życiem wilków: jeść, odpoczywać, wędrować, być lojalnym, kochać dzieci, błąkać się w świetle księżyca, nastawiać baczenie uszu, pilnować kości, kochać się, często wyć. Auuu!”

— Może... — wyraźnie mięknię.

— A ja napiszę ci CV.

— Dobra! To znaczy: nie! Pójdę, ale nie mów już o CV. Zbieram się właśnie do wieczornej akcji wywiadowczej, kiedy w moich drzwiach zjawia się Ewa.

— Przepraszam, ale muszę zostawić was same — mruczę niechętnie.

*

100

Kiedy wracam z wielką, napuchniętą od myśli głową, obie kobiety mojego życia siedzą naprzeciwko siebie, pokazują sobie brzuchy i chichoczą:

— I wtedy poczujesz takie... takie bąbelkowanie. Kiedy dziecko się poruszy.

— Bąbelkowanie — powtarza rozmarzona Ewa. Ups, chyba znalazłam się poza plemieniem.

— Aniu! — krzyczy moja matka. — Ewa będzie miała dziecko! Czy to nie cudowne?!

— Pudlica też.

— Z tatuśkiem? — jęczy mama.

W duchu perfidnie zauważam, że znowu należą do plemienia. Hipokrytka i intrygantka — oto ja. Córka.

26 LIPCA

Pudlica rzeczywiście jest w ciąży, chyba że to jest jakiś nowy paryski styl preferujący noszenie jaśka pod sukienką. Zresztą i wiek — rozplodowy — potwierdza prawdziwość spostrzeżenia. Gdzie tato przygwizdał sobie taką małodatę?

Łkając, mama wyjaśnia, że to jakaś nowa lokatorka z sąsiedniego bloku. Pudlica oczywiście ma pudła — białego i takiego wychapanego w para miejscach, żeby się lepiej prezentował. Wychodzi z tym psem na spacer. „Na jeden ustawiczny spacer” — to oczywiście opinia mamy. Właśnie na spacerze poznali się z tatuśkiem. Ojciec zaczął wychodzić popołudniami z Lordem, bo matka narzekała, że jej „Klan” ucieka. A tu nagle siurpryza — zupełnie nie po klanowemu uciekł jej mąż.

Kiedy bawiłam się w długie i męczące podchody, obserwując Pudlicę, najpierw przyczepił się do niej jakiś obcy, dosyć młody facet. Znaczący obcy dla mnie, ale dla niej najwyraźniej nie, bo od razu lunęła go w pysk. Młody się zmył, ale nie minęło kolejne pięć minut, kiedy z domu — o stałej porze spacerów z Lordem —

101

niczym pies Pawłowa wyszedł tatusiek! Najwyraźniej miał neurologiczne problemy z pustymi rękoma, którym brakowało smyczy zakończonej psem...

Tak, a potem — obrzydliwość! — nachylił się do Pudlicy i pocałował ją! W dodatku z takim jęczymkiem, że musiał go umoczyć w jej kwasach żołądkowych.

— Ja mu umoczę! — ryknęła na wieść o tym mama (po długich rozterkach postanowiłam jednak niczego nie taić), co było lepsze od stuporu, w którym dotąd trwała. — Zabiję go! Zabiję, a nie oddam tej zdzirze!

Stara, dobra mama... Wzruszyłam się. Ewa szturchnęła mnie dyskretnie w bok:

— Wiesz, naprawdę coś z tym trzeba zrobić, bo oni są gotowi jeszcze się rozwieść.

Rozwieść się? To znaczy, że mama i jej pies (który znowu obżera moją kotkę na przemian z moją lodówką) mieliby ze mną zostać na stałe?

— Tak, Ewka — przytaknęłam energicznie. — Koniecznie trzeba coś zrobić. Koniecznie. Tyle wspólnie przeżytych lat nie może pójść na marne!

27 LIPCA

Rozmowa I:

- Tato — mówię — całowałeś ją. Wzrusza ramionami.
- Wepchałeś jej cały język do gardła!
- Błędna interpretacja.
- A chcesz jeszcze zobaczyć mamę i Lorda? Głucha cisza. Mój ojciec nie ma sumienia.
- Tato, ona jest w ciąży. Jakby się wzdrygnął.

102

- Wiesz Aniu, my nawet żeby zrobić ciebie... Rany boskie! Jak mam interpretować to „nawet”?! —
- ...musieliśmy się starać. Bywały problemy — pauza. — Moje problemy. Łatwo się stresuję.

Ta sąsiadka go stresowała?

- Czy stosunek oralny jest zdradą? — pyta nagle.
- Z punktu widzenia Clintonowskiego... — zaczęłam mentorsko i raptem zatkało mnie z przerażenia. — Czy ty? Z nią? Mama ci tego nie wybaczy!
- Ja? Z nią? No nie... Ciekaw jestem tylko... A z tą dziewczyną. ..
- Romans.
- Eee... nie. To taka sąsiadka przysługa. Mamusia go jednak zabije. Będę pótsierotą.
- Wiesz — mówi. — Odpocząłem trochę, a teraz to mi już nawet zaczęło brakować twojej matki...

Nawet mój tata to przebrzydły samiec.

Rozmowa II:

Siedzimy z Pudlicą przy prawdziwej kawie, w prawdziwej kawiarni — niczym bohaterki jakiegoś francuskiego melodramatu. Ona (Pudlica) nerwowo skubie skórki przy paznokciach i bo-leściwie spogląda w dal.

- Nie wiem, dlaczego zgodziłam się z panią spotkać...
- Dla jego dobra...
- Czyjego? — ożywia się.
- Mojego ojca.

— Aha.

Pije tę kawę, wyginając arystokratycznie mały palec. Ale

jaja!

— Wie pani, ja w każdej chwili mogę urodzić...

— W liceum przeszłam kurs pierwszej pomocy. Patrzy na mnie.

— Ale ja nie będę umierać, tylko rodzić. Gdyby to był groź-

103

ny wypadek — przerywa — bo w zasadzie to był wypadek, wpadka... — Zaczyna pociągać nosem.

— Może kawa pani zaszkodziła?

— Myśli pani... — „łamię" z głośnym trzaskiem palce, ignorując moją uwagę — ...że on przyjdzie do szpitala?

— Mój ojciec?

— Nie, jego. — Klepie się po brzuchu. — Bo to chłopak.

— Być może. — Ale numer! Gram w jakiejś paranoicznej farsie! — Chciałam jednak panią prosić, żeby zostawiła pani mojego ojca w spokoju.

— A! To taki uroczy człowiek i tak lubi moją Misie. __ ?!

— Moją pudliczkę.

— Aha.

— Tak naprawdę — znowu patrzy mi prosto w oczy — to ja nic nie wiedziałam.

Ho, ho.

— Związek mojej matki i ojca...

— Ten pieprzony Andrzej! — Huknęła pięścią w blat, aż zaciekawiony kelner wychylił się z zaplecza. — Nie dojrzał do ojcostwa. Chciałam wzbudzić w nim zazdrość! Pani ojciec był tylko... To znaczy jest bardzo miły, ale...

— Czy to znaczy — pytam z nadzieją — że do niczego poważnego między wami nie doszło?

— Twój tato łatwo się stresuje... O mój Boże!

— Jednak byłby fajnym ojcem chrzestnym dla małego. Myślisz, że się zgodzi?

To się mama ucieszy!

— A tak w ogóle Ilona jestem... — Podaje mi rękę.

— Anka.

— Proszę pana! Jeszcze dwie kawy prosimy. Słyszałaś coś o rodzeniu siłami natury?

*

104

— Mężczyźni są jak sprężynki.

— Spiralki...

— Odpływy i przy pływy uczuć.

28 LIPCA

Siedzę na murku przed własną klatką schodową i staram się nie reagować na dziwne spojrzenia sąsiadów. A one mają prawo być dziwne, bo:

a) towarzyszy mi młody pitbull o imieniu Lord, starając się usilnie zahaczyć zębami każdego przechodzącego. Pomiędzy mną a nim drzemie mała syjamska kotka, Luna, uwiązana na puszorku. Dlaczego drzemie?

Bo:

b) siedzę tu już tak długo, że mi się bąble porobiły na tyłku!

O! Otworło się moje kuchenne okno.

— O nie... — szepczę.

Z okna wychyla się tato, bardzo się wychyla... Wiedziałam, że kocha mamę, ale żeby przez czarną polewkę popełniać samobójstwo?

— Wracamy do domu! — krzyczy. — Koniec separacji! Teraz w oknie pojawia się mama.

O Boże! Wyprowadzam się! Sąsiedzi... Mama jest w samym staniku.

Dlaczego wszyscy mają perwersyjny zwyczaj godzenia się w łóżku?! W moim łóżku?! Quo vadis, homo sapiens...

— Tatusiek kocha mamuszkę! — wrzeszczy mama. Stąd widać, że jest różowa na twarzy.

Na miłość boską, prawie musieli się rozstać, by ojciec znalazł jej punkt G...

A teraz z mojego okna lecą kwiaty: pewnie z bukietu, który matka dostała od taty. O, i paprotka leci, i mój garnek... Co?!!! Co oni, do cholery, robią z moim mieszkaniem!!!

29 LIPCA

Kot wraz z psem schowały się pod łóżko i choć kuszę je wszystkim, co mi przychodzi na myśl, nie chcą wyjść! Wcale im się nie dziwię. Z obiektywnych względów wołałabym do nich w tym kurzu i ciasnocie dołączyć. Ale się nie zmieszczą! Poza tym nikt z obecnych w domu osobników mnie nie zrozumie...

Myślałam, że tylko ja jedna zorganizowałam oryginalny sabat czarownic (to znaczy sabat jednej czarownicy), ale najwyraźniej nie doceniłam swojej matki. Bo jak inaczej nazwać to, co się dzieje w moim mieszkaniu, jak nie wściekłymi bachanaliami na Łysej Górze?

Boże, te babska za chwilę rozwałą mi parkiet!

Korzystając do końca ze staropolskiej gościnności, mama postanowiła, że przed powrotem do tatuśka zorganizuje w moim „intymnym” mieszkanku małe przyjęcie „panieńskie” dla swoich koleżanek z Avonu (własna sąsiadka nie zakabluje i zmywać po sobie nie trzeba — perfidia). Ja zaś zgodziłam się na wypożyczenie rodzicielce chaty, bo byłam święcie przekonana, że na bibkę przybędzie kilka starszych pań; usiądą przy kawie i koniaczku, aby poplotkować, a następnie wrócą o rozsądnej porze do swoich mężów, dzieci i wnuków — przewidywałam godzinę dziewiątą wieczorem.

A tu takiego!

Przyniosły ze sobą więcej alkoholu, niż ja widziałam w życiu. Żeby chociaż udawały mieszczki, ale nie — od razu zaczęły ciągnąć przyniesione wino jak bibuły — prosto z butelki!

106

— i odstawiać hołubce do wtóru macareny (to nie moja płyta! Nie moja!).

Później zamówiły pizzę. Roznosiciel pizzy spał przez ostatnią godzinę w moim łóżku, urąbany w trupa. Z nagim torsem. O mało go wszystkie nie zgwałciły! O, właśnie wstał — patrzy na mnie, kiedy próbuję coś napisać...

— Hej — mówi. — Co jesteś taka drętwa? Wyrodziłaś się?!

— A żebyś wiedział. — Chociaż jego mogę wyrzucić za drzwi.

— Aniu, dlaczego się nie bawisz? — Na mocno alkoholowej fali podpłynęła do mnie mama.

— Mamo...

— To takie pokolenie — słyszę od kolebiącego się trójmasztowca o imieniu Marta. — Ani Woodstock, ani Niemen, ani „Fe-migen”, ani kolejki po watę. Nie zrozumie.

— Stałam w tych zasranych kolejkach! — odgryzam się. •— Stałam...

— I nadal stoisz, a wszystkie tańczą albo leżą. — Naczelną wiedźma Kowalska podsuwa mi pod nos puszkę z piwem...

Oj, sama atmosfera sprawiła, że się narąbałam.

Gdyby tatuś tylko wiedział.

A Ewa (która pewnie teraz delikatnie kocha się z Wenecju-szem!) uważa, że moja matka jest Cholernym Chodzącym Ideałem Macierzyństwa! /

Ludzie, ja padam na pysk!

30 LIPCA

Ja i moja matka; obie w mojej „sypialni”, obie wyciągnięte na jednym, wąskim łóżku, obie ze śmiercionośnym kacem. Zielone, spocone i drżące.

107

— Nigdy nie tknę grama alkoholu — jęczę.

— Ani ja — matka powtarza za mną jak echo. — Zresztą ja przecież nie piję.

Istotnie, mama dość skutecznie zaprzysięgła abstynencję, odkąd na swoich czterdziestych urodzinach zrobiła na stole striptiz (na szczęście niepełny — pozostała w bieliźnie), a potem ze swoją przyjaciółką z lat szkolnych — ku uciechu mężów i mężczyzn przypadkowych — jeszcze stójkę i mostek (a może to była foka?). Matka nie wie do dzisiaj, że świadkowałam temu wydarzeniu. W końcu, zanim się urznęła, położyła mnie spać, a to już nie jej wina, że zamiast śnić o Bolku i Lolku, wolałam na żywo oglądać rodzinną sodomę i gomorę,

— Pić! — jęknęła leżąca obok mnie żona Lota.

— Mamy już tylko wodę z kranu.

Matka zamilkła — zapewne deliberowała nad problemem surowej wody z kranu. Później powiedziała:

— Kochanie, przynieś mi puste wiaderko. Masz? Przyniosłam.

Lord i Luna zakryły chyba łapami oczy. Zgroza!

31 LIPCA

Ojciec przyjechał po mamę z samego rana. Starą, ale wypucowaną na połysk renówkę zaparkował przed klatką. Wszedł do mieszkania, rozejrzał się i stwierdził, że urządziłam tu „całkiem ładne lokum” — zabrzmiało to dość naturalnie, bo rzeczywiście wcześniej u mnie nie był („Oczywiście, Aniu, odwiedzę cię, ale to tak potwornie daleko!”).

Starannie odwracał wzrok od łaszącego się doń Lorda. Najpierw pocałował mamę w rękę, a potem nasmarkał jej na szyję (naprawdę tak to wyglądało, gdy płakał). Zabrał walizkę i parę reklamówek, w której moja była współlokatorka unosiła moje poradniki.

108

Matka zgrywała męczennicę, by za moment przepoczwarzyć się w cesarzową.

- Pojedziesz z nami, żeby tatuś nie zrobił mi teraz żadnego świństwa.
- Nie chce mi się! Nie mam czasu, muszę posprzątać...
- Kochanie, ja tobie świństwo?! — Robił się z tego Fredro w adaptacji Wajdy. — Nigdy!
- A Pudlica?!
- To znaczy, JUŻ nigdy!

Przeprosiłam Lunę, że znowu ją zostawiam (Lord zapewne też ją przeprosił) i wgramoliłam się do samochodu, nie chcąc myśleć o tym, że czeka mnie powrót metrem. Mam niejaką klau-strofobię, więc jazda wagonikiem znajdującym się kilka metrów pod ziemią, ze średnio urozmaiconym krajobrazem za szybą, nie wydawała mi się najlepszym pomysłem. Z drugiej strony na przepychanie się „górami” przez całe miasto w ogóle nie miałam ochoty.

Wreszcie dojechaliśmy. Wysiadłam i ruszyłam w stronę rodzicielskiej klatki schodowej. Stwierdziłam, że przyda mi się kubek porannej kawy.

— Córeczko — matka złapała mnie za rękaw — przepraszam cię, ale faktycznie lepiej będzie, jak wrócisz do domu. Są takie chwile, zwłaszcza po dłuższym rozstaniu, kiedy mężczyzna i kobieta powinni zostać sam na sam.

Mocarstwowe ambicje matki sprowadziły mnie tu, gdzie jestem, a jej chuć wyrzuca mnie z powrotem.

- Cześć, tato! Kiwnął mi ręką.
- Cześć, Lord.
- Cześć, mamó.

Patrzyłam, jak idą. Wyglądali niczym jak z reklamy geriavi-tu. Trzymali się za ręce. On jej nadskakiwał, za nimi ujadając, biegł pies.

— Pięknie, prawda?

Ten głos poznałabym wszędzie.

109

-- Co ty tu robisz?

— Nie pamiętasz? Mieszkam.

Przypomniało mi się właśnie, dlaczego przez długi czas wybierałam zabójcze i szybkie metro zamiast autobusów.

— A rzeczywiście... Wybacz, ale śpieszę się do kota. Został sam.

— Masz kota? — Nie wiedzieć czemu, roześmiał się.

— Kotkę.

— O! Ładna?

Wpadłam w pułapkę i opowiedziałam o swoim kocie. Później Robert odwiózł mnie do domu (miał po drodze do pracy).

— Znowu jestem sam — stwierdził nagle, gdy już wysiadałam przed swoim blokiem.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Nie pojechałabyś ze mną jutro na małą wycieczkę?

— Ty, pracoholik, wezmiesz jutro wolne? Tak mnie to zdumiało, że się zgodziłam. Robert jest maklerem giełdowym.

1 SIERPANIA

Pojechaliśmy w miejsce nazywane polskim Marcontem, w którym pewien bardzo zdolny reżyser kreśli swoje baśniowe filmy o chodzącej wodzie. Pięknie było wokół i tak dobrze, że już w połowie drogi tuliłam się do Robertowego ramienia. Właściwie cały kłopot przy wycieczkach z byłymi partnerami polega na tym, że zbyt dosadnie potrafią przypomnieć, jak bardzo byliście do siebie dopasowani...

Albo, że było zupełnie na odwrót...

Zdziwiła mnie leżąca tuż przed zjazdem do wsi wielka kupa obornika, ale zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy Robert posta-

110

wił nieopodal samochód i poszliśmy na spacer. Ludzie wychodzili przed swoje domy, żeby nam się przyjrzeć — jakbyśmy byli Wiedźminem i Yennefer albo atakującymi Marsjanami. A kiedy zaczęła wyciągać straż pożarną, od razu wyobraziłam sobie, że trafiliśmy do takiego dziwnego miejsca, gdzie w jeszcze dziwniejszy sposób kończą turyści... Na przykład w garnkach. Jak się okazało, alarm nie został uruchomiony z naszego powodu; gdzieś był pożar i ochotnicza straż pożarna dzielnie ruszała na ratunek.

Robert pokazał mi na niebie pięknego ptaka, który wyglądał jak pterodaktyl.

— Zobacz, czarna czapla!

— Aha — powiedziałałam. — A tam krowy! Roześmiał się.

— Byłaś kiedyś na wsi?

Jakoś nie potrafiłam sobie przypomnieć.

— Uważaj! — Złapał mnie za ramię i przytrzymał. — O mały włos rozdeptałabyś jelonka! — Wskazał na jakiegoś dużego, czarnego robaka sunącego przy moim bucie.

Nagle wydało mi się to wszystko bardzo śmieszne: ja z nim, na wsi, razem.

— To rzućmy jelonkiem w krowę!

Zaczął mnie przytulać i całować, a potem tuż koło nas przejechał bajerancki samochód terenowy z przystojnym gościem za kierownicą; zatrąbił na nas — całkiem słusznie, bo staliśmy na drodze. Robert pomachał do niego ręką.

— Vivat, Marconto! To właśnie jest ten REŻYSER — powiedział do mnie z jakimś szacunkiem, zupełnie jak nie Robert. Muszę o tego gościa zapytać Ewę. Ja nie oglądam ambitnych filmów, a ona chyba musi — w końcu takie ma studia.

— Co tam jest? — Wskazałam na dom o kobaltowych okiennicach, które mi wpadły w oko.

— Chodźmy i zobaczymy! — Rany, jak fajnie jest być turystką. Szkoda, że nie wzięłam aparatu...

Kolorowe okiennice należały do ośrodka unasienniania byd-

111

ła. Kiedy przeczytaliśmy tę informację na przybitej do budynku tabliczce, Robert objął mnie w pasie.

— Oglądałem ten film, na który chciałaś iść, ale już nie zdążyliśmy...

— Bo mnie zostawiłeś...

— Bo zerwaliśmy. Cisza.

— Oglądałeś Dziennik Bridget Jones"? Kiwnął głową.

— To którego byś wybrał?

— Słucham?

— Którego byś wybrał, gdybyś był kobietą: Marka Darcy'e-go czy Daniela? Fincha czy Granta?

— Daniel jest ładniejszy.

- Ale on mógłby cię rzucić.
- O?
- No, gdybyś wziął pod uwagę to, że Daniel może cię rzucić, to kogo byś wybrał?
- Daniela. A czy ktoś by zrobił inaczej?
- Cholera, wszyscy jesteście tacy sami!
- Jacy?!

Poszliśmy w bok, w przaśne krzaki i zaczęliśmy się migdalić. Było tak przyjemnie jak za najlepszych czasów.

- Och, Robert, nie przestawaj! — I właśnie wtedy jak na złość przestał.

Poderwałam się jak oparzona.

- Co jest?
- Ja tak nie chcę. To wszystko jest takie płytkie... Płytkie?
- Tylko seks i seks. Ten cholerny pośpiech. Naszemu pokoleniu zabrakło czasu na miłość.
- Jesteś ode mnie starszy o pięć lat, do diabła! Spojrzał mi prosto w oczy.
- Wybacz, ale nic z tego nie będzie. Jeśli potrafisz mnie kochać, to ja...

112

- Przestań! — Co nasza cywilizacja zrobiła tym chłopom?! Każde z nas ruszyło w inną stronę.
- Chodź, odwiozę cię.
- Wypchaj się!
- W porządku, tylko cię odwiozę...
- Spadaj!

--- Anka, ja cię nadal kocham.

- Pocałuj mnie gdzieś — warczałam, nie zwracając uwagi na to, co do mnie mówi. Poczekałam, aż zniknie za zakrętem i wyszłam na autostop. Myślałam, że może fartem zatrzyma się ten reżyser... Nikt się nie zatrzymał; do miasta wróciłam gęgającym i kwiczącym autobusem.

Dziwny jest ten świat.

2 SIERPNI

Mam dość męskich, szowinistycznych świń. Czuję się jak bura i niechciana suka. Tak — to wcale nie za mocne stwierdzenie. Z drugiej strony sama chciałam pojechać na tę przeklętą (ocena osobista), choć piękną (osobista ocena przyrody) wycieczkę...

Ale z tego, co sobie przypominam, zostałam ohydnie zmanipulowana!

Nie będę się obwiniać, ani martwić! Udowodnię, że ich świat wcale nie jest ich światem! Zadzwońię do Ewki! Albo nie zadzwonię, gotowa poronić, jak usłyszysz o mojej głupocie... Ten jeden raz będę samodzielna. Wyczuję prąd życia i dam mu się ponieść. A jak za bardzo będzie trzęsło, to i prądowi pokażę. Ja, kobieta! Kobieta jak Hilary Clinton! Kobieta jak Carla Brani! Xena!

Kobieta jak... mama?

Idę po Reedsa, nie można tak na trzeźwo przyjmować życia.

113

Ciekawe, czy w naszej wypożyczalni mają filmy tego przystojnego reżysera.

W wypożyczalni mają filmy, tyle że ja nie mam magnetowidu, odkąd się zorientowałam, że Luna go obsikała (przez co szlag go trafił!), tj. od teraz. Idę po jeszcze jedno piwo, ale najpierw łazienka, bo sama mogę nie zdążyć...

Prawo... Prawo piwa? Partia Piwa? Coś podobnego działa się kiedyś w tym kraju.

Ciężko żyć filozofom.

3 SIERPNIA

Nie mogę uwierzyć w to, kto do mnie dzisiaj zadzwonił! Cholera, ja nawet nie byłam pewna, że to ona, bo się nie przedstawiła (i po tym powinnam ją poznać — nigdy tego nie robi).

— Cześć, rybko, potrzebuję twojej pomocy — zaszczebio-tała.

Rybko? Czy dwudziestoosmioletnia kobieta, nie — prawie dwudziestodzieciuletnia — powinna pozwalać, by ktoś do niej tak mówił?

— Zgódź się, kochana, bardzo mi zależy...

No, przynajmniej jestem komuś potrzebna. Z drugiej strony to podłe, że aby mnie wyzyskać, tak zagrano na moich kompleksach.

— Cześć, Isabelle, o co chodzi? — nadęłam się i specjalnie przekręciłam jej imię, gdy tylko uświadomiłam sobie, z kim rozmawiam.

— To miłe, ale jeszcze jestem tą Izabelą przez jedno 1... Niestety ...

Jedyny kompleks, jaki miała dzwoniąca do mnie bogini, dotyczył pisowni jej imienia. Jako aktorka zapatrzona w boską Isabelle

114

Adjani pragnęła jak najbardziej upodobnić się do niej; z drugiej strony ciągłe mylenie akcentu tego imienia pozwalało jej... Pozwalało jej właśnie na to.

— Wiesz, inaczej niż u Adjani... — Tu potrzęsała zapewne grzywą czarnych włosów (na sto procent zrobiła to teraz, rozmawiając przez telefon), które — trzeba przyznać — w obłądny sposób kontrastowały z jej alabastrową karnacją. Na żywo zawsze nadstawiała się do rozmówcy tym profilem, który rzeczywiście miała podobny do francuskiej gwiazdy.

— A tak w ogóle to już mogłabyś się nauczyć...

— A ty częściej dzwonić.

— No tak, ale ja ostatnio dużo grałam...

Nie sposób było się na nią obrazić, choć zwykle jej zachowanie prowokowało do złapania za tą wiotką szyję i duszenia, duszenia, duszenia (brzmi to niekonsekwentnie, ale czy stłuklibyście wagę z dynastii Ming tylko dlatego, że wkurzały was jej kolory?)...

Już w chwili, kiedy ją poznałam (wtedy jeszcze pracowałam w redakcji i przeprowadzałam z nią — jako z aktorką — duży wywiad), miałam ochotę wyzbyć się kulturo wo-cywilizacyjny eh naleciałości i stłuc tę Isabelle Ming tak, by żaden klej jej nie pomógł. Nie minęła jednak godzina, a gwiazda rozsypała się sama. .. Wyłączyłam dyktafon i zajęłam się wyprowadzaniem sobowtóra Adjani z otchłani rozpacz — dzień wcześniej puścił ją w trąbę facet nie dość że przystojny, to w dodatku reżyser, co ponoć dla robiącej karierę aktorki jest po stokroć bardziej bolesne. Nie ukrywam, że cała ta sprawa na dość długo poprawiła mi humor (wiem, to wstrętne!), bo skoro ktoś zostawił taką Izę, to znaczy, że wszyscy faceci są fanatycznymi związkofobami, nie tylko ci moi.

— Zagrasz w filmie — obwieściła Iza. CO?! To znaczy, nie!

115

— W zasadzie to nie film, tylko serial...

— Nie!

Telenowela? Która? Powiedziała mi.

— Masz na myśli moją ulubioną? — upewniałam się jeszcze.

— Wiedziałam, że ci się spodoba.

Czy mi się spodobało? No dobrze, bando intelektualistów zachwycających się Bergmanem i Żuławskim: lubiłam telenowełe, oglądałam telenowełe, rajcowały mnie telenowełe. Co zresztą można robić w domu, będąc bezrobotną, jak nie oglądać — „Klan”, „Na dobre i na złe”, „Złotopolskich”, „Plebanię”, „Miasteczko”, „Czułości i kłamstwa” i cokolwiek tam jeszcze było.

— Znaczący, mogę powiedzieć reżyserowi, że przyjedziesz na plan...

— Tak — zgodziłam się skwapliwie.

— I zagrasz? Pułapka! Pułapka!

— Nie.

— Anka, nie zachowuj się jak dziecko!

— Nie mam z kim zostawić kota! — wystękałam.

— Byłam przekonana, że zawsze nosisz go przy sobie.

— Obrażam się! — wykrzyknęłam, ale zapobiegliwie nie odłożyłam słuchawki. Miałam przecucie, że byłby to błąd.

— Wiesz, nakręcisz scenę z M.

Grzeczne przecucie, dobre przecucie, podrapujemy przecucie za uszkiem...

M. Taki przystojny i taki samotny...

— Dobra, zrobię to dla ciebie. A kogo mam grać?

— Recepcjonistkę.

— Co?

— Widzisz, te snoby z produkcji myśleli, że się zgodzę. Fakt, że dobrze płacą, ale...

— Ile?

— Tobie mniej niż mnie.

116

Jaka delikatność!

— Muszę zapłacić za telefon — głośno pomyślałam.

— No i wtedy im powiedziałam, że znam dziewczynę trochę podobną z twarzy do mnie...

Tym mnie nieco ujęła.

— Naprawdę?

— Troszki podobną... No więc słuchaj: masz być na planie jutro, o siódmej rano. Podyktuję ci adres, masz coś do pisania?

Naprawdę nie mam z kim zostawić kota.

4 SIERPNIA

Zostanę gwiazdą! Na mur beton! Obrzydliwą pewnością daje mi ogromna praca, jaką włożyłam w swoje ciało (Luna siedziała przez cały czas na brzegu wanny i przyglądała mi się dziwnie... Potem uciekła). Przypomniałam sobie, że bardzo dobrze deklamowałam wiersze na szkolnych apelach: a to pierwszego września, to na Pierwszego Maja, Dzień Matki, Barbórkę... Wiem, że ja — zwyczajny człowiek — mam po prostu światowy talent, który przemienił mnie z szarej dziewczyny w gwiazdę właśnie. Poćwiczyłam nawet dykcję: „stół z powyła-powyła-powyłamywanymi nogami”. „Chrzyszcz brzmi w szczecinie”. Podobno tym testują narybek w szkole teatralnej. Wstaje taki Englert albo Machulski i karze mówić te dziwne rzeczy. Chyba...

Wcale się nie denerwuję — skoro jestem skazana na sukces...

Mam nadzieję, że dadzą mi jakiś seksowny ciuch i umalują tak, żeby wyglądała jak Magdalena Cielecka albo Michelle Pfeiffer. Nie mogę się doczekać!

117

Cholera, kot się przede mną schował, kiedy chciałam się pożegnać!

I tylko jednego w tej całej sławie nie rozumiem. Myślałam, że gwiazdy wylegają się całymi dniami w łóżku. A na te cholerne zdjęcia trzeba wstawiać w środku nocy!

Będą musieli to dla mnie zmienić. Nie jestem nienormalna, a od hektolitrów pobudzającej kawy może mi się popsuć cera. I kto za to zapłaci? Producent?

Czy oni naprawdę wyobrażają sobie, że JA zagram recepcjonistkę w czymś takim?! Dali mi burą kiecę i zrobili coś takiego z twarzą... No nie wygląda to źle z punktu widzenia dawnej mnie, ale do wizerunku aktorki, której pożądamy wszystkie męskie serca, trochę brakuje. A tak w ogóle to czekam tu i czekam. O, jakiś młody z ekipy idzie (jak dotąd ani śladu M.)...

Cooo? Co?! Czy ja jestem wnuczką Hioba?!!! Wycięli mnie, zanim zdołali nakręcić!

— Scenarzysta i reżyser zrezygnowali z recepcjonistki — powiedział Młody, uśmiechając się niezręcznie. Jakbym miała zemdleć albo co...

Miałam!

— Ale jakoś panią zagospodarujemy. O, proszę stanąć tam... Boże, jak my, aktorki, nie lubimy dawać satysfakcji tym statystom! Kręci się tylko takie, obgaduje i skamle o autograf...

O rany! Przyjechał M., może podpisze mi się na chusteczce! Rzeczywiście przystojny... To jest talent!

Rany boskie! Patrzy na mnie!

Uśmiecha się. A nie, już gra... I ja chyba też gram. Stojąc. Też się uśmiechnę, co mi tam!

118

— Chmury! No chmury wychodzą! Stooooop! — wrzeszczy taki w militarnej kamizelce. — Czekamy na światło!

Pięknie się te seriale kręci... Gdybym to ja była producentem...

— O czym pani myśli? — M. odezwał się nagle, wpędzając mnie w panikę. — Może papierosa?

Rzuciłam palenie niecały rok temu i wciąż mam odwykowe problemy, ale w tej sytuacji... Żegnaj siło woli!

Jestem partnerką pana M. O rany!

Podrywa mnie (to znaczy na przerwach — w końcu jesteśmy profesjonalistami). Coś się święci... Czyżby moje poranne ablu-cje nie poszły na marne?

5 SIERPNIA

Aż wstyd się przyznać, ale wczoraj wieczorem zachowałam się jak cała banda rasowych, rozwrzeszczanych grupies w jednym ciecie. M. nie zabrał mnie do knajpy, tawerny, restauracji czy pubu, tylko od razu do siebie. Wcale mu się nie dziwię — moje usta przemawiały jakimiś pseudointelektualnymi frazesami, ale cała reszta miała ochotę na zajęcia praktyczne z Kamasutry. Kto by pomyślał, że taki znany aktor ma takie małe mieszkanie... Jeszcze większe wrażenie jednak zrobił na mnie ogromny materac rozwleczony od ściany do ściany w kawalerce. Już na progu zaczęliśmy się dziko całować i ściągać te niepotrzebne „miejskie” ciuchy, kiedy do głosu doszły pierwotne instynkty. M. zdarł ze mnie bluzkę (a mogłam się na ZPT nauczyć przyszywania guzików!) i z mieszaniną satysfakcji i rozbawienia spojrzął na mój fiszbinowy stanik, który rozmiarami i konstrukcją przypominał pancernik „Potiomkin”...

119

Po sekundzie zostałam bez swojej zbroi. Miał wprawę...

— Oszustka — uśmiechnął się, wyjmując ze stanika bieliź-niane poduszki. — Niedobra dziewczynka...

Po kilku sekundach dobrał się do moich majtek. Rany, naprawdę był w tym dobry!

— Przynajmniej tutaj można napatrzeć się do syta! — wychrypiął.

Kiedy gwałtownie zmieniałam swoją pozycję z pionowej na horyzontalną, zgubiłam szpilki. Byłam jak malutka gruszka, cała dla niego.

Nie wiedziałam, że z gruszkami można wyrabiać takie rzeczy. Ha! A to jabłko miało być zakazanym owocem.

Nad ranem, kiedy M. jeszcze spał, wymknęłam się do domu. Zrobiłam to po to, by kultywować swój image tajemniczej kochanki. Uprzednio jednak... Uprzednio powyklejałam jego mieszkanie kartkami ze swoim telefonem. Przecież gdybym zostawiła tylko jedną gdzieś przy materacu, mógłby jej nie dostrzec, prawda?! Nakleiałam więc na czajnik bezprzewodowy, lodówkę i mikrofalę. Później na prysznic i kubek ze szczoteczką do zębów (na szczoteczce nie wiedzieć czemu, nie chciała się trzymać). Kolejną zawiesiłam na desce klozetowej, telewizorze i fikusie. Jeszcze jedną włożyłam mu do buta. Podpisałam się też pomadką na lustrze. Nie wkładałam nic pod samochodową wycieraczkę, bo uważałam, że to już byłaby przesada. Seksualne narzucanie się, a ja jestem przyzwoitą kobietą.

Ciekawa jestem, kiedy zadzwoni?

Kiedy próbowałam odespać miłosny aerobik, zadzwoniła mama.

— Aniu, przyjdiesz dzisiaj na obiad?

— Właściwie to nie bardzo.

— Jesteś chora?

120

— No nie... — Ugryzienia i obtarcia się nie liczą.

— To co się stało? Mieliśmy nadzieję...

— Chyba się zakochałam.

Mama bardzo cicho odłożyła słuchawkę. Ciekawa jestem, czy rodzice uznają, że aktor to dobra partia. Jakbym już słyszała tatę: „Córeczko, a jesteś pewna, że to nie jakiś komediant?”.

6 SIERPANIA

Myślę, że powinnam znaleźć sobie jakieś hobby, to by mnie ubogaciło. I tak na przykład mogłabym zbierać znaczki. Tylko z kim bym je oglądała? Albo kolekcjonować pocztówki z końskimi łbami. Zbieranie pustych pudełek po zapałkach zrobiłoby ze mnie dziewczynkę, która nie potrafi wykrzesać z siebie ani wokół siebie odrobiny ciepła. Frygida jedna!

Takie hobby to cholernie trudna sprawa, odkąd skończyło się dwanaście lat...

Wiem! Zacznę kolekcjonować fotki z autografami aktorów, a jak mi się z nich ułoży niezła piramidka, będę je drzeć i drzeć, i drzeć!!! Czemu ten dupek nie dzwoni?!

Pójdę na zakupy.

Jestem chora. Jestem zakupomaniczką i zakuponimfomanką. Do sklepu ze szkłem, który przecież tylko mijałam, przyszła dostawa takich fikuśnych kubków pomalowanych w różne zwierzątka. To właśnie przez te zwierzątka nie mogłam się zdecydować, który kupię. Bo, co wolę: lamy czy żyrafy? Krokodyla czy hipopotama? Mewę czy boćka? Jak niedźwiedzia, to w jakim kolorze? Lew czy tygrys? Żółw czy tapir (właściwie z tapira mogłabym zrezygnować, bo ma nos zupełnie jak Milena, ale przecież to nie jego wina)? Kangur czy sroka? W rezultacie mam nie je-

121

den kubek ze zwierzątkiem, ale cały ogród zoologiczny. Oto moje przypadkowo odkryte hobby — kolekcjonowanie kubków. Będę miała co rozbijać na głowie M., pod warunkiem że ten po-papraniec zadzwoni!

Wiecie co? Zadzwonił!

7 SIERPNI

Och tak, tak, tak! Zadzwonił i umówiliśmy się. Dzisiaj u mnie! A więc kolacyjka przy świecach, a potem radosne fiki-miki. W takich chwilach żałuję, że nie umiem gotować i że ten cellulitis jest taki oporny.

— O, widzę, że lubisz ceramikę — powiedział M. na widok moich kubków.

— To moje hobby.

— Hobby? Myślałem, że wolisz znaczki — i już ruszył do wyściskiwania. Może nawet nie musiałabym kompromitować się jako kucharka, ale nagle:

Aaaa psik!

Ciiichhk!

Ćśśśik!

Cała symfonia kichnięć.

— Nie rozumiem, co się stało — mruknął, wycierając artystycznie nos w trzywarstwowe chusteczki.

Potem zobaczył Lunę.

— Nie wiedziałem, że masz kota! — wrzasnął. — Czy ty wiesz, że ja jestem alergikiem?! Czy ty wiesz, że ja mogę przez tego kota umrzeć?! — Wskazał myjącą sobie ucho kotkę z taką mocą, jakby była wściekłym tygrysem bengalskim.

— Zamkną ją w kuchni — powiedziałam, ale nie wiem, czy usłyszał, kichając.

Wróciłam, starając się nie słuchać miauczenia Luny.

122

— Muzyczka? — Puściłam soundtrack z Niebieskiego: najbardziej snobistycznej płyty, jaką posiadam. — Zamówić pizzę?

Ale on nie odpowiadał — płakał i kichał jednocześnie.

— To był taki smutny film! Piękny... Kochajmy się, moja mała! Czym jest życie bez miłości.

Zawsze chciałam być pocieszycielką wierzących, wątpiących i przewrażliwionych.

— Pij z kielicha mego ciała! — wyrecytowałam.

— Co?

— No pocałuj mnie.

Okazało się, że seks jest wybitnym środkiem antyhistamino-wym. A przynajmniej był nim do czasu, kiedy w nocy Luna wygryzła najwyraźniej dziurę w kuchennych drzwiach i wskoczyła do łóżka. Popatrzyłam w jej błyszczące, pełne oburzenia błękitne oczy i zrozumiałam, że dla dupy zdradziłam przyjaciela.

8 SIERPANIA

Masz ci los! Ten cholerny telefon znowu dzwoni (kiedy leżę wciśnięta nosem w kudłatą klatkę M.). Moje zadowolone mruczenie urywa się w jednej chwili.

A co mi tam — nie odbiorę!

Driiiiiiiiiiiiiiiiiin!

Strasznie napastliwie... Cały aparat lekko drży.

Driiiiiiiiiiiiiiiiiin!

M. otwiera pijane snem (i — mam nadzieję— seksem) oko.

— A paszoł — mówi, widząc na drzwiach cień Luni. — Słuchaj, może odebrałabyś ten telefon, jeśli już umieściłaś go w sypialni zamiast budzika.

Phi, w sypialni... Odebrałam.

— Mmm, cześć. — Po drugiej stronie rozkosznie pomiauku-je Isabelle.

123

— Ale sobie porę wybrałaś...

— Coś ty taka skwaszona? — mruczy niezrażona. — Czekam na rozpoczęcie zdjęć na jakimś kurewsko zadupiałym planie filmowym — sapnięcie — więc pomyślałam, że trochę sobie urozmaicę i zadzwonię do ciebie na koszt producenta.

— Eee...

— Hej! Z komory dzwonię, słyszysz! Z jakiejś dziury pod Lubieniowem, a ty ze mną nie chcesz rozmawiać. — Jej głos, choć gwiazdorski, brzmiał trochę płaczkliwie. — Opowiesz mi o tym planie? Jak było?

— W zasadzie...

— Swoją drogą z M. jest niezły bufon, no nie? Milczę.

— Przyznasz? Zmieniłaś zdanie o swoim idolu? — pyta z przekąsem.

— Nie.

— Czy mogłabyś wyłączyć ten kurewski budzik i wrócić do łóżka! — wydarł się nagle M.

Idiota!

— Cooo? Co?!!! — Od węzowego syku lzy zawibrowała mi czaszka. — Ta świnią tam jest? Ten cholerny popieprzeniec?! Ta gnida?! Ten cienki fiut na kaczych łapach!!! A niech go cholera!

— Iza — szepczę w słuchawkę, żeby M. nie usłyszał. — Coś mi się wydaje...

— Gównu ci się wydaje i jemu też! — pieni się i wścieka. — Pies mu mordę lizał.

— Kot — proponuję.

— Jak mogliście mi to zrobić?! — O Jezu, ona teraz płacze. Nagle w moim skołatany wczesną porą mózgu rozbłysła

atomowa żarówka.

— To dlatego załatwiłaś to zastępstwo...

— Bo i on mnie zastąpił! Gorzej, jego żesz mać, bo dla zabawy puścił mnie w trąbę!!! Kutas.

Wodzę wzrokiem od telefonu do łóżka ze zdradzieckim kochankiem.

124

— Jak długo to już trwa? — Izabela pociąga nosem. -Spotkamy się i wszystko mi opowiesz. Wszystko! A może ci wybaczę — syczy. — Jemu nie przebaczę nigdy. Chyba że wróci.

— Gdyby wrócił, to musiałby zostawić mnie, prawda? — mówię z porażającą logiką.

— A skąd wiesz, czy „jest” czy tylko „pociupciał”? — Cios poniżej pasa. Jeszcze się tylko z bólu zwinę. — Anka, spotkajmy się w piątek wieczorem...

— Anka! — M. się zirytował.

— W piątek idziemy... na premierę. Do kina — mówię cicho i drżącą dłońią odkładam słuchawkę.

Po paru minutach, kiedy zatapiam się w tantrycznym seksie, którego M. jest mistrzem, aż trudno mi uwierzyć, że przy takiej technice — to znaczy duszy — można być popaprańcem. A tak w ogóle, co to jest tantra? Jakaś odmiana zen? Tao Kubusia Puchatka? Gwarowe określenie punktu G?

Może Iza będzie wiedzieć?

Brzydkie myśli, brzydkie myśli, bardzo brzydkie myśli!

9 SIERPNIĄ

Jak złapać:

- 1) chłopca,
- 2) M.,
- 3) raz, a dobrze,
- 4) raz na zawsze.

To trudniejsze od pytań maturalnych z matematyki! I ważniejsze od całego egzaminu dojrzałości: bez matury najwyżej nie dostałabym się na studia, a bez faceta czeka mnie psychopatologiczne, puste, singlowe życie w czterech odrapanych ścianach

125

(kto mi zrobi remont?), w ciemności (kto wkręci przepaloną żarówkę albo zmieni korek?), bez wody i gazu...

Czuję się taka bezradna.

Muszę się zdopingować.

Uwaga, dopinguję się:

- 1) M. był z Izabelą,
- 2) robili TO („po bożemu", „jeździec", „69", „na huzara", „rodeo", „na kobietę-nietoperza", „dwa w jednym", „na dzieciaroba", „na pieska", „na supermana", „wyrafinowany misjonarz", „łyżeczki", „leniwy suwnicowy", „na chybika" i co tam człowiek jeszcze wymyślił),
- 3) Iza chce go odzyskać,
- 4) żeby znowu TO z nim robić!

Oblały mnie zimne poty.

Och, znowu mnie oblewają, kiedy uświadomiłam sobie w pełni, co muszę zrobić, żeby M. był mój i tylko mój:

- 1) schudnąć,
- 2) zblednąć,
- 3) przefarbować się na czarno,
- 4) poprawić dykcję,
- 5) zostać aktorką,
- 6) zostać gwiazdą,
- 7) zlikwidować cellulitis,
- 8) przeczytać Szekspira, obejrzeć Felliniego oraz Królową Margot,
- 9) zrobić sobie operację plastyczną:
 - a) uwypuklić kości policzkowe,
 - b) zwęzić talię (tj. usunąć dwa żebra jak Cher).

Dam sobie radę, prawda, Panie Boże?

126

10 SIERPNIA

Recenzja filmu Tomb Raider (która nie ujrzy prawdopodobnie światła dziennego) Autor: Ja

„Zgadnijcie, kto to?

Oczy: piwne

Włosy: Szatynka (w warkoczku...)

Wzrost: 176 cm

Waga: 54 kg

Wymiary: 91 / 61 / 86 (!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!mim)

Tak, to Lara. *

Lara Croft oczywiście: nieustraszony archeolog i koneser sztuki, dziewczyna z komputera, posiadaczka takiego biustu, że kiedy się nań patrzy, łzy zazdrości same napływają do oczu.

Cudowna Angelina Jolie, która na srebrnym ekranie wcieliła się w postać Lary, powiedziała o tych piersiach: »Są nawet większe od moich«. Zamiast stanika w normalnym ludzkim rozmiarze aktorka nosiła na planie zdjęciowym ten wielkości D super. Podobno jeszcze na długo przed rozpoczęciem zdjęć wykonywała jakieś specjalistyczne ćwiczenia, po których schudła w żebrach, a przytyła trochę wyżej (wymóg producenta)... Dzisiaj pani Jolie pomaga dzieciom w Kambodży i wyklóca się o wielkość biustu plastikowych laleczek Lary Croft.

„Tomb Raider” to gra komputerowa, w którą nigdy nie grałam. Prawdę powiedziawszy, filmu Simona Westa też nie obejrzałam do końca, choć naprawdę się starałam. Nie starczyło mi czasu...

Tak w ogóle to wszyscy w tym Tomb Raiderze mają obsesję na punkcie czasu. Tik-tak, tik-tak — oto zegar niejakich Illumi-natów o tarczy odmierzającej minuta po minucie 5000 lat (czy

127

jakoś podobnie — mogłam oczywiście coś pokręcić). To chyba musi być zaskakująco dużo... Brrrr, przypomniały mi się słowa Koholeta. Te o marności...

Prawdę powiedziawszy, Larze nie tylko zazdroścę biustu, ale i tego, że ma jakiś swój system ostrzegania, który uprzedzają o katastrofie. Informuje ten głos na przykład, że do wielkiego bum pozostało 48 godzin i dodaje (co prawda bardzo ogólnie), na czym to bum ma polegać. Ja od razu dostaję po głowie, no i nigdy nie mogę kupić stanika supersexy, bo takie rzadko produkują w rozmiarze 70 A, jaki to rozmiar noszą oprócz mnie tylko nierozbudzone seksualnie trzynastolatki (a przynajmniej powinny być chyba nierozbudzone — za moich czasów były).

W filmie następuje pewien rozdźwięk, którego nikt w zasadzie nie zauważa: Angelina Jolie jest seksbombą, a Lara Croft dziewczicą. W Tomb Raiderze obie kręcą mężczyznami w dowolnie wybraną stronę. Robią im koło dupy, malowniczo walą po pyskach i... potrafią chyba bez tych mężczyzn żyć!

Zupełnie inaczej niż ja.

Nie dają się rolować. Dziewczyny górą, dziewczyny walczą. Więc lepiej pozostanie przy podziwie dla idolki Lary Croft, ale nie bierzcie przykładu ze mnie... Mam tylko nadzieję, że lubicie mnie choć troszkę, drogie czytelniczki, nawet jeśli jestem płaska i nie potrafię pisać. Obiecuję, że następny film obejrzę w całości.

I nigdy już nie pójdę do kina z żadnym facetem. Nigdy!!!"

11 SIERPNIA

Postanowiłam najpierw napisać recenzję, a dopiero później zastanowić się głębiej nad tym, co mnie spotkało — w odwrotnej

128

kolejności szlag mógł mnie trafić, a krew mogła zalać na samym wstępie, wówczas zaś nici z kariery dziennikarskiej.

A tak jestem tylko bez faceta: w sumie u mnie to stan normalny.

Pojechaliśmy z M. na tę premierę. Wokół blichtr, glamour i towarzyska śmietanka — ogólnie raj dla łowców autografów. Kilkakrotnie mogłam się przekonać, że osoby, które oglądałam na ekranie telewizora i uważałam za fikcyjne, istnieją naprawdę.

— To moja znajoma...

— Poznaj Annę...

— Moja znajoma.

— Tak, znajoma — powtarzał M. jak papuga.

Dlaczego wmawiał, że jestem jego „znajomą”, a nie przedstawił mnie tym wszystkim bossom i bossównom jak Pan Bóg przykazał: „To moja dziewczyna”. Albo: „Kocham ją, jest taka słodka”. Albo: „Żenię się z nią. Cudowna babka...”.

Bardzo ta „znajomość” ubodła moją kobiecą dumę, ale rychło przekonałam siebie, że całe te ceregiele to pewnie taki zabieg marketingowy. M. jako obiecujący, młody i przystojny aktor nie mógł pewnie pozwolić sobie, żeby trwale kojarzono go z jakąś babką — mogłoby to zniechęcić jego fanki, które przestałyby chodzić na filmy z ulubionym amantem i głosować nań w tele-rankingach.

Dobre, nie?

Postanowiłam więc się odprężyć i zasiąść w spokoju ducha do oglądania filmu.

Jakaś kobieta za naszymi fotelami zaczęła kasłać. Kasłała i ka-słała (co drażniło, bo film mnie nawet wciągnął) coraz głośniej i głośniej. Pewnie miała jakąś alergię na kurz albo perfumy, bo w końcu musiała wyjść. Chwilę później M. nachylił się i szepnął:

— Kochanie, wybacz na chwilę... — Pokazał trzymaną paczkę papierosów i przeprasząc siedzących obok, opuścił rząd.

129

Nie może wytrzymać?!

Było mi trochę nieswojo siedzieć tak samej, a i chodziło mi po głowie, że coś tu nie gra. Sprawę rozwiązał mój pęcherz, który ostatnio nie działał zbyt dobrze... Tym bardziej że przed seansem wypiałam trzy kubki coca-coli (z nerwów!).

Przeprasząc podobnie jak M. zniecierpliwionych widzów, udałam się do toalety...

Hałas tak ich przestraszył, że na moment przestali wykonywać te idiotyczne ruchy...

M. miał opuszczone spodnie, Iza siedziała na marmurowym blacie umywalki.

Zatrzymałam się w progu i gapiłam. Zamurowało mnie. A po sekundzie wszystkiego mi się odechciało.

— Anka, poczekaj! Bądźmy dorośli... Wytłumaczę ci! — wykrzyknął patetycznie jak marny brazylijski aktorzyzna. Podciągnął spodnie i ruszył w moim kierunku, zapinając rozporek.

A ja...

Ja uciekłam.

Boże, czy ja zawsze muszę być taka głupia?

12 SIERPNIA

Upiorna niedziela.

Nie, naprawdę upiorna niedziela!

Nikogo nie ma w domu. To znaczy ja jestem, ale opustoszały domy wszystkich moich przyjaciół, znajomych i wrogów. Skąd wiem? Obdzwoniłam z nudów wszystkich (w podanej kolejności) i nie wydałam nawet złamanej złotówki — nie odbierali. Właściwie mnie to nawet nie dziwi — lato przekroczyło półmetek i nadszedł czas nadrabiania wakacyjnych wyjazdów. Bładym świtem romantyczne bara-bara, soczek pomarańczowy i hop:

130

parka wyjeżdża na wieś albo „nad wodę”. Poopalać się, pogru-chać, powypoczywać.

Przyjaciele, znajomi i wrogowie albo:

- a) nie mają komórek,
- b) wyłączyli je,
- c) nie znam ich numerów (komórkowa informacja telefoniczna oczywiście nie działa w niedzielę).

W pierwszej chwili pomyślałam, że może poczuję się wyzwoloną kobietą i pójde sama na spacer do parku. Wkładając buty, zrozumiałam jednak, że to jeszcze większy obciąż niż samotne wyjście do kina. To złamanie wszelkich konwenansów. Ludzie (nawet nastoletni) nie odbierają tego w kategoriach twojej prowokacji, lecz porażki. Będziesz słyszeć przez cały seans/spacer, jak pytlują za twoimi plecami o twojej samotności. Idioci...

Tak na marginesie: kupowanie jednego biletu do kina (oczywiście kiedy jest się kobietą) to czynność bardziej krępująca niż jednoczesny zakup fikuśnych prezerwatyw i ciężowego testu. Przeszłam przez jedno i drugie, więc dysponuję pewną skalą porównawczą. Gumki zużyłam, test negatywnie obsikałam, a

bilet? Nie byłam nastolatką, a film był z Banderasem: Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomym. Rada w sam raz dla samotnych. Kiedy tuż przed seansem zobaczyłam wszystkie te obejmujące się pary, zakręciłam się na pięcie i wyszłam. Tylko bileter coś za mną krzyczał...

Traumatyczne przeżycie.

Ewka powiedziała, że przynajmniej powinnam oddać bilet.

Do rodziców też nie pojedę — wybrali się na wycieczkę rowerową (!!!) za miasto. Rano kochankowie, a później cykliści; uczestnicy małżeńskiego wyścigu pokoju, który trwa już w mniej lub bardziej dosłowny sposób od trzydziestu pięciu lat.

— Wybacz, kochanie, ale w tę niedzielę musisz się zatroszczyć o siebie sama — mama.

— Kupiłem mamie ochraniacze — tato.

131

Tak, oni wciąż się kochają!

— Kupiłem jej też kolarki. — Puścił do mnie oko.

Wciąż niedziela i wciąż można pójść do parku. Że obciach? To co...

Nie można. Po dobiegającym z klatki schodowej ryku zarzynanego bawołu wywnioskowałam, że do parku wybrała się moja sąsiadka ze swoim berbeciem.

Park jest zbyt mały.

Ona ma przynajmniej wymówkę dla samotnych spacerów. Jej mąż wciąż przebywa na czymś, co w starych czasach nazywano „delegacją”. A dziecko potrzebuje tlenu.

W rzeczy samej to dziecko potrzebuje i tlenu, i neurologa. Ja przynajmniej bym go potrzebowała, gdyby matka uciszała moje wrzaski waleniem po głowie. No, chyba że ta sąsiadka wymarzyła sobie syna, który w przyszłości zostanie bokserem wagi superciężkiej — takie wytrząsanie mózgu spokojnie zastępuje trening ze skakanką.

Moja mama wymarzyła sobie, że będę taka jak moja sąsiadka — wyjdę za dzianego mężczyznę z odpowiedzialną pracą, będę miała samochód i dziecko (wszystko w tej kolejności). Albo dwoje dzieci.

Dobrze, że wyszło tak, że mi nie wyszło.

W sumie to nie mam nawet prawa jazdy.

Ani karty rowerowej.

Niedziela. Ciągłe niedziela.

Podjęte próby przespania tej cholernej niedzieli były nieudane. Ostatnio z braku okazji do seksu i braku innych nocnych pomysłów na życie wysypiam się. A później w ogóle nie jestem śpiąca.

Zaczyna imponować mi postać Śpiącej Królowny. Śpisz tak

132

sobie, śpisz, a potem pojawia się przystojny królewicz i budzi cię pocałunkiem...

Albo dzwonkiem cię sukinsyn budzi!

Która tak w ogóle jest godzina? Na zegarku miga 23.32. Więc jeszcze nie poniedziałek...

— Wpuść mnie! — Stojący pod moimi drzwiami M. sili się na stanowczy ton.

Bezczelny.

— Hej, tęsknię! Wpuść mnie, bo coś zrobię! — O żesz, menda jedna, kopnął w moje drzwi!

Nie mogę mu otworzyć, kiedy jestem taka spocona, potargana i mam nie umyte zęby. A tak w ogóle to przecież cholerny po-papraniec!

Zdaje się, że popapraniec próbuje wyważyć drzwi!

— Dzwonię na policję! — warczę, zapominając, że takie skandale są aktorom niezbędne do reanimowania sławy.

— j

Coś krzyczy: „moja miła” czy może „ty suko”? Odkąd przemknęłam cichutko jak myszka do przedpokoju, by dla pewności zamknąć drugie drzwi, przez dwie warstwy sklejki, listewek i skóry gorzej słyszę.

— i

To chyba jednak: moja miła. Myślę: z moim miłym moglibyśmy w letnie niedziele wyjeżdżać do lasu albo...

Czas na zastanowienie minął. Odstąpiono od oblężenia. Na budziku 0.02.

Ostrożnie wychodzę na klatkę schodową. Na mojej wycieracze leży najprawdziwsza róża. Czerwona i... złamana.

O rany!

133

13 SIERPNI

Cały dzisiejszy dzień,

Moje życie uczuciowe,
Moją pracę,
Stosunki rodzinne i samopoczucie,
Można określić jednym
Pulsującym i nabrzmałym
Słowem.

Słowem tym jest:

NIC.

Chyba pójdę do wypożyczalni i obejrzę sobie Seks, kłamstwa i kasety wideo.

14 SIERPNIA

Życie znowu serwuje mi jakiś koszmar! Najwyraźniej pod moim balkonem trwa cygańskie przyjęcie. Chyba narzucę coś na siebie i się wychylę...

Nie, Luna, ty zostajesz w mieszkaniu.

Ooo?

Ki diabeł?!

M.!

Najwyraźniej przyprowadził pod moje okna drużynę wędrownych skrzypków i jest z tego bardzo zadowolony... Tylko po co to zrobić? Coś do mnie krzyczy, ale trudno w tym hałasie rozróżnić...

— Kurwa, na policję zadzwonię! — wyje sąsiad, który się zorientował, że jest blisko północy.

Zapalają się światła. Hej, ludzie, uspokójcie się. Czyżby w narodzie nie było już zapotrzebowania na odrobinę romantyki? Z drugiej strony, kogo ja bronię?!

— Czego chcesz?! — krzyczę do M.

134

— Jesteśmy dla siebie stworzeni! — odkrzykuje. Stoi, pośród nocy, w dźwiękach miłosnej (prawie) serenady.

— Ty, patrz! Czy to nie ten aktor? — Słyszę z góry. Nie wiem, do kogo sąsiadka kieruje to pytanie, bo przecież nie do mnie. — Patrz, jaka cwaniara, ta to się umie ustawić. A przecież moja Danusia ładniejsza... Danka, chodź na balkon!

— Aniu! Spróbujmy jeszcze raz!

Chyba dostrzegam światła radiowozu. Tak, te niebieskie to koguty... W zasadzie widownia powinna zacząć klaskać, a powietrze rozbrzmieć nutami Mendelssohna.

— „Cztery razy po dwa razy... Nie? Gdyby rybka była...” — próbował potężny Cygan.

— Jezu! Za co ja płacę?! — zirytował się M. — Miały być piosenki o miłości...

Tak, to mnie rozbawiło. M. zadął głowę.

— Chciałbym porozmawiać. Wpuść mnie na górę...

— Nie sądzę...

— Nie sprzeciwiaj się uczuciu! Kocham cię, kochanie moje... To rozstania i powroty! I serce mi płonie...

— monorecytuje.

— Może ci je ugaszę! — Ktoś z solistów cygańskiej kapeli nagle wali M. po pysku.

To nie solista, to Robert! Co on tu, do cholery, robi?!

— Robert! — Prawie wypadłam przez parapet. — Zgłupiałeś?!

Ale mu przyładował...

— Jakiś twój znajomy? — M. trzyma się za oko.

— W serialu by mu tak nie nakładli — powątpiewa z góry Danusia.

— Jesteś z kimś, a do mnie masz pretensje! Idziemy! — M. władczy gestem zagarnia orkiestrę.

— Hej, to nie tak! To jakiś wariat...

— Wariat? Jasne, że wariat! — Robert obraża się i odchodzi.

W inną stronę niż M.

*

135

O nie, gliniarze ich spisują.

Zostałyśmy we dwie: ja i Luna. Taka karma.

15 SIERPANIA

Święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, czyli dzień wolny, co w mojej parszywej sytuacji i tak niewiele zmienia. Ale ja się nie poddam! Mam serce lwa, choć ubolewam, że brakuje mi lwiej grzywy (a

kiedy jestem sfrustrowana, przydałyby się jeszcze kły i pazury). Idę na bibkę do znajomej małżeńskiej pary. On jest pisarzem, ona jest cholernie atrakcyjna. Nie mają dzieci, za to dwa czarne koty. Będziemy pić, jeść chińszczyznę, grać w gry komputerowe i malować napoleońskie żołnierzyki do rozgrywki strategicznej. Może poproszę, by wypożyczyli jakiś film, taki bardziej, hm, dla dorosłych, bo znowu mam wrażenie (straszne wrażenie!), że zapomniałam, jak to się robi. Kto to mnie przekonywał, że z seksem jest jak zjazdą na rowerze? Gdybym sobie tylko przypomniała...

Ci pisarze to mają fajne życie: siedzi sobie taki jeden z drugim całymi dniami w ciepłym domu, z żoną, z cichymi zwierzątkami i pisze. Potem wydaje powieść i już!

Ale wracając do tematu — ten kolega pisarz obiecał, że kiedy cała Polska przejdzie na islam, to zostanie jego drugą żoną. Obserwując dzisiejszą reakcję ludności pod kościołami, to jednak mam na to małżeństwo marne szanse.

A czy mam szansę na jakiegokolwiek w ogóle?!

Chyba pójdę do nich trochę wcześniej; tyk wody ognistej przywróci mi formę.

Jestem lwicą. Jestem lwicą. Walczę jak płowa bestia.

Seks pustyni!

136

Ups, niedobrze mi. Oj za dużo tej... tej... wody. Upiłam siem w trombe. Znaczy w grzywem...

16 SIERPNIA

Hurra, dostałam przesyłkę!

Z Laponii!

W środku są rękawiczki z renifera i kartka.

Na kartce kulfonami wypisano:

„To ja. Kocham Cię wielką romantyczną miłością. Nauczyłem się doić i wypasać. Zostań panią Reniferową. Gdzie mój renifer, tam serce Twoje, luba, choć Ty jeszcze o tym nie wiesz. Dam Ci stado trzydziestu reniferów zamiast jednego fredrow-sko-freudowskiego krokodyla, kiedy tylko zostaniesz moją żoną. Obiecuję: żadnej interczy! To są oświadczyzny — August.

PS: Pośpiesz się z odpowiedzią, bo tu już niedługo zima, która wszystko odcina”.

Panie Boże, dlaczego? Czy dlatego, że papież jest Polakiem?

17 SIERPNIA

Poszliśmy w tango! Ja, Ewa, no i ono, ma się rozumieć. Ewka wpadła w depresję przedporodową: że teraz to wszystko skończone i nic jej się nie należy, a ona biedna wcale sobie nie pożyła. Aby reanimować jej poczucie własnej wartości, pojechaliśmy do Łodzi — tego zagłębia pubowego, gdzie postanowiliśmy ostatni raz (a zarazem pierwszy w tym mieście) zaszaleć. Ostatni pociąg

137

z Warszawy pełen był zmęczonych ludzi, którzy na nasze mania-kalno-depresyjne gęby patrzyli raczej niechętnie...

— O rany, ale kosmos.

— O rany, ale dziura! — Zdecydowanie różniłyśmy się opiniami na temat miasta, kiedy wysiadłyśmy na dworcu Łódź Fabryczna.

— Anka, nie siej ziarnem defetyzmu — skarciła mnie Ewka i ruszyła w stronę ichniej ulicy głównej o nazwie Piotrkowska.

Chciałam coś odszczeknąć a propos tego siania, ale po krótkich przemyśleniach dałam spokój.

Na Piotrkowskiej natychmiast przyczaiłyśmy się niczym dwie alkoholowe modliszki w najbliższym pubie. Nazywał się „Łódź Kaliska”, co brzmiało identycznie jak nazwa drugiego łódzkiego dworca. Łodzianie mają chyba kompleks wyjazdów.

Sprawiłyśmy się błyskawicznie.

Na tyle skutecznie, że jedyną osobą, która chciała nas poderwać w tym biseksualnym świecie, był mężczyzna z węzem (odniosłyśmy też dziwaczne wrażenie, że oprócz barmana i nas był to jedyny człowiek z dowodem osobistym). Pocałowałam ogromnego boa dusiciela w zimną główkę i spławiłam naszego wielbiciela, zasłaniając się ciężą koleżanki.

— Świnia — wyrwało się Ewce, ale nie wiedziałam w związku z czym i do kogo skierowany był ten epitet.

Po tym, jak kurczowo trzymała stolik, zorientowałam się, że chyba za dużo wypła.

— Ewka...

— Jestem wyrodną matką! Urodzę mutanta!

— Wyrzucą nas — mruknęłam, widząc niebezpiecznie zbliżającego się ochroniarza. — Wyrzucą albo i zamkną. — Przypomniało mi się, że chyba w Omaha albo w jakimś innym Idaho za-puszkowano matkę alkoholickę w ciąży za szkody wywołane u jej nienarodzonego dziecka.

— O, w mordę — stęknęła Ewka. — Wracam do domu.

I wróciłyśmy — jeśli oczywiście domem można nazwać przypadkową bramę zarośniętą bluszczem, w której zaległyśmy.

— To tu się uczył Polański? — burknęła Ewa (wciąż jeszcze studentka kulturoznawstwa. Przed dziekanką).

— Tu.

Później rzygałyśmy jak łódzkie, podwórkowe koty.

— Jesteśmy za stare na takie eskapady — biadolila Ewa. Czy powinnam przyznać jej rację? Ona była matką, ja czułam

się jak niechciana dziewica.

W porannym pociągu konduktorzy skasowali nas za brak biletów.

— Będiesz moją druhną — stwierdziła nagle Ewa, wciskając równocześnie łapówkę zezującymu kontrolerowi. Ten ciężko westchnął. — Spokojnie, nie musisz ubierać się na różowo — dodała, widząc moją panikę. — A kiedy chlebek się upiecze — poklepała swój brzuch — zostaniesz matką chrzestną...

Konduktor wybiegł z przedziału, trzaskając drzwiami (co było sztuką— zasuwały się bardzo cicho). Moja odpowiedzialność pobiegła za nim...

— Myślałam raczej o kolorze lila...

Czekałam z utęsknieniem na stację Warszawa Centrum.

18 SIERPANIA

Zgadnijcie, kto właśnie stoi za progiem moich otwartych drzwi?

— Anka, mogę wejść? — M. przygładza nerwowo włosy.

— Nie. — Jestem blada jak jakaś wiktoriańska heroina.

— Co?

— Nie wpuszczę cię.

— Możemy negocjować?

— Nie przyniosłeś kwiatka.

— Z ostatniego się nie ucieszyłaś...

— Skąd wiesz?

- Słuchaj...
- Nie masz nawet bombonierki — stwierdzam odrobinę za głośno.
- Przyniosłem serce. — Rozchyła marynarkę.
- Całe? Całe dla mnie?!

Milczy i z zapamiętaniem ogląda czubki swoich butów.

- Aha, tylko kawałek... Idiotka ze mnie.
- Słuchaj, dlaczego nie moglibyśmy się dalej spotykać. To lepsze niż siedzenie cały dzień w samotności... A w końcu nie jestem byle jakim panem Nikt. Wiesz... innym to nawet imponowało.
- Powinno.
- Więc mogę wejść?
- Słuchaj, muszę zamknąć, bo kotka gotowa mi uciec... Zamknąć z tobą na zewnątrz...
- Ale dlaczego?
- Sama nie wiem — mówiłam szczerze. — Może nie chcę wciąż grać w serialu...
- W porządku! Przy tobie zrozumiałem, komu mogę dać całe serce. Ale to nie jesteś ty.

Mocno trzymałam się futryny i drżałam. Robiło mi się słabo. Nie był delikatny...

- I nie prosz, żebym wrócił! Nigdy!!! — Odszedł wkurzony jak kaczor Donald i chyba taki... samotny?
- Co ja narobiłam?!

19 SIERPANIA

Sama rozkosz — niedzielny obiad u rodziców, którzy przechodzą uczuciowy renesans swego małżeństwa. Tulą się, ćwierkają i patrzą prosto w oczy. Jezu! Ojciec najwyraźniej jest gotów skopulować mamę na świeżo wykrochmalonym obrusie, a jedy-

140

ne, co go powstrzymuje, to ogromna, odziedziczona po babci waza z zupą bo przecież nie jego pełnoletnia latorośl z nieuregulowanym życiem seksualnym, prawda?

O ile moi rodzice zachowują się jak para seksualnych bulimi-ków, o tyle ja w ogóle straciłam apetyt na cokolwiek. Mieszam w swoim talerzu grube kluski i tępo patrzę w rosół.

- Nie smakuje ci, kochanie?

— Mamo, kiedy zrozumiesz, że wegetarianizm nie jest jak chwilowe zauroczenie hrabianki ogrodnikiem? Przypomina raczej w swej egzystencjalnej trwałości drugorzędowe cechy płciowe...

— Buzia ci się nie zamyka, to i nie jesz! A nawet gdyby twoja teoria była słuszna, to co powiesz o transwestytach?

Tu mnie ma.

Tatusiek dusi się ze śmiechu, a i Lord ma taki wyraz pyska, jakby bawił się równie dobrze. Pięknie, wszyscy przeciwko mnie.

— Mamo, nie będę tego jadła! — silę się na stanowczość i odstawiam talerz.

— To rosół bez kury, wegetariański. Jak chcesz, to pokażę ci opakowanie...

Rosół transwestyta? Naprawdę coś dziwnego stało się z moją matką. Rosół bez kury to nie rosół.

— O Boże, Aniu, jak możesz być taka rasistowska — rzuca tato znad stołu.

Mam dość. Zaczynam się bać. Zamiast obiadu z rodzicami jem COŚ z parą kosmitów.

— Był u nas twój chłopak — mówi od niechcienia ojciec.

— COOOOOOOOOOOO???

— Uspokój się, nie przyszedł prosić o twoją rękę...

— Nie wiesz, tato, jak mi ulżyło — mówię z przekąsem.

— Ten M. na żywo jest jeszcze przystojniejszy niż w telewizji — zachwala mama.

W tej chwili moje serce najpierw agonalnie się zatrzymuje, by za moment ruszyć w tempie olimpijczyka. Czuję, że jestem tak czerwona na twarzy, jakbym miała fazę plateau.

— I bardzo miły...

141

Dobijcie!

— Zostawił coś dla ciebie.

— To miała być niespodzianka.

Ojciec sięga do kredensu i podaje mi książkę w czerwonej okładce ze skóry.

Otwieram na stronie tytułowej: nic, żadnej dedykacji. Tylko złoty druk: William Szekspir Romeo i Julia. .

— O rany! — wrywa mi się. Rodzice trzymają się za ręce.

Boże, Boże, Boże, co ja mam teraz zrobić?

I jak udało mu się to dzisiaj przynieść, skoro w nocy miał jeszcze zdjęcia (problem znajomości adresu moich rodziców najmniej mnie nurtuje — może dlatego, że żyję w romansie, a nie w powieści sensacyjnej)?

— Kiedy on to przyniósł?

— We wtorek...

Nie! We wtorek! Przed zerwaniem! Czyli „cała ta sprawa” jest nieaktualna!

— Coś nie tak? — Mama patrzy na mnie z troską.

— Skąd. Wiecie, to nawet niewiele zmienia. — Biorę się za zupę. W dodatku nawet im nie skłamałam. Przecież nie będę szukać miłości tam, gdzie jej nie ma.

Teraz, skoro nie mam nic do roboty, a w wieczornym kinie nie ma żadnego dobrego filmu, zobaczę, jaka miłość mnie ominęła:

Dwa wielkie domy w uroczej Weronie, Równie słynące z bogactwa i chwały, Co dzień odwieczną zawiść odnawiały, Obywatelską krwią broczyły dłonie.

Lecz gdy nienawiść pierś ojców pożera, Fatalna miłość dzieci ich jednoczy I krwawa wojna, co z wieków się toczy, W cichym ich grobie na wieki umiera.

142

Miłość, kochanków śmiercią naznaczona, Wściekłość rodziców i wojna szalona, Zerwana późno nad mogiłą dzieci,

Przed waszym okiem na scenie przeleci. Jeśli nas słuchać będziecie łaskawi, Błędy obrazy chęć nasza naprawi.

Coś mnie tknęło — podchodzę do okna, żeby zobaczyć, czy nie ma za nim... Wiecie o kim mówię... Ale tam na zewnątrz nie ma nikogo oprócz nocy. Żadnej ludzkiej (męskiej) sylwetki. Pusto jak cholera — tylko ciemność...

Klops, nawet intuicja mnie zawodzi. Poczytam jeszcze trochę. ..

Kot usnął mi na kolanach.

Taaa, ten Romeo i Julia to potwornie smutna historia.

20 SIERPNIA

Moja kochana Luna śpi i równocześnie pomrukuje — coś jej się śni. Jak słodko przebiera łapami. O! Zamiauczała. Pewnie właśnie złapała jakiegoś szczura wielkiego jak wieżowiec i teraz się:

- a) z nim zabawia,
- b) nim zabawia,
- c) nad nim pastwi. Moja krew! Łowczyni!

Przewróciła się na grzbiet i odkryła swój jasny, puchaty brzusek. Muszę ją pocałować...

Rany boskie! Chyba popęd seksualny przerzuciłam na kota! To źle dla kota.

143

21 SIERPNIA

Jak pięknie pachnie w moim kibelku! Przesiedzę w nim cały dzień. Odprężę się. Na desce klozetowej będę siedzieć i chłonać tajemnice bytu wszechświata...

Przypomniałam sobie, że po pijanemu wylałam tu krople lawendowe. A ja od lawendy jestem po prostu uzależniona; jestem uzależniona od tego kwiatka naszych prababek, które wymyśliły wielodzietność i staropanieństwo. A my, ich wnuczki, dokąd idziemy? Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy?

Oj kiepsko ze mną, kiepsko...

22 SIERPNIA

— „Nawet bardzo zakochany mężczyzna czasami musi na krótko odsunąć się od partnerki, nim znów się do niej zbliży. Mężczyźni są jak sprężynki” — Wenecjusz wyrecytował cytat z „biblii” Johna Graya i sięgnął do szklanki po następnego paluszka.

— I niby tym, że jest jakąś cholerną sprężyną, mam usprawiedliwić to, że porzucił mnie już nie jeden, ale dwóch facetów, w tym obydwaj... podwójnie?

— „Mężczyzna wciąż oscyluje między potrzebą bliskości i tęsknotą do niezależności” — znowu zaczął recytować.

Swoją drogą, zawsze miałam wrażenie, że spotkania trzeciego stopnia kończą się katastrofą i miałam rację! Jasne! M. porzucił mnie dla Izy, a przynajmniej tak myślę, choć wciąż próbuję się oszukiwać, że miejsce jego sprężynki jest przy mnie. Robert zaś dla powietrza.

144

— „Będąc przez dłuższy czas blisko partnerki, mężczyzna do pewnego stopnia zatracą swoją tożsamość”.

— Ha! Nie wpadłam na to! Biedny Robert! — Sarkazm mi nie wychodził.

— Nie czytałaś Graya?

— Jasne, że czytałam. Lećmy dalej z tymi odkryciami-■•

— Mówiłaś Ewie, że cię odwiedzę?

Popatrzyłam na niego uważnie. Wyglądał jakoś dziwnie i był spięty.

— Wiesz, ona bywa zazdrosna.

— Nic jej nie mówiłam. Jeszcze.

— To znaczy, że masz zamiar powiedzieć?

— Jest moją przyjaciółką. Przyjaciółkom się nie kłamie.

— A ja kim"jestem? Jakbym był kimś innym, to co bym u ciebie teraz robił... — zjeżył się zupełnie jak nie Wenecjusz.

Pomyślałam przez chwilę.

— Dobrze, nie powiem. Choć to głupie...

— „Nastrój kobiety wznosi się i opada jak fala. Kiedy osiągnie dno, nadchodzi czas uczuciowych obrachunków”.

— Czyli, gorzej już być nie może. — Wzięłam garść połamanych paluchów i wcisnęłam je sobie do ust.

— „Mężczyźni walczą o prawo do wolności, a kobiety o prawo do niepokoju. Mężczyznom potrzeba przestrzeni, kobietom zrozumienia”.

— A ty jak sobie radzisz z tą ciążą?

— Brakuje ci problemów? Chcesz cudze? Głowa mnie boli... — westchnął. — „Mężczyźni w swoich związkach wciąż się oddalają i zbliżają, a kobiety odczuwają na przemian wzrost i opadanie gotowości kochania siebie i innych”.

— Ale ja chcę miłości! — Jejku, czy ja przypadkiem wciąż nie jestem zakochana...

— „Mężczyznę bardzo obciąża świadomość, że jest dla partnerki jedynym źródłem miłości i pomocy” — przerwał. — I pomyśleć, że to z tej rasy pochodzili Otello i Piotruś Pan.

145

Zrobiła się dziesiąta wieczór.

— Ewka już pewnie czeka. Naprawdę jest taka zazdrosna? Tu jej nie znałam...

— „Kiedy tłumi swoje negatywne uczucia, gasną również uczucia pozytywne i miłość umiera”. — Wenecjusz szybko zebrał się do wyjścia. Trącona przez niego resztką paluszków wgryzła mi się w dywan ku małej uciechy kota.

— To co ja mam w końcu zrobić?! — krzyknęłam za nim. Odwrzasnął zza progu:

— „Kiedy finansowe potrzeby kobiety są zaspokojone, staje się ona bardziej świadoma swoich pragnień emocjonalnych”!

— Co? Jestem już dość nieszczęśliwa, a teraz mam jeszcze iść do pracy i robić karierę?!

Ale jego już nie było. Pewnie gnał na złamanie karku do Ewki, ignorując czerwone światła.

— A więc ja już ci nie wystarczam! Chcesz porad Wenecju-sza?! — Parę minut później pieniała mi się do słuchawki. — I kogo jeszcze! Przestań się oszukiwać! Przecież ty wciąż...

— Histeryzuję, szczęśliwa mężatko?! — wrzasnęłam.

— Kochasz Roberta — powiedziała.

Uciekam na Księżyc. Przysięgam: do różowych króliczków i Twardowskiego na kogucie.

23 SIERPNIA

Wcaaaale się nie denerwuję.

Przed chwilą, w dodatku przed samym nosem, środkiem jak najbardziej publicznego chodnika przeparadowali objęci M. i Isa-belle (brakowało tylko, by ktoś rzucił się do nich po autografy — na przykład ja). Bezczelnie udawali, że mnie nie widzą. Albo, co gorsza, byli sobą tak zajęci, że naprawdę mnie nie zauważyli! Dlaczego akurat na moim nieszczęściu on zrozumiał, że ją kocha,

146

a ona rozumiała, że kocha jego?! Jestem tylko statystką w ich porywającym, celulooidowym romansie. Celulooidowym do momentu, w którym nie pomyślę o wymianie płynów ustrojowych... Syf! Wychodzi mi hard porno zamiast Przemięło z wiatrem).

Wcale się nie denerwuję.

Jestem...

Jestem ZEN.

24 SIERPNIA

Myślałam[^] że moja matka powie na wieść o pracy: „Jestem z ciebie dumna, córeczko!”, ale ona tylko mruknęła:

— Najwyższy czas. Szkoda tylko, że nie myślisz o pełnym etacie...

A dalej, że skoro nie realizuję się w miłości, to powinnam w robocie. Że ona sama zabrała się do pisania książki: powieści o George Sand (to była kobieta! Ale ten Chopin... Błady dupek!). Że mężczyźni to świnię (nawet odzyskany tatusiek) i że to przez nich (a nie przez Matkę Naturę) lądujemy na „przesłuchaniu”, gdzie światło lampy bynajmniej nie świeci nam w oczy, ale jest skierowane w punkt poniżej pasa.

— On się nacieszy, a my musimy TO urodzić! Czy ja jestem tym CZYMŚ?

Ustyszałam, że ona nie rozumie naszych depresji. I dajcie jej nasze (moje albo Ewy) lata, to zobaczymy, jak ona potrafi je imponująco wykorzystać.

— Wy, dziewczyny — zżymała się — jesteście przynajmniej młode, a ja wyglądam każdego ranka jak stara nietope-rzyca...

Chciałam wtedy tę „nietoperzycę” przytulić, ale w końcu jestem jej nieodrodną córką, więc burknęłam tylko:

— Nie przesadzaj, mamó...

147

Jednak pokraśniała z zadowolenia. Było południe... Wczesne południe... W zasadzie to rano... Przynajmniej z mojej perspektywy.

Tak. Zdecydowałam się na stałą pracę w „Trzydziestolatce”. W celu wymiany pierwszych plot redakcyjnych Magda zaprosiła mnie wreszcie do siebie (swoją drogą, dlaczego nie pamiętała o mnie, robiąc parapetówkę?). Jej mieszkanie jest tak wielkie i piękne, że wciąż oczekiwałam, kiedy drzwi się otworzą i wpłynie przez nie duch dziewiętnastowiecznej służącej z pytaniem: „Pani hrabina wzywała?”.

Nic takiego jednak się nie stało i mogłam we względnym spokoju żłopać herbatę Cejlon z poszczerbionych, wysłużonych kubków (zamiast szpanerskiej porcelany wielkości naparstka To ciekawe — w wyższych sferach hasłem obowiązującym wydaje się: „Nigdy do syta”). Mówię o „względnym” spokoju, bo Magda sprowadziła, Bóg wie skąd, kremową sofę, na której głupio rai było usiąść w moich nie pranych od tygodnia czarnych sztruksach. Wciąż drżałam także, że poplamie ją herbatą i Magda już nigdy mnie nie zaprosi...

— O, a tu znaleźli babcię. Opowiadałam ci... — Wskazała na kąt pod ogromnym oknem. Później obejrzałam reprodukcję tego obrazu zrobionego z wypaczonych klepek.

— Interesujące — wy dukałam.

— Ech, Anka. Nigdy nie doceniałaś prawdziwej sztuki. Zupełnie jak...

Guzik mnie obchodzi, kto jest takim niedoukiem jak ja. Zawsze uważałam, że obraz nie tylko powinien coś wyrażać, ale i przedstawiać figuratywnie. Malowano tak przez ostatnie dziewiętnaście stuleci i nikt nie narzekał. Zresztą i tak wolę van Gogha od beztalencia Matejki, za co mogliby mnie skopać narodowcy.

— A tak babcia wyglądała przedtem... — No nie, jeśli Mag-

148

da zamierza mi pokazywać zdjęcia na poły rozłożonego trupa, to ja zwymiotuję na te jej modne luksusy.

— Obejrzyj! Spodoba ci się... To zdjęcie jest figuratywne. — Uśmiechnęła się złośliwie. — I ciepłe — dodała cicho.

Fotografia była czarno-biała, niedowołana i miała ośle rogi; ale ani przez chwilę nie zastanawiałam się, dlaczego Magda jej nie wyrzuciła. Nikt by jej chyba nie wyrzucił... Widniała na niej babcia, która niczym przekorna wnuczka siedziała na parapecie. Szeroko uśmiechała się bezzębnymi ustami, a policzki miała jak zwiędłe rajskie jabłka. Spod chustki wychylał się zalotny siwy lok. Nie była to babcia z reklamy, tylko ktoś naprawdę bliski, ktoś, kogo na pewno znamy. Ale to nie wszystko — fartuch staruszki obsypany był ziarnem, a przynajmniej przypuszczam, że to było ziarno, bo na jej podołku kłębiło się od gołębi skalniaków. Siedziały też na ramionach i wyciągniętej bladej dłoni...

— Kto zrobił to zdjęcie? Magda wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia...

Obróciłam je. Z tyłu wykaligrafowano: Klara Gołębiarka.

— Jak chcesz, to je zachowaj... — zaproponowała nagle.

— Ale...

— Weź, bo mój mąż w końcu wyrzuci je przy jakichś porządkach. Zresztą ja mam tamtą reprodukcję.

— Aha — zgodziłam się.

— Co zaś do „Trzydziestolatki”...

Myślę, że Klara umarła pod oknem, bo ostatni raz chciała popatrzeć na swoje gołębie. Czuję się, jakby było jakieś Hallo-ween...

Ludzie się nie zmieniają: środek nocy, ja zaspana jak suseł. Po telefonicznym drucie biegnie do mnie schrypnięty głos Ewki:

— Nie uwierzysz, tym razem przyszedł z siekierą! No z siekierą mówię ci! Prawdziwą... Najprawdziwszą, wielką i błyszczącą jak u drwała. Jak ta z tego filmu...

149

— Teksańska masakra piłą mechaniczną — bredzę.

— No przecież mówię, że z siekierą. Siekierą! Nie piłą!!!

— Kto?

— No jak to kto? Facet od węża! — wyje przyszła mama, starając się przekrzyczeć jakiegoś ostrego i głośnego hard rocka oraz niewiele cichszą bójkę.

— Rany boskie, Ewa! Gdzie ty jesteś?!

— Jak to gdzie? No, mówię ci, że ten od węża... — przerwa na nabranie oddechu — w Łodzi jestem, w Łodzi!

— Sama?

— Co?! Pewnie że z Wenecjuszem. A coś ty myślała... I on tą siekierą...

Zmieniam numer telefonu.

25 SIERPNIA

Serce nie służy.

Ciało też nie służy; nigdy mnie tak nie strzykało w kościach, kiedy miałam piętnaście lat i byłam dziewczyną, a dziś...

To zapewne efekt depresji przedurodzinowej (bo chyba nie mam tak zaawansowanego starczego artretyzmu, a na złapanie grypy jest za ciepło?), ale czuję się przez to pobolewanie taka stara, stara, stara! Czy to możliwe?

Nawet Luna mnie postarza — mój prezent urodzinowy, mój własny kot! Kiedy dostałam go od Ewy, był prawie biały, a teraz na jego sierści pojawiają się ciemniejące cętki... Jak to przeżywają rodzice, kiedy ich dziecko zaczyna dojrzywać? Mają chyba więcej czasu do zastanowienia... Niedługo (no, za parę miesięcy) Luna będzie brązowa (ciemna strona Księżycy?) i dorosła, a ja będę stara. To znaczy starsza. Straszne. Chociaż może nie do końca: kocham Lunę i ona też będzie mnie kochała, gdy zostanę już trzydziestoletnią babuleńką.

Ale najpierw dwudziestodwuletnią...

150

*

Luna, moja piękna, moja cudowna, moja kochana, moja bogini...

Co do świętych krokodyli egipskich, to mogę się nie zgadzać, ale co do świętych kotów, to ci kosmici latający w piramidach trafili w sedno — one są jak bogowie.

O Wielka Luno, czy ty musisz rozrzucić po całym mieszkaniu swoje zabawki, bym ja, twoja nędzna wyznawczyni, musiała się na nich poślizgnąć i wybić sobie kły?! Zgoda, przynajmniej wiem, dlaczego mnie strzyka w kręgosłupie, o Wielka Luno!

26 SIERPNIA

„Naucz się oglądać znaki” — to hasło z amerykańskiej komedii romantycznej. Oczywiście nie pamiętam tytułu. Wiem jednak, że nią była piękna Meksykanka, Salma Hayek, a nim gość z serialu „Przyjaciele” (nie Włoch ani paleontolog, tylko ten trzeci). Kochali się i Hayek była nawet w ciąży, ale ich drogi

rozchodziły się, aż nie zrozumieli, jak „czytać znaki”, bo wtedy wrócili do siebie, a Hayek rodziła nawet w ramionach kochanka na moście przy granicy meksykańsko-amerykańskiej. Owe „znaki” (posłyszane rozmowy, rzeczy znalezione, żywe symbole czy billboard, który akurat odnosi się do twojej sytuacji — niekoniecznie ten z pralką w cenie promocyjnej) to taki interaktywny poradnik dla zakochanych i zagubionych od samego Pana Boga. Coś takiego jak wierzgający koń dla Szawła, zanim ten zostanie świętym Pawłem z Tarsu (samo światło to już cud — w końcu uważałam na religii). Ciekawa jestem, jaka transformacja czeka mnie. Podejrzewam skromnie, że pewnie nie jakaś wielka i doniosła, ale...

Oto idę dziś aleją Niepodległości. Pusto, od czasu do czasu przejadą tylko jakieś tramwaje, autobusy albo samochody. Przejdzie ktoś skacowany albo zapracowany (naprawdę nie widać

151

różnicy), któremu kapitalizm bądź mniejszy demon nie pozwolił wyrwać się za miasto. Niebo błękitne nade mną, ciepło i kojąca przestrzeń urbanistyczna. O, jakaś kartka mała i poźółkła przyczepiła mi się do buta. Frau, no proszę! Wokół polatuje więcej kartek, najwyraźniej od kompletu. Podnoszę jedną drugą — żal mi ich, takich podartych i zakurzonych; prowadzą mnie jak po nitce do zamkniętego na głucho kiosku z gazetami. Obok kiosku leży zaś książka niewielka, rozklejona i gubi swoje strony. Podnoszę ją, oglądam... A potem jak oszalała zaczynam zbierać resztki kartek. Możliwe, że wszystkich nie znajdę, ale oby brakowało ich jak najmniej. Wbiegam za nimi na jezdnię, kurcgalop-kiem skręcam w przecznicę, bo kilka z nich szybuje po Nowowiejskiej, węższą po trawniku.

— Przepraszam bardzo,.. — Jedną odklejam komuś od buta. Trwa to z pół godziny, aż wydaje się, że mam prawie „komplet”.

Otwieram na chybił trafili:

„You are dancing with the only handsome girl in the room”, said Mr. Darcy, looking at the eldest Miss Bennet...

A niech to! Znalazłam *Pride and Prejudice* Jane Austen. W dodatku z prastarej serii „The Pocket Library”.

Zachwycona, pozostawiam ten ZNAK bez komentarza.

W ogóle to wysłałam z domu, aby pojechać do rodziców Ewy. Odkąd wprowadził się do niej Wenecjusz, właśnie u rodziców trzyma rzeczy, o których on nie powinien jeszcze wiedzieć.

— Ale to obciachowe! — komentowała Alicja. — Może się nie żeń, rodzice nie są wieczni. W końcu będziesz musiała wszystko pozabierać...

— Alicja! — Ewa zbladła z oburzenia i popatrzyła na siostrę jak na aniołka zagłady.

— Małżeństwa też nie są wieczne... — szepnęłam zjadliwie i Ewka popatrzyła tak samo na mnie.

152

— Zresztą o kobietach w takiej sytuacji nie mówimy, że „się żenią”, tylko że „wychodzą za mąż” — dodałam.

— W jakiej sytuacji?! — prychnęła Ewa.

— Moje pokolenie zmieni to na tyle radykalnie, że będziemy się żenić — stwierdziła z determinacją Alicja.

— I jak małą wychowałaś? — uśmiecham się słodko.

— Martw się o kota... — Jednak nie dążyła do kłótni; chciała mi coś pokazać i oczekiwała jak najmniej złośliwych „ochów” i „achów” komentarzy.

— Podziwiał! — huknęła.

Głośno szeleszcząc, suknia spłynęła na dywan. Tkanina błyszczała i wydawała się delikatna jak pajęczyna. Tysiące kamyczków odbijały światło dnia. Koronki przy gorsecie przypominały skrzydełka motyli, które przysiadły tutaj tylko na chwilę...

— I ty w to chcesz wejść? — zarechotała Alicja.

— Odwal się, anorektyczko! — Ewka wycelowała w siostrę białą, ślubną szpilkę.

— Jest piękna — powiedziałam szczerze.

— Rzeczywiście robi niejake wrażenie — mruknęła polubownie Alicja.

Później Ewa przymierzyła swoją ślubną suknię. Wyglądała w niej jak księżniczka z dużo lepszej bajki.

— Trzeba było troszkę przerobić. Popuścić w pasie. — Zaczerwieniła się lekko. — Ale jest dokładnie taka, jak chciałam. Bezkompromisowo długa i z głębokim dekoltem. Ale skoro się ma... — Wybuchnęliśmy śmiechem, kiedy lekko uniosła swój imponujący biust.

— Jak przykłękniesz, dowiemy się wreszcie, czy księża to geje...

— ALICJA! — wrzasnęliśmy jednocześnie. Miała nas głęboko w nosie.

— Och nie bądźcie takie prukwy. A suknia byłaby jeszcze piękniejsza, gdyby była czerwona jak wozy strażackie.

— Wiesz, siostró... — Ewa znowu weszła w dydaktyczną

153

rolę. — Tradycja nakazuje, by panna młoda szła do ślubu w bieli, bo to znaczy...

— Ewa, a co ci zależy — przerwała Alicja. — Przecież ty już i tak nie jesteś dziewicą!

W tym miejscu chciałam podziękować mamusi i tatusiowi, że wykazali się głębokim rozsądkiem, dalekowzrocznością i znajomością podstaw antykoncepcji, dzięki czemu jestem egoistyczną i denerwującą ale na szczęście nie denerwowaną jedynaczką.

— Pamiętasz, jak malutka Alicja zjadła ci pomadkę ochronną z witaminą E? — zaćwierkałam.

— Chyba przez te „witaminy” wyrosła taka wyszczekana. Alicja znudziła się naszym towarzystwem i poszła grać

w „Tomb Raidera”.

27 SIERPNIA

Poniedziałek. Pojechałam podpisać umowę o pracę. Redakcja „Trzydziestolatki” znajduje się na ostatnim piętrze tak wysokiego biurowca, że kiedy tylko pod nim stanęłam, zadzierając wzrok, już zaczynało mi się kręcić w głowie i do głosu dochodził mój lęk wysokości.

W firmie wszyscy biegają jak mrówki, którym jakieś dziecko wepchało patyk do kopca, a skoro mowa o dziecku, to w samym centrum tego zamieszania stał wózek ze śpiącym maleństwem, na oko trzyletnim. Małe się chyba zgubiło, a mój alarmowy wiek rozrodczy tak rzuca się w twarz, że jedna z biegnących redaktorek przystanęła, by zapytać:

— Twoje bobo?

— Jak dla mnie to zbyt dużo szczęścia! — odparłam, nie wiadomo po co. Na szczęście w tej samej chwili znalazł się ojciec — siedzący obok i stukający w laptopa facet, który obrzucił mnie wzrokiem złośliwego bazyliuszka...

*

154

Wszyscy się tu znają. Uroczy Hubert, który próbował mnie zagadnąć i wyciągnąć na papierosa (byle choć na moment oderwać się od redagowania), przedstawił swą osobę jako postać redakcyjnego błazna. Popatrujący na mnie dziwnie blondyn to Kamil, następca tronu — przynajmniej on tak uważa i od czasu do czasu grzeje tyłek na fotelu naczelnego, kiedy ten nie widzi... Jeśli chodzi o naczelnego, to zdziwiłam się, że nie jest naczelną. W głowie się nie mieści, że teraz Marsjanie piszą Wenusjankom, jak mają żyć... Sama Magda zmyła się akurat gdzieś „do grafików” i za cholerę nie mogłam jej znaleźć.

Naczelny okazał się śniadym, potwornie skacowanym gościem po czterdziestce, który najwyraźniej wcale nie chciał ze mną rozmawiać.

— A, to pani?

— Ja — potwierdziłam grzecznie. W końcu to szef.

— Zdecydowała się pani?

— Tak.

— Na pół etatu? — Złapał się za głowę. Mam nadzieję, że ze względu na kaca, a nie na moją osobę.

Kiwnęłam głową bo to było najlepsze (czytaj: najcichsze), co mogłam dla niego zrobić.

— Te pani felietony są dobre, ale...

— Ale?

— Z większymi jajami prosimy! To pismo feministyczne. Cisza. Wibrująca w redakcyjnym poszumie cisza.

— Próbował pan alka selzer?

— Co pani sugeruje? — obruszył się.

— Nic. Myślę jednak, że smakowałyby panu sałatka z kiszzonej kapusty — pisnęłam.

— Samarytanka?

— Nie, zwykła kapusta...

Roześmiał się, a potem jęknął. Gestem dał mi znać, że jestem wolna. Tylko z jego warg odczytałam: „Witamy na pokładzie”.

Wkrótce mogłam się przekonać, w jak przedziwne miejsce trafiłam — do chorego snu architekta. To było miejsce, w któ-

155

rym telefony komórkowe nagle milkną, a człowiek z pełnym pęcherzem musi wprasowywać się w ścianę klopa, aby nie zaliczyć higieniczno-septycznego trafienia od „pluwaczki” zsynchronizowanej z mechanizmem otwierania drzwi (nawet nie potrafię dokładnie tego wytłumaczyć)...

Odnaleziona cudem Magda zabrała mnie na bezalkoholowe piwo do redakcyjnego baru.

— Spodoba ci się u nas — powiedziała i po matczynemu poklepała moją dłoń.

Jezus Maria!

28 SIERPNIA

Pierwszy dzień w nowej pracy...

Nie do wiary: stałam się małym trybikiem w maszynie światowego kapitalizmu. Parzydełkiem na macce prasowej meduzy. Zamiast pozostać outsiderem, zaczęłam „przystawać”, a przynajmniej mam nadzieję, że przystaję, bo widząc mnie obudzoną o siódmej pięć, żaden szef by w to nie uwierzył — nawet skacowany redaktor naczelny.

Na dobry początek dnia spory glut wybielającej pasty do zębów pacnął mi na spodnie. Kiedy ścierałam ją palcem, wraz z pastą zaczęła puszczać farba... Rany boskie, czym ja myję zęby?! Ha! A kupiłam właśnie tę, bo pasta jest angielska, znanej i renomowanej firmy — miałam nadzieję, że tą samą marką swoje zęby myje Bridget Jones... Marzenie, przez które wyląduję na toksykologii.

Praca, praca i po pracy — zepsułam komputer. Zaproponowałam szefowi, że skończę felieton w domu. Zgodził się, pod warunkiem że będę utrzymywała kontakt internetowo-telefoniczny.

*

156

Cześć, Luna! Wróciłam z dalekiej wędrówki.

Już prawie północ, a jeszcze nikt nie zadzwonił, żeby mi gratulować... Typowe.

29 SIERPNIA

Bardzo ważny dzień — wigilia urodzin. W dodatku moich!

Jak ten czas leci! No, ale chyba jeszcze wszystko przede mną, choćby taka Nowa Zelandia... Kiedy byłam w okresie pokwitania, wygrałam radiowy konkurs poetycki, niemożliwym zresztą wierszydłem z panińskiego sztambucha. Nagrodą była możliwość dukania na antenie własnych utworów. Na szczęście cała kompromitacja odbywała się w porze duchów, ale w tym wypadku była szansa, że usłyszy mnie dziadek i babcia. Jakby tego było mało, koziobrody gospodarz programu zadawał od czasu do czasu jakieś podchwytliwe pytanie w rodzaju: „O czym marzysz?”. „O niczym, nie mam marzeń” — odpaliłam wtedy, bo taka odpowiedź wydała mi się szalenie postmodernistyczna.

Jednak wróciłam do domu kompletnie zdołowana. Bo jeśli nie mam marzeń — dumałam filozoficznie — to jestem jak ślimak bez skorupki i nadziei na przyszłość. To właśnie wtedy wymyśliłam sobie moje wielkie marzenie: kiedy będę u szczytu kariery (nie wiem jeszcze jakiej), porzucę zbytki wielkiego świata i wyemigruję na Nową Zelandię. Będę budzić się bladym świtem i wychodzić ze swym owczarkiem na pastwisko, gdzie w sielance wypasa się tysiące kupionych przeze mnie owiec (sama hodowla jest bardzo romantyczna i nie ma nawet mowy o zarznięciu któregośkolwiek kudłatego stworzonka!). Rozglądam się po nowozelandzkich bezkresach i czuję na twarzy powiew słonej bryzy od morza. Potem uruchamiam produkcję serków owczych „by Anna” i motków wełny „by Anna”, z której

157

dzierga sweterki sam Galliano. Oto moje marzenie, mój spokój, moja harmonia...

Wszystko wskazuje na to, że się nie spełni, a ja umrę sfrustrowana.

Może jednak nie?

Tak naprawdę, to ile mam lat na karku? Co znaczą lata skończone rocznikiem? Czy jeśli w dniu urodzin kończę dwadzieścia dziewięć, to do następnych urodzin mam dwadzieścia dziewięć czy może już

trzydzieści? Pytania, pytania i wciąż ten brak odpowiedzi... Spytałam kiedyś jednego z chwilowych partnerów, ile lat ma ktoś, kto urodził się w 1959 roku (chodziło mi o aktora, którego wyobrażałam sobie przy takiej intymnej scenie):

— Policz sobie, kochanie — mruknął, odklejając usta od mojego sutka.

— To dla mnie zbyt abstrakcyjne.

Pomyślał przez chwilę i podał mi jakąś ogromną, dwuczęściową liczbę. Zbladłam.

— To niemożliwe.

— No, no. — Ogarnął mnie uważnym spojrzeniem. — A jednak...

— Co?...

— Jednak dobrze się trzymasz.

Ubrałam się i wyszłam. Taki przypadkowy kontakt seksualny czasami naprawdę może być paskudny.

Staropanieństwo zaczyna się po trzydziestce, bo i do trzydziestki pozostaje się (w myśl gierkowskiej czy może gomuł-kowskiej zasady) tak zwaną „młodzieżą”. Inna sprawa, że w niektórych dziwnych krajach, za górami, za lasami, niezamężne dwudziestopięciolatki świętują w urodziny świętej Katarzyny sta-

158

ropanieńskie Katarzynki. Dziewica taka, ubrana na zielono (chyba że mylę ze świętym Patrykiem), z kapeluszem obwiązanym kolorowymi wstążeczkami, trzykrotnie przejeżdża bryczką wokół głównego rynku miasta.

Słyszę, jak krzyczy: „Ratunku! Pomocy!”.

To kara za to, że nie słuchała mamy i nie dość pilnie polowała na chłopa.

„Promocja! — krzyczy przy drugim okrążeniu. — Bez mamusi!”

„Wyprzedaj! Zniżka sto procent!” — to przy następnym.

Horror.

W sumie, czy nie lepiej by było, gdyby w ogóle nie świętowano urodzin? Po piętnastej świeczce na torcie traci to sens... Wyjdę kupić sobie coś do jedzenia.

Pojechałam po zakupy do centrum i opuściłam sklep ze skłaniającym do przemyśleń łupem. Kasjerka patrzyła na mnie dziwnie, gdy wyjmowałam z koszyka dwie wielkie kolby kukurydzy. W myśl reklamowego hasła filmu Godzilla („Liczy się wielkość”), kupiłam tak długie, że aby je ugotować, obie musiałam przycinać do największego posiadanego garnka.

Uszczęśliwiłam chociaż Lunę — do późnego wieczoru bawiła się kukurydzianymi „włosami”, rozwlekając je po całym mieszkaniu.

30 SIERPNIA

Moje urodziny.

Od mamy dostałam książkę — oczywiście Helen Fielding Dziennik Bridget Jones.

159

— Byliśmy z ojcem na filmie. Bardzo nam się podobał, choć tato lekko przysnął. Pomyślałam, że i tobie ta historia na coś się przyda.

Oj, przyda się, mamo.

— Ale ta matka Bridget... — Nachyliła się, by konspiracyjnie szepnąć mi do ucha. — Okropna kobieta. — I uśmiechnęła się niczym anioł. — Wszystkiego najlepszego.

Z tatą nie poszło dużo lepiej.

— Chłopa ci życzę, chłopca. Czy jak to się w waszym pokoleniu mówi „faceta”. I bądź moja krew, jak upolujesz, to już nie puszczaj. Życie wolnego mężczyzny... — przerwał, bo poczuł na sobie spojrzenie mamy. Wręczył mi wodę toaletową Naomi Campbell. — Nie wiedziałem, co ci kupić, a ta Campbell to ładna babka, więc powinno ładnie pachnieć.

Pudlica chyba nam jednak zamieniła tatuśka.

Nagle spostrzegłam, że mama prezentuje na swojej kształtnej głowie godne uwagi, ciemne włosy. Czyżby po latach tlenienia się na B.B. postanowiła zamienić image w egzotyczną piękność? A czy to nie oznacza, że dajmy na to ja, powinnam pomalować się na granatowo? Och, życie!

Może to infantylne, ale już parę miesięcy temu, przy okazji jakiejś duchowej zapaści, odnalazłam w kalendarzu datę swoich urodzin i bogato ozdobiłam ją balonikami. I sama sobie dopisałam urodzinowe życzenia stu lat życia. Uśmiechałam się teraz mimowolnie i zapewne głupkowato do spreparowanego zapisu, ale jeszcze bardziej sama do siebie. W końcu zrobiłam to właśnie po to, aby mieć dziś dobry humor, dobry dzień, a także po to — asekuracyjnie — żeby się nie okazało, że wszyscy łącznie ze mną zapomnieli o urodzinach: przynajmniej ja pamiętałam i pozostałam niewinna. Niewinna była też Ewa, która prezent dała mi już przed kwartałem. Urodzinowa kotka wyczuła szczególność chwili, gdyż od rana szczególnie namiętnie ocierała się o moje nogi. Dobra kotunia, śliczna kotunia, a jaka mądra...

Aha, chyba po prostu jest głodna.

*

160

Skończyłam dwadzieścia dziewięć lat. Dobre w tym wszystkim jest to, że jeszcze nie skończyłam trzydziestki. I że pojawiają się coraz lepsze kremy przeciwzmarszczkowe, a ja mam lepsze i stałe źródło dochodów, więc jeśli utrzymam je przez następne dziesięć lat, to będzie mnie stać na lifting w szwajcarskiej klinice. Może jeszcze rok czy dwa, a uda mi się dorwać jakiegoś męskiego małolata? Tacy podobno lecą na dojrzałe kobiety (Panie Boże, z okazji moich urodzin, ja, Twoje stworzenie, proszę Cię, żeby małolat nie wyglądał jak Dustin Hoffman w Absolwencie, chociaż ja mogę wyglądać jak ta jego kochanka z tego filmu, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć). Dobre jest też to, że podobno w okolicach, hm, trzydziestki skóra wysusza się nawet w okolicach brody i nosa i wraz z przybywaniem lat ubywa zaskórniaków. I dobre jest to, że już dla nikogo ani na nic nie jest się za młodym i można przygryzać nastolatkom, bo wszyscy rozumieją, że to nie zawiść, tylko atawizm. I można się kochać bez zobowiązań, bo trudno wyjść na lekkomyślną. I będę miała przyszywanego siostrzeńca albo siostrzenicę. I chyba się rozpłaczę...

— Gdzie jesteś?! — Ewa drze się do słuchawki. — Znowu nie wiem, czy pamiętasz, ale umówiliśmy się w knajpie „Roxa-na” i właśnie dochodzi godzina zero.

Gdzie jest, u diabła, „Roxana”? Skończyłam dwadzieścia dziewięć lat, a już wyskoczyłam z pop kultury? Więc buczę:

— Nikt mnie nie kocha...

Ale zamiast grzmiącego „Idiotka!”, słyszę:

— Ja cię kocham i mama cię kocha, i tato, i Wenecjusz też! Luna cię kocha, i Alicja, i Iza, i Magda, i moje małe też cię pokocha i Teodor cię kocha, i August i Bo i coca-cola i wielu innych, jeśli tylko dasz im szansę...

Rozpływam się z rozkoszy. To lepsze niż orgazm —jeszcze, mów mi jeszcze...

— A teraz chciałam ci przypomnieć, potworna egoistko,

161

że to nie tylko twoje urodziny, ale i preludium do mojego panieńskiego wieczoru; dzwonię z komórki, a ponieważ siedzę sama przy stoliku, przystawia się do mnie jakiś palant. Przepraszam na chwilę... Spadaj, debilu, nie widzisz, że jestem w ciąży! — rozległ się wcale nietłumiony wrzask Ewki. — To co, przyjeżdżasz?

— Już lecę, powiedz mi tylko, gdzie to jest.

„Roxana”. Kelnerzy, stoliki, Sting i ceny kłujące jak żądła. Podoba mi się. Nim jeszcze wchodzę, jakiś duży, tysy gość pyta:

— Mógłbym zobaczyć pani dowód?

— To ona panu kazała?! — napieram na niego brutalnie i już jestem w środku.

Ewa macha do mnie, sącząc dziwny koktajl.

— Sto lat, moja droga! — Bardzo to snobistyczne.

W euforii próbuję tęgim łykiem tej jej mlecznej wody i pry cham jak nosorożec:

— To mleko!

— Ale z cynamonem i bananami...

Dobrze, że jestem tylko „ciotką”, a nie matką. „Z bananami”... Dobrze sobie! Musiało tam być coś więcej niż banany, bo po dwóch godzinach Ewka jest bardziej wtrąbiona ode mnie. Szczęściem? Serotoniną? Wspominaniem starych czasów? Chyba nie tylko...

— No to siup! — Ano, skoro nie ma już nastroju, by usiąść i pomyśleć... — Kelner!

Ewka się jakoś dziwnie uśmiecha. Do mnie i to tego... kelnera?

— Robert?! Co ty tu robisz? — Musi tu gdzieś być ukryta kamera, bo „Wybacz mi” chyba nie kręczą. Ale się skułam...

— Powiedziałem temu przy barze, że teraz ja obsługuje ten stolik... — Zabrzmiało to jak w filmowym Love Story, ale niekoniecznie tym, gdzie ona umiera.

— Gadaj, wiedziałaś?

162

*

Odjechany zegar z kukułką bije w „Roxanie” pełną godzinę, sama nie wiem, którą. Nieważne, chwila, w której zerwie mi się film (a przecież jestem poważną dziewczyną), i tak jest coraz bliższa. Niczym chór grecki w starożytnym spektaklu pojawiają się ci, którzy kochają mnie i Ewę, albo nie kochają, ale na krzywy ryj chcą załapać się na jej panieńską, a moją urodzinową wódkę. Inna sprawa, że połączenie panieńskiego wieczoru i urodzin to prawdziwy znak naszych czasów, bo:

a) mężczyźni ani na lekarstwo i w związku z ich niereprezentatywną nieobecnością na urodzinach na pewno nie zakłócą wieczoru panieńskiego,

b) to samo co w wersji a), tyle że mniej globalnie — to pośród moich urodzinowych gości facetów ze świecą szukać.

Wieczór panieński przedawnił się, w związku z czym w dobie wieku XXI wprowadzono na jego miejsce wieczór swatek. Obowiązujące hasło tych kilku godzin brzmi: „Ratuj się, kto może i... chwytaj, jak możesz”.

Wenecjusz jak zwykle obejmuje Ewę, Ewa kopie mnie pod stołem i potwornie się marszczy, bym w końcu zwróciła uwagę na kelnera, to znaczy Roberta. Unoszę ku niemu głowę. Robi jakiś nieskoordynowany, ale szarmancki gest i mówi:

— Czego sobie pani życzy? — Dramatyczna pauza. — Dla mojej pani wszystko!

I tu mnie ma...

A TAK W OGÓLE, TO CZEGO JA, ANNA, BRIDGET PL I PRAWIE TRZYDZIESTOLATKA W JEDNYM, CHCĘ OD ŻYCIA, HA?

Oj, miało nie być filozoficznie!

No to imprezujemy!

Spotkamy się na ślubie.

163

Ewki i Wenecjusza, oczywiście...

A może i moim...

Dobrze, że mnie Luna teraz nie widzi.

Bo rodzice są i tańczą. Nieźle im to wychodzi.

Mnie i Robertowi też!

Przewróciłam się...

Ale już wstaję!

TSTS

4

IZABELA SZOLC - litr s kameleon, który pisze wszys «6, co uzna za stosowne. Wyróżni* aa w konkursie Zysk i S-ka Wydawnictwa na „Dziennik polskiej Bridget Jones” oraz w konkursie magazynu „Twój Styl” pod hasłem „Dzienniki Polek 2000”. Nominowana do „Srebrnego Globu 98”, nagrody polskich pisarzy fantastycznych. Dramatopisarka -jej monodram Pępek zdobył III nagrodę Stowarzyszenia „Drama” i warszawskiego teatru Ateneum. Zagrała w Pianiście Romana Polańskiego oraz Miss Mokrego Podkoszulka Witolda Adamka, który będzie także autorem ekranizacji Wszystkiego najlepszego.

Lubi tajlandzkie koty i napoleońskie kosmetyki. Fascynują ją stosunki damsko-męskie w pełnym bogactwie odcieni. Ma słabość do Pani Bovary Gustawa Flauberta i ekranizacji Gorzkich godów Pascala

Brucknera. Gdyby urodziła się w XIII wieku, zostałaby zakonnicą- należy więc się cieszyć, że przyszła na świat 800 lat później.